OPINIA

PISMO SYJONISTYCZNO-DEMOKRATYCZNE

ROK V. Nr 53-54 – ŁÓDZ – WARSZAWA – 19 KWIETNIA 1949 r. – CENA 50 zł.

w szóstą rocznicę...



19 · IV · 1943

Numer podwójny

Trwać będą w naszej pamięci



...Męczennicy narodu naszego, ojcowie i matki, bracia i siostry, dzieci nasze najdroższe — którzy po latach mąk, poniewierania, nieludzkich katuszy, legli w wspólnym grobie sześciu milionów...

...Bohaterscy powstańcy gett, żołnierze walki podziemnej, partyzanci, i ci wszyscy, którzy ogień buntu przeciw bestii faszystowskiej rozpłomienić usiłowali...

...Towarzysze idei, którzy, wierni wskazaniom, wszczepianym im przez lata, nie wypuszczali z rąk sztandaru, nawet w czas nocy hitlerowskiej. Sztandar ten, zatknięty potem na barykadach gett w Warszawie, Sosnowcu, Krakowie, i towarzyszący naszym partyzantom, żołnierzom podziemia i armii regularnych w ich walkach z hitlerowskimi zbirami — powiewa do dziś dnia, stanowiąc przedmiot dumy i relikwię Ruchu na całym świecie...

...Niechaj pamięta Ruch nasz swoich ofiarnych, mężnych, najlepszych — bojowników, którzy czynem swym i postawą dla ginącego narodu drogowskazem byli:

PRASZKIERA JAKÓBA

dowódcę oddziału bojowego „Hanoar Hacijoni“ w getcie warszawskim.

„W podziemnym ruchu ogólnosyjonistycznej młodzieży getta warszawskiego był jednym z pierwszych, którzy propagowali myśl oporu i nawiązania kontaktu z polskim lewicowym ruchem oporu po stronie aryjskiej. Praszkier był tu jednym z pierwszych, który przystąpił jeszcze w okresie pierwszej wysyłki w roku 1942 do organizowania grup, jakie miały się połączyć z partyzantami w lesie“ (B. Mark — „Churwes Dercejlen“).

Jako dowódca oddziału bojowego ŻOB zginął na ulicy Świętojerskiej, broniąc schronu, który został wysadzony dynamitem.

ROTBLATA LUTKA

dowódcę grupy bojowej „Akiba“ w getcie warszawskim.

Lutek należał do pierwszych, którzy podnieśli sztandar buntu. Powierzono mu dowództwo oddziału bojowego „Akiba“, a zadanie swe wykonał gorliwie i z wielką odwagą. W sprawozdaniu o przebiegu akcji powstańczej, często wspomina się jego imię. Gdy Niemcy otoczyli bunkier przy ul. Miłej 18 w którym znajdowała się liczna grupa bojowców z Anielewiczem na czele, a między nimi Lutek, oblężeni nie chcąc wpaść w ręce Niemców postanowili popełnić zbiorowe samobójstwo.

Rotblat zastrzelił matkę, którą kochał nad życie, a następnie popełnił samobójstwo licząc 24 lata.

„W przednich kadrach żydowskiej organizacji bojowej był Lutek Rotblat jedną z najsympatyczniejszych i najbardziej odważnych — gotowych na wszystko postaci“ (B. Mark - „Churwes Dercejlen“).

LIBESKINDA DOLKA

dowódcę grupy bojowej w Krakowie.

Opowiadania o czynach Dolka, przywódcy ruchu „Akiba“, brzmią, jak legenda. Gardził niebezpieczeństwem, ciągle przebywał w rozjazdach, starał się zwalczać przygnębienie i budzić wiarę; strzegł ruch od załamania się. Gdy nastały beznadziejne dni, zebrał resztki ruchu, przedarł się do lasów, a wielka jego miłość do człowieka, zrodziła bezgraniczną nienawiść do strasznego wroga. Oddział pod jego dowództwem wykonał cały szereg zadań, nawiązał kontakt z bojownikami w getcie warszawskim. Wiadomości o jego czynach rozniosły się szybko po całym kraju, wzbudzając ducha buntu. Zginął 27 grudnia 1942 roku, trzy dni po wykonaniu śmiałego napadu na czele grupy żydowskiej na Niemców w Krakowie, którego był inicjatorem i organizatorem.

Rozkazem Naczelnego Dowództwa Odrodzonego Wojska Polskiego odznaczony został pośmiertnie Krzyżem Walecznych.

DRENGIERÓW SZYMKA I GUSTĘ

członków krakowskiej „Akiby“, bojowców Żydowskiej Organizacji Bojowej w Krakowie.

Byli aktywnymi organizatorami podziemnego ruchu, propagatorami idei oporu wśród młodzieży żydowskiej Krakowa, wypróbowanymi działaczami konspiracji. Zginęli w walce.

KOŻUCHA JÓZKA

przywódcę ruchu oporu w Sosnowcu.

Był organizatorem aktywnej grupy bojowej „Hanoar Hacijoni“, przeprowadzającej z powodzeniem akcje zdobywania broni niemieckiej, mundurów, wysyłania ludzi zagranicę na t.zw. „aryjskich papierach“. Grupa ta dokonała całego szeregu aktów sabotażu.

Zginął podczas wykonywania zamachu na kierownika akcji wysiedleńczej w Sosnowcu, w nocy z 2 na 3 sierpnia 1943 roku.

KOŻUCHA BOLKA

niestrudzonego organizatora akcji ratowniczych w rejonie Sosnowiec—Będzin.

Aresztowany z bronią w ręku podczas akcji w Jabłonkowie, zginął powieszony publicznie.

KIRSZENBAUMA MENACHEMA

jednego z czołowych działaczy Komisji Koordynacyjnej, będącej politycznym kierownictwem Ruchu Oporu w getcie warszawskim.

Dom jego był zawsze siedzibą narad i zjazdów syjonistycznych koordynacji pomimo niebezpieczeństwa grożącego ze strony okupantów.

Był aktywnym w podziemnej pracy i brał udział we wszystkich naradach i przygotowaniach do powstania.

D-ra SZIPERA ICCHAKA, D-ra BLOCHA ELIEZERA LIPĘ, GUZIKA DANIELA

którzy, mimo podeszłego wieku, z młodzieńczą energią stanęli w szeregach Ruchu Oporu, stawiając do jego dyspozycji swe długoletnie doświadczenie pracowników społecznych.

GOLDSZTAJNA ICCHAKA

jednego z przywódców ruchu „Hanoar Hacijoni“.

Współpracował z Jakóbem Praszkierem, dowódcą oddziału bojowego „Hanoaru“ na terenach szczotkarni, a następnie w Centralnym Getcie. Zginął w obronie schronu przy ul. Świętojerskiej.

BOJMA MOJŻESZA

z Kibucu „Baderech“.

Był członkiem bojowego oddziału „Hanoar Hacijoni“ w getcie warszawskim, a entuzjazmem swym pociągnął wielu innych. Dowodził samodzielną grupą dziesięcioosobową. Zginął w wieku 24 lat na ulicy Świętojerskiej wraz z całym oddziałem.

SUFITA SZALOMA

z Kibucu „Akiba“ przy ul. Nalewki 10, w którym prowadził pracę wychowawczą.

W czasie powstania walczył na terenie warsztatów Tebensa, jako zastępca grupy D. Nowodworskiego. 28 kwietnia 1943 roku został w walkach ciężko ranny i przeniesiony do schronu dla chorych, mieszczącego się przy ul. Leszno 76. Tam zmarł.

LITMANA JOSEFA

z „Hanoar Hacijoni“.

Walczył w grupie bojowej Hersza Berlińskiego. Udało mu się przedostać przewodami kanalizacyjnymi na stronę aryjską i przyłączyć się do grupy partyzantów walczącej w lasach wyszkowskich. Znając okolice położone nad Bugiem starał się przeprowadzić grupę bojowników - Żydów pod wodzą Dawida Nowodworskiego na lewy brzeg rzeki.

Gdy znajdował się w okolicach Ostrowia Mazowieckiego, został „nakryty“ przez policję granatową, która zaczęła ostrzeliwać go.

Josek został ciężko ranny i pełzając, dotarł do lasu. Udało mu się zawiadomić kolegów o swym stanie i ci pośpiesznie przybyli z lekarzem. Niestety zastali Litmana martwego.

ROTMANA GDALIĘ

członka grupy bojowej „Akiba“.

W powstaniu walczył na terenie szopu Szulca w oddziale B. Walda. 6 maja 1943 r. udało mu się przedostać wraz z grupą bojową kanałami na stronę aryjską. Gdalię schwytali jednak Niemcy, a gdy znaleźli przy nim granat, zastrzelili go na miejscu.

PASAMUNIK RYWKĘ

z Czerniakowa — aktywistkę „Hanoar Hacijoni“.

Gdy zorganizowały się grupy bojowe, wstąpiła do oddziału „Akiby“. 8 maja po 18-tu dniach ciężkiej walki popełniła samobójstwo w schronie Komendy Naczelnej Organizacji Bojowej by nie wpaść żywa w ręce niemieckich bandytów.

BŁONESA ICCHAKA

członka grupy bojowej „Hanoar Hacijoni“, Zginął w czasie powstania, walcząc wraz z oddziałem na ulicy Świętojerskiej.

BŁONESA MELECHA

członka grupy bojowej „Akiba“.

W mieszkaniu jego odbywały się zbiórki członków „Akiby“. W powstaniu w okresie kwiecień—maj 1943 roku walczył w getcie centralnym. Poległ 8-go maja, broniąc schronu Komendy Organizacji Bojowej przy ul. Miłej 18.

ASZA ELIEZERA

członka grupy bojowej „Hanoar Hacijoni“ w Warszawie.

Nazwisko jego znajduje się w spisie poległych bojowców w getcie warszawskim z roku 1943.

HOLANDA ZAŁMENA

jednego z najbardziej oddanych członków Żydowskiej Organizacji Bojowej.

Przed wybuchem powstania pracował w zbrojowni „Sztajer i Demler“. Należał do grupy bojowej „Akiby“ i poległ w walkach w getcie licząc 22 lata.

KAPŁANA SAMKA

jednego z przywódców „Hanoar Hacijoni“.

Był czynnym działaczem w getcie warszawskim i w konspiracji chalucowej. Utrzymywał żywy kontakt z gniazdami na prowincji, starał się podtrzymywać ludzi na duchu i zachować całość organizacji.

W czasie wielkiej akcji, został wysłany Samek do obozu śmierci w Treblince. Należał do pierwszych, którzy postanowili przeciwstawić się zbrodniarzom hitlerowskim. W czasie marszu rzucił się na straż niemiecką i w walce zginął.

„ICUSIA“

znanego pod tym imieniem jednego z najodważniejszych członków walczącej grupy „Akiba“.

Nie udało się ustalić jego nazwiska, ani szczegółów biograficznych. W czasie powstania w getcie, walczy w grupie Beniamina Walda na terenach szopu Tebensa, gdzie został ranny. W najcięższych chwilach nie tracił spokoju i starał się wzmacniać na duchu swych kolegów.

Gdy część grupy walczącej wydostała się 29 kwietnia 1943 r. rurami kanalizacyjnymi, pozostali, a między nimi Icuś, zebrali się w domu przy ul. Leszno 56. Czynili starania, by dostać się na stronę „aryjską“ — jednak bezskutecznie.

Zginął w wieku dwudziestu lat.

ENTINA SZLOMĘ

z „Hanoar Hacijoni“.

Był jednym z członków delegacji młodzieży wileńskiej, która przybyła pod koniec 1941 r. do Warszawy, przywożąc hiobowe wieści o likwidacji Żydów w Wilnie; zażądał on pieniędzy i broni potrzebnej dla zorganizowania ruchu oporu. Po powrocie do Wilna, kontynuował pracę w ruchu, agitując za czynnym przeciwstawieniem się akcjom, sam brał udział w potyczkach. Ciągle był w rozjazdach, wykonując zadania Organizacji Bojowej, dopóki nie został aresztowany w kwietniu 1942 roku na stacji w Małkini i zamordowany przez zbirów hitlerowskich.

WEISSA EDWINA, TENENBAUMA JUDĘ, MAHLERA ZYGMUNTA, EISENSTEINA MALACHI, SZPRITZER HANKĘ, LIEBESKIND MIRIAM

odważnych, prawych, pełnych samozaparcia bojowników grupy „Akiby“ krakowskiej, którzy z bronią w ręku ponieśli śmierć w służbie Wielkiej Sprawy, do ostatniej chwili krzewiąc niestrudzenie ideę Oporu.

MAJTLISÓW LEĘ i SAMKA CYMERMANA JANKA

pełnych entuzjazmu do walki i nienawiści do wroga, bohaterskich bojowników grupy „Hanoar Hacijoni“ Zagłębia Będzińskiego, którzy padli w walce z wrogiem.

PACANOWSKIEGO MULKA, STOLZENBERGA LONKA, LUFTA DOLKA, BEKERMANA SZYMKA, TYŚMIENICER FRYDKĘ, GLASA BUMKA, LUSTIGA MUNDKĄ, JUDENBERGA, RABINOWICZA, AMADĘ DZIUNKA, HADERA JUDĘ, LAJBLA BENKA

z niezapomnianej grupy lwowskiego „Hanoaru“.

FAJNGOLDA IMKA, NEUMANA FRYCA, HOFMANA LONKA, FRYDLENDERA HESIA, WEISSA MUŚKA

oddanych i wypróbowanych towarzyszy z „Hanoaru“ borysławskiego.

GASSERA MARCELA, BOKSER SYDKĘ, EINSIEDLER PĘPKĘ, ZIMMERMANN LONKĘ, HELD REGINĘ

piękną, obiecującą, przedwcześnie skoszoną młodzież drohobyckiego „Hanoaru“.

TENENBAUMA DZIUNKA, KATZA HERMANA, NIWESA KUBĘ, ADLERA KUBUSIA, PERLUKA JOSEFA

wiernych, niezapomnianych towarzyszy Ruchu.

...i dziesiątki, setki tych wszystkich oddanych szeregowych Ruchu naszego, których wyliczyć nie jesteśmy w stanie, a którzy w miastach i miasteczkach Polski, w gettach, lasach i konspiracji, do ostatniej chwili swego życia, rozwijali działalność, podtrzymywali na duchu, zagrzewali do czynu, w walce o honor i godność narodu — z rozbestwionymi zbirami faszystowskimi.

Niechaj Ruch nasz zachowa w pamięci mężnych i najlepszych, którzy czynem swym i postawą drogowskazem byli dla ginącego narodu.

Niech z życia ich i śmierci czerpią naukę przyszłe pokolenia.

Cześć ich pamięci!...

Kwiecień 1943 ◆ ◆ ◆ Kwiecień 1949

Maksymilian Tauchner

Ich dziedzictwo...



„Ręka ludzka — to jest coś co wspiera,
To znaczy pociecha, opieka.
Najsmutniej, najboleśniej umiera
Człowiek, który padł z ręki człowieka“.
A. Słonimski.

Bywa, że w przedśmiertną godzinę uzyskuje człowiek tak przenikliwą ostrość spojrzenia i myśli, że graniczy to niemal z jasnowidzeniem. W zrównoważonym, męskim wyczekiwaniu końca, dokonywa rachunku sumienia, skróconego przeglądu całego życia, rekapituluje, wyciąga wnioski. Wnioski to najcenniejsze, najoczywistrze, najprawdziwsze, bo wolne już od wszelkich wpływów świata doczesnego, jego miraży, obietnic, presji.

Te, w godzinę przedśmiertnej ciszy, w atmosferze już nieomal pozaziemskiego absolutu, wyciągane wnioski życia mają w sobie siłę Przykazań, z których, by żyć po ludzku i tylekroć już powtarzanych błędów unikać — ludzie naukę czerpać winni.

Gdy człowiek nie umiera, a ginie, gdy ginie w mękach przedśmiertnych ciała i duszy, sponiewierany, zadręczony, zaszczuty, gdy oblepia go straszny cień nocy, padający z ziemi również zdającej się ginąć pod naciskiem przelewającego się po niej zła — natenczas jego testament, tchnieniem ostatnim przekazany, woła głosem ogromnym, mocarnym, przykuwającym uwagę pokoleń i goreje w sercach milionów niezniszczalnym płomieniem wiecznego Krzewu Gorejącego.

Przykazania męczenników głęboko zapadają w serca i umysły pokoleń całych, kształtują charaktery, wytyczają drogę, przewartościowują...

* * *

Sześć lat mija już od owej warszawskiej Wielkanocy, która hukiem wybuchających pocisków rozniosła się po świecie, a która w historii cierpień ludzkich stanowi apogeum męczeństwa. Naród ginący doznał olśnienia w godzinę strasznej śmierci. Odnalazł drogę do ocalenia śmierci, gdy życie było już skończone. Dobry los sprawił, że ginąc w płomieniach walacych się barykad ghetta warszawskiego doznał na chwilę przed końcem uczucia szczęścia. i niewysłowionej ulgi, jakie dać może walka z pastwiącym się dotąd bezkarnie wrogiem i widok jego krwi obryzgującej bruk i dom.

Zginęli, mimo usiłowań wroga, po ludzku, jako symbol jednak epoki triumfu bestii i przerażającego shańbienia człowieka.

Przykazania męczenników są drogowskazem — jak się rzekło — dla pokoleń które nadchodzą. Drogowskazem zobowiązującym.

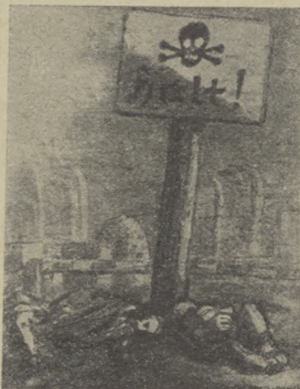
Cóż zlecili nam tchnieniem ostatnim bohaterzy z Nalewek, Miłej i Gęsiej?

Na szańcach pierwszego w Europie buntu przeciw faszystowskiemu zwierzowi wywiesili trzy sztandary:

...niebiesko-biały, sztandar nadziei żydowskiej i odradzającego się na ziemi żydowskiej — życia. Sztandar buntu przeciw tragicznie nas od lat wyróżniającej bezdomności i inności. Buntu przeciw narodowi z rozerwanym, okaleczonym życiem wewnętrznym, z kompleksami i nienormalną strukturą. Był to nakaz życia ginących ludzi. Przykazanie, by naród ocalały z pożogi wbił się pazurami w skrawek ziemi własnej, by bronił jej krwią swoją i życie na niej rozpoczął nowe, lepsze, normalne. Byśmy wreszcie razić przestali świat swą odrębnością...

...biało-czerwony sztandar narodu, z którym od wieków splotły nas losy dobre i złe. Który wraz z nami dzielił noc niewoli hitlerowskiej i jak my do walki się rwał. „Za naszą i Waszą“ wykwitło na tym sztandarze. Zduszono w sobie małostkowy żal i takie lub inne reminiscencje. Przez morze płomieni wychodzących już poza ghetto ujrzano braterską dłoń szlachetnej części narodu polskiego, świadomego biegu dziejów — ludu polskiego, zdającego sobie sprawę z tego, że tragiczny los Żydów stanie się również i ich udziałem, gdy bestia faszystowska zapanuje nad wolnymi narodami. Był ten biało-czerwony sztandar wyrazem życzeń i nadziei ginących Żydów polskich, że z mroków hitlerowskiego panowania wyłoni się znów Polska niepodległa, ale inna niż dawniej, bo bogatsza o doświadczenia lat niewoli. Polska nienawidząca faszyzmu, w której wspomnienie antysemityzmu wywoływać będzie rumieniec wstydu. Takiej Polski sztandar powiewał nad płonącym ghettem warszawskim...

...czerwony sztandar międzynarodowego proletariatu i międzynarodowej solidarności. Sztandar walki o nowy sprawiedliwy ład na świecie, walki z międzynarodową kliką handlarzy śmierci, wojny i ucisku. Sztandar ludów świata, nienawidzących tyranii, mobilizujących milionowe masy do czynnej, bezkompromisowej walki o wolność i szczęście narodów, o wolność i szczęście człowieka.



Z. Tołkaczew: „Stop!“



Świadomość, że wspólny jest los narodów, jęczących pod butem najeźdzcy i że tylko braterskie podanie sobie dłoni ponad — tym morzem płomieni ogarniających świat cały doprowadzić może do zwycięstwa — przeniknęła na barykady ginącego ghetta. Było ich przykazaniem w tę straszną Wielkanoc, by mocarna pięść ludów świata zgruchotała łeb hydrze hitlerowskiej, ale też by ogniem wypaliła gniazda w których wylęgnąć mógłby się kiedykowiek ponownie bakcyl faszyzmu.

Trzy sztandary krótko tylko zdobiły niebo warszawskiego ghetta. Pochłonął je rozszalały ogień.

I cóż pozostało w nas ze wskazań Anielewicza, Lewartowskiego, Praszkiera, Rotblata i tych wszystkich bohaterów, walczących w braterskiej jedności pod zawołaniem tych sztandarów?

Cóż z przykazań ich urzeczywistnić już zdołał świat?

* * *

W szóstą rocznicę tragedii warszawskiego ghetta walka nie jest skończona. Świat poszedł jednak w swym rozwoju naprzód. Z zgruchotanym grzbietem legł pobity przez ludy wolność miłujące najeźdzca hitlerowski. W ślad za tym przyszło przebudzenie u wielu narodów. Zaczęły one budować swe życie na nowych, zupełnie innych podstawach. Narody te dobrze pojęły wymowę tragicznych czasów i budować zaczęły u siebie z miejsca trwałą zaporę przeciw możliwości powtórzenia się strasznej wojny.



Ta zapora to przyjaźń i nierozerwalny związek krajów, budujących u siebie ustrój socjalistyczny, dla których pokój jest niezbędnym warunkiem życia i rozwoju. Od Bałtyku po Pacyfik ciągnie się już zapora. Tworzy ją również, jak o tym marzyli powstańcy ghetta warszawskiego — nowa Polska. Nie przypomina już ona niczym dawnej. Polska sprawiedliwości społecznej, w której antysemityzm jest ustawowo ścigany. Wiedzcie o tym bracia z Miłej, Muranowskiej, Świętojerskiej! To również i Wasze zza grobu zwycięstwo.

A i na całym świecie rośnie już świadomość, że po strasznych doświadczeniach hitlerowskich lat jedną ma tylko drogę świat cywilizowany. Poprzez aktywną walkę o postępowe oblicze świata, poprzez zdecydowane demaskowanie prób restytuowania ośrodków faszyzmu i militaryzmu na świecie i wysiłków podżegaczy wojennych, pragnących przez sztuczne dzielenie świata i rozpalanie antagonizmów narodowych odwrócić uwagę narodów od zaostrzających się w ich krajach konfliktów klasowych i kryzysów gospodarczych — walczyć aktywnie o pokój. Podmiotem dziejów są ludy świata. I czas już, by prysnął mit, że nie one decydować mogą o jego losie. Ludy te, pomne grozy nocy hitlerowskiej i zmobilizowane do czynu stanowić mogą najpewniejszą barykadę pokoju.

Sześć lat po walkach Żydów warszawskich świadomość tego umacnia się coraz bardziej na świecie.

* * *

Dokonał się również w świecie niebywały w historii akt sprawiedliwości dziejowej. Wywalczone trudem, znojną pracą i krwia pokoleń, wsparte przez narody pokój miłujące powstało w majestacie prawa państwo żydowskie, państwo narodu żydowskiego, Izrael. Skończył się pochód Żyda wiecznego tułacza. Staliśmy się innym narodom podobni. Skończą się przywary Żyda bez ojczyzny lub posiadającego ich wiele. Wrócą do ziemi swej starej i pomni swej boleśnie pouczającej historii wzmocnią szeregi narodów walczących aktywnie o pokój i postęp na świecie.

Niebiesko-biały sztandar narodu żydowskiego stał się sztandarem państwa żydowskiego.

Jest w tym i Wasze zza grobu zwycięstwo bracia z Nalewek i Gęsiej.

* * *

W sześć lat po zrywie Żydów warszawskich miliony ludzi postępu toczą zaciętą

(Dalszy ciąg na str. 5-ej)

K. I. Gałczyński *(Specjalnie dla „Opinii“)*

Dziecko żydowskie

Widziałem taki balkon w kwietniu, w słońcu,
w takim słońcu, że aż się oczy mrużą;
gdy wiatry z pól zbyt pełne woni są;
gdy ptaków i kwiatów jest tak dużo.

Na tym balkonie, kiedy nań blask nadszedł
i wszystkie cienie jak miotłą przepłoszył,
jeden posępny cień został jednakże
i miał zielone oczy.

Była to dziewuszka, której dzieje
opisać można by w niejednym tomie.
Jej teraz dobrze jest. Lecz jeszcze się nie śmieje.
I często krzyczy nocą od złych wspomnień.

Żydowskie dziecko. Kwiat, co rósł w sekrecie.
Świerszczyk ukryty w szparze. A rodzice
i stara babka, wszystko padło w getcie
oświetlone ogniem i księżycem.

Dzisiaj jest dobrze, prawda, moje dziecko?
Kwiaty znów pachną. Gwiazdy znów migocą.
Ale ja także znam kolczasty drut i noc niemiecką
i czasem też krzyczę nocą.

DYMY NAD MIASTEM

Seweryn Pollak *(Specjalnie dla „Opinii“)*

Gdy wspominam dni powstania w getcie warszawskim, dziwne mi to wspomnienie łączy się z myślą o innym powstaniu o dniach sierpniowych i wrześniowych. W tej samej stronie z okien mego mieszkania mokotowskiego widziałem we dnie czarną chmurę dymu, ogarniającą niebo, a nocami — wznoszące się pióropusze ognia i rozprzestrzeniające się szeroko łuny. Z tej samej strony dochodziły nas odgłosy detonacyj i w tę pamiętną wielkanoc i w to pamiętne lato. Lecz na tym kończyło się podobieństwo — inne było uczucie grozy i beznadziejności i inne poczucie dumy z wyzwolenia się spod nagromadzonego latami ucisku niewoli.

Wtedy, na wiosnę, groza ogarnęła nas wszystkich. Groza, a później duma. Szły miesiące i tygodnie rozpaczliwe. Słyszało się o codziennych wywózkach tysięcy i setek tysięcy. Słyszało się o polowaniach na ludzi, o morderstwach i znęcaniach się. I o bezwoli i o słabości ludzi, którzy ulegle szli na śmierć. Nieliczni byli ci, którym udało się przekraść z getta warszawskiego do większego obszarem getta Gubernii Generalnej.

Tym, którzy zdołali uciec z piekła, zanim tam jeszcze rozpętało się piekło ostateczne, należało dać bezpieczne — względnie bezpiecznie — schronienie, dać fałszywe papiery. — Mało było wówczas chyba w Warszawie ludzi uczciwych, którzyby się z tymi sprawami tak czy inaczej nie zetknęli.

Lecz wśród tych ludzi uczciwych bardzo już mało było uczciwych czynnie — reszta, większość ogromna, ograniczała się do biadań.

Tak nadszedł dziewiętnastny kwiecień. Nikt nie wierzył spoczątku, nikt nie mógł uwierzyć. Słońce świeciło jak codzień i jak codzień groza wisiała nad miastem. Ludzie — tak jak zawsze od wielu miesięcy, załatwiali swoje drobne, powszednie sprawy; gdy tuż obok za murem ginęły tysiące bliźnich, zaledwie dochodziło to do ich świadomości. I trzeba było huku bomb, łun i gryzącego dymu, unoszącego się nad całym miastem, aby się wreszcie ocknęli. Dym przeżarł im oczy — przejrzeli. I wtedy do uczucia tępej, biernej grozy domieszało się uczucie nowe: dumy i szacunku. Tam za murem ludzie walczyli nie o życie — walczyli o godną imienia człowieka śmierć.

Za szacunkiem konsekwentnie szła myśl — pomóc. Lecz myśl ta, nieśmiała i uboga, umierała, ledwo się zrodziwszy — nie było wtedy obiektywnych warunków do ogólnego powstania. I tylko niewielu, a z tych niewielu tylko ludzie lewicy, — ruszyli z czynną, zbrojną pomocą.

Reszta — ci zapatrzeni w „Londyn“, ci, „humanitaryści“ — chodziła osowiała po mieście i wdychała gryzący dym. Teraz dopiero, gdy czad oenerowskiej nagonki sprzed wojny, czad nastrojów łyków warszawskich, którzy w okresie masowych wywózek Żydów do obozów śmierci cieszyli się, że Hitler „robi za Polaków brudną robotę“ — gdy trupi smród hitlerowskiej propagandy, zawisły nisko jak chmura nad miastem — wznosił się do góry kłębami dymu z pogorzeli, — dopiero teraz wszyscy, — nawet łyk warszawski, nawet przekupka z kolejki — zrozumieli.

Było za późno, I nie było rady. Don Kichot załamywał ręce i deklamował o braterstwie. Don Kichot warszawski nie rwał się już nawet do walki z wiatrakami. Skruszył był dawno swą włócznię o getto ławkowe na uniwersytetach, o walkę „ekonomiczną“. Historia dała mu w pysk, gdyż historia brzydzi się fałszem.

A bohaterstwo powstańców getta, którzy pierwszego zaraz dnia walki obok biało niebieskiego sztandaru żydowskiego, wywiesili czerwony sztandar socjalizmu i biało-czerwony polski sztandar narodowy, tak jak bohaterstwo całego polskiego ruchu oporu, wytyczyło drogę historii. Ta droga — walki z okupantem o wolność i socjalizm — okazała się jedynie słuszna.

Dr. Józef Kiermisz

Stan źródeł i problematyka powstania w Getcie





[illegible] czew: „But“

Powstanie kwietniowe w getcie warszawskim ma niewątpliwie znaczenie przełomowe nie tylko w dziejach żydowskiego ruchu oporu przeciwko okupantowi niemieckiemu, ale też w historii walk o wyzwolenie Warszawy. Po raz pierwszy bowiem groźni w swej determinacji **Żydzi wystąpili masowo do walki na taką skalę,** po raz pierwszy od chwili klęski wrześniowej 1939 r. miała stolica Polski usłyszeć huk salw armatnich i ogień karabinów maszynowych.

Pod wpływem powstania żydowskiego uległy **zmianie metody** walki podziemnej Warszawy, które w głównej mierze polegały dotąd na aktach sabotażu oraz zdobywaniu broni i amunicji w drodze rozbrajania żołnierzy i policjantów, i nosiły charakter ekspropriacyjno - odwetowy. Wybuch powstania w getcie, ów pierwszy masowy zryw rewolucyjny w Polsce w okresie okupacji, powodował odrazu **zmianę wystąpień** żołnierzy polskiego ruchu oporu.

To też dzień 19 kwietnia stał się symbolem, stał się wkładem, jaki społeczeństwo żydowskie wniosło do walki o wyzwolenie spod hitlerowskiego panowania, panowania fabryk śmierci i komór gazowych. Stał się **jednym z bodźców polskiej walki podziemnej.**

Należy stwierdzić z ubolewaniem, że stosunkowo nie wiele pozostało autentycznych źródeł żydowskich do dziejów tego bohaterskiego finału wielkiej tragedii Żydów warszawskich stanowiącego niewątpliwie najświatlejszą kartę w dziejach żydostwa polskiego pod okupacją niemiecką. Szczupły zasób źródłowych materiałów żydowskich jest następstwem faktu, że wraz z zagładą w dniu 8 maja 1943 r. ostatniej twierdzy getta — bunkru Komendy Żydowskiej Organizacji Bojowej uległy zniszczeniu akta i dokumenty powstańcze, że polegli w nierównej walce wszyscy prawie przywódcy powstania oraz bojowcy i naoczni świadkowie — żywe źródła do historii tych walk.

Wprawdzie można jeszcze żywić pewne nadzieje, że poszukiwania na gruzach getta, które będą wkrótce wznowione, zostaną uwieńczone sukcesem i wydobyte zostaną dalsze części archiwum podziemnego getta warszawskiego, zakopane — jak to zostało stwierdzone ostatnio — dosłownie w ostatnich chwilach przed wybuchem powstania i rozpoczęciem ostatecznej akcji likwidacyjnej. W najlepszym razie można liczyć jedynie na odnalezienie dokumentacji do okresu utworzenia zjednoczonego bloku ruchu oporu w getcie, następnie pierwszych walk niemiecko - żydowskich wreszcie pełnego dynamizmu okresu permanentnej walki getta między walkami styczniowymi a wybuchem powstania kwietniowego.

Natomiast nigdy już prawdopodobnie nie odnajdą się żadne papiery powstańcze w postaci rozkazów bojowych, meldunków sytuacyjnych i raportów, ulotek i afiszy, notatek dziennych i zapisek. W tych warunkach olbrzymią wartość dokumentarną posiadają pisane stosunkowo niedługo po wydarzeniach i mające posmak autentyków materiały, które zostały wysłane zagranicę w latach 1943 — 1944 przez działający w podwójnej konspiracji nieliczny, pozostały przy życiu żydowski aktyw podziemny.

Są to:

1) Krótki zarys historyczny Ż.O.B.'u, napisany w marcu 1944 (wysłany 24.V.t.r.);
2) Sprawozdanie z działalności Żydowskiego Komitetu Narodowego, wysłane z Warszawy dwukrotnie (15. XI. 1943 i 24. V. 1944);
3) Listy Hechalucu oraz Poale-Syjonu;
4) Raport podziemny Bundu z 22. VI. 1943 i maja 1944;
5) Wyciągi z dzienników Sz. Grajka, S. Rathajzera („Kazika“), T. Borzykowskiego oraz relacja H. Wassera.

Jednym z najważniejszych dokumentów żydowskich do dziejów walk kwietniowych są ogłoszone w 5-tą rocznicę powstania (w „Przełomie“) komunikaty bojowe i meldunki sytuacyjne, opracowywane codziennie przez Komisję Koordynacyjną Ż. K.N.i Bundu — na podstawie relacyj szeregu łączników i obserwatorów specjalnych, Polaków i Żydów. oraz informacyj polskich organizacyj podziemnych. Jednakowoż komunikaty te, które w kilku wypadkach opierały się na telefonogramach otrzymanych z getta, obejmują tylko okres pierwszych 11 dni powstania (19.IV. — 29.IV. 1943). Szereg ciekawych relacyj dokumentarnych znalazło się w papierach „Żegoty“ („Rady Pomocy Żydom“).

Kilka dokumentów żydowskich z okresu powstania kwietniowego ogłosił piszący te słowa w ub. r. z racji manifestacyj rocznicowych („Mosty“ 19.IV. 1948).

Duże znaczenie źródłowe mają następnie ogłoszone już po wyzwoleniu wspomnienia i relacje działaczy podziemnych, bojowców i uczestników powstania, w pierwszym rzędzie dr. Adolfa Bermana, Icchoka Cukiermana, Cywii Lubetkin, Marka Edelmana, Towie Borzykowskiego, Dorki Goldkorn, Bernarda Borga, Leona Najberga, d-ra Walewskiego, Symchy Rothojzera, Josefa Lejmana, następnie cały szereg przyczynków pamiętnikarskich i obserwacyj, utrwalonych nie w wydawnictwach książkowych, lecz w prasie krajowej i w zagranicznej, trudno nieraz uchwytnej.

W rezultacie: szeroka skala różnic w ocenie wartości historycznej wymienionych źródeł. Obok wspomnień i relacyj dokumentarnych mamy nieraz i literackie transpozycje przeżytych wydarzeń. W rzeczy samej wielkość wyjątkowego momentu historycznego przykrawana bywa do możliwości odczuwania i skali inteligencji danego autora.

Z polskich źródeł wymienić należy publikację, wydaną przez polskie czynniki podziemne p. t. „Na oczach świata“, a zawierającą szereg dokumentów i obserwacyj naocznych świadków, następnie dokumenty Gwardii Ludowej (archiwum PZPR), raporty Delegata Rządowego na Kraj oraz prasę podziemną.

Mimo wszystko wiele problemów wymaga jeszcze źródłowego utrwalenia, wiele zjawisk i przejawów owych wiekopomnych dni czeka na dokumentację.

Lukę w dokumentacji żydowskiej i polskiej do dziejów powstania żydowskiego tylko w części wypełniają dokumenty niemieckie. Są to zeznania składane przed władzami śledczymi, powołanymi do ścigania przestępców wojennych, przez szereg zbrodniarzy niemieckich, kierujących akcją stłumienia powstania w getcie i jego ostatecznej likwidacji, zbrodniarzy tej miary co gen. Stroop, jego adiutant Kaleske, Hauptsturmführer Konrad, gubernator Fischer i in.

Najważniejsze źródło niemieckie stanowią niewątpliwie najbardziej tajne dokumenty: sprawozdanie ogólne oraz raporty szczegółowe likwidatora powstania w getcie Brigadeführera SS Jürgena Stroopa, generała majora policji i dowódcy SS i policji dystryktu warszawskiego, późniejszego Obergruppenführera i generała broni SS i jednego z najbliższych i najwybitniejszych współpracowników Himmlera i szczególnych jego mężów zaufania.

Stroop, żołnierz frontowy obu wojen światowych, ranny w czasie ostatniej wojny, jeden z najgorliwszych, najsumienniejszych i najbardziej skrupulatnych wykonawców ludobójczych planów niemieckich był niejako predysponowany do roli likwidatora getta. Wierząc i ślepo ufając swoim przełożonym nie był wcale typem „przestępcy gabinetowego“, który z daleka kieruje sprawną organizacją przestępczą, lecz typem nawskroś racjonalistycznego okrutnika, gotowego popełnić najpotworniejsze, byle nakazane mu zbrodnie. Karny, zdyscyplinowany i posłuszny aż do zatraty swej osobowości, służył nie tylko za przymusowe narzędzie, ale często wkładał w tę pracę śmierci swą inicjatywę, pomysłowość i wiedzę. To on był pomysłowym twórcą metod technicznych ludobójczego planu stłumienia powstania żydowskiego i zagłady getta nie tyle mieczem ile przede wszystkim i w najgłówniejszej mierze — ogniem.

To on zaaranżował w czasie trwania „akcji“ morderstwa o zasięgu dotąd niespotykanym. To on wydał rozkaz rozbierania do naga i rewidowania wszystkich ujętych w toku „akcji“ mężczyzn i kobiet.

Geneza raportów o stłumieniu powstania i likwidacji getta, odnalezionych przez Amerykanów w r. 1945 w willi Stroopa, czołowego przywódcy wilkołaków w okręgu wiesbadeńskim i załączonych jako jeden z najważniejszych dokumentów do akt Międzynarodowego Trybunału Wojskowego w Norymberdze (akt Nr. PY — 1061 prokuratury amerykańskiej) jest dość osobliwa. Jak dzisiaj wiemy, przebieg walk w pierwszym dniu powstania w getcie wywołał niesłychaną konsternację i niepokój wśród Niemców nie tylko w Warszawie ale i w Krakowie. Zaalarmowany o pierwszej wielkiej klęsce Niemców w getcie wyższy dowódca SS i policji w GG, gen. Krueger odwołał się do Himmlera, który polecił z miejsca raportować sobie o walkach w getcie.

W czasie rozmowy ze Stroopem odbytej w więzieniu 11 marca br. zadałem mu pytanie, co było przyczyną tego tak znacznego zaniepokojenia Niemców wybuchem powstania w getcie nie przedstawiającego przecież dla potęgi niemieckiej większego niebezpieczeństwa. Odpowiedź była słuszna: Niemcy obawiali się, aby powstanie w getcie nie przekształciło się w ogólnonarodowe powstanie Warszawy, stanowiącej jeden z najważniejszych węzłów etapowych niemieckich w drodze na front wschodni. Toteż począwszy od 20 kwietnia aż do dnia zakończenia akcji przez Stroopa, dzień w dzień szły telefonogramy do Kruegera, który z kolei przesyłał je Himmlerowi. Od Stroopa wiemy, że Krueger bardzo często przez telefon informował się u dowódcy niemieckiego o przebiegu wydarzeń, że Krueger, który 2 maja osobiście przyglądał się walkom w getcie, był wzywany osobiście do Himmlera, celem złożenia sprawozdania. Tej to okoliczności zawdzięczamy przesyłanie przez Stroopa co dzień raportów, które wraz z kolekcją o nieprawdopodobnej grozie fotografii, wierną ilustracją raportów, stanowią wstrząsający dokument historyczno - dowodowy, barbarzyństwa i sadyzmu Niemców, ujawniający w całej ohydzie piekielną machinę niemieckiej techniki śmierci. Z tego względu raporty są najważniejszym rozdziałem o zbrodniczej działalności, napisanym przez samego sprawcę, oraz druzgocącym aktem oskarżenia przeciwko faszyzmowi i jedną z najhaniebniejszych kart barbarzyństwa niemieckiego. Z drugiej strony mimo wysokiego napięcia złej woli i pogardy, jakie żywi SS-owski generał do Żydów, o których wyraża się często w myśl teorii Herrenvolku jako o podludziach, daje on mimo woli świadectwo **bohaterstwa powstańców.** W getcie warszawskim potężna maszyna wojenna, jaką mieli do dyspozycji hitlerowscy zbrodniarze z Stroopem na czele, doznała ciężkiego moralnego ciosu. Garstka uzbrojonych, izolowanych bojowców stawiła zwycięski opór szturmowym oddziałom artylerii i broni pancernej. Mimo zdecydowanej przewagi wyposażenia, Niemcy nie mogli osiągnąć zamierzonych celów. Przygotowana przez szereg tygodni i obliczona na 3-dniowe trwanie wielka „akcja“ przeciwko gettu doznała dotkliwej klęski w pierwszych dniach i przeciągnęła się następnie na długie tygodnie. Celem uzasadnienia tego stanu rzeczy i uwydatnienia trudności, na jakie natknęli się Niemcy, przedstawił Stroop w swoich raportach szereg działań z drobiazgową dokładnością, podając **wiele szczegółów walk,** posiadających dla nas niezwykle cenną wartość źródłową. Dodajmy od razu, że odpada całkowicie wobec nich podejrzenie o przystosowaniu rzeczywistości do potrzeb propagandowych, miały one bowiem charakter poufny i w żadnym razie nie były przeznaczone do opublikowania. Słusznie tedy jeden z prokuratorów Trybunału Międzynarodowego nazwał te raporty „epopeą heroizmu, z której nieświadomie często Stroop zdaje sprawę“.

W rzeczy samej stanowią raporty Stroopa, poddane krytycznej analizie, niesłychanie ważne i cenne źródło historyczne.

Słabą stroną tych raportów, pisanych jak gdyby w stylu depesz, to ich lakoniczność oraz brak dokładniejszych danych topograficznych. To też Żyd. Instytut Historyczny doceniając w całej pełni potrzebę zgromadzenia wszechstronnych materiałów oraz wartość źródeł żywych, oraz wychodząc z założenia, że im bogatszy materiał źródłowy, tym wyraźniej i lepiej rysuje się prawda historyczna, zwrócił się przy życzliwej pomocy I Prokuratora Najwyższego Trybunału Narodowego, Stefana Kurowskiego, obecnie polskiego ministra pełnomocnego w Austrii, oraz prok. Brocha, z kwestionariuszem do przebywającego w więzieniu mokotowskim, w oczekiwaniu na proces przed NTN Stroopa. Przesłuchanie miało na celu ustalenie pewnych faktów, nieznanych dotąd lub niedostatecznie znanych z dokumentów, faktów do których historyk w inny sposób nie będzie miał dostępu. Chodziło przede wszystkim o uzyskanie wiadomości dotyczących wojskowej strony przebiegu wypadków w powstaniu, jak niemiecki ordre de bataille, charakterystyka poszczególnych oddziałów i ich dowódców, plan działań oraz kolejne etapy jego realizacji. Na razie zostały umyślnie pominięte sprawy związane ze zbrodniami popełnionymi przez Niemców podczas powstania, aby nie budzić u relacjonisty obaw, że jego informacje mogą być ewentualnie wykorzystane przeciwko niemu. Mimo to nie udało się uniknąć w relacji pewnych przemilczeń i niedokładności. W odpowiedzi otrzymaliśmy szereg wypowiedzi, wnoszących wiele ciekawych i istotnych szczegółów mających duże znaczenie dla studiów nad przebiegiem powstania. Z racji 6-ej rocznicy powstania w getcie Żyd. Instytut Historyczny postanowił opublikować w wydawanym przezeń kwartalniku historycznym ten materiał w przeświadczeniu, że wzbogaci w pewnej mierze źródła nieżydowskie do rzeczywistych i udokumentowanych dziejów powstania.

W wypowiedziach Stroopa na uwagę zasługuje dokładne wyliczenie **z pamięci** wszystkich jednostek niemieckich, biorących udział w akcji, uzbrojonych jak na froncie. Bardzo cenna jest wypowiedź, dotycząca przebiegu walk na Placu Muranowskim, znanych nam tylko pobieżnie i fragmentarycznie ze źródeł żydowskich. W świetle tej wypowiedzi, walka na tym placu, ziejącym w pierwszych dwóch dniach powstania ogniem karabinów maszynowych i pistoletów automatycznych, podtrzymywanym przez granaty i butelki zapalające“, jest jedną z największych i najbardziej zaciętych walk w czasie powstania. Godna uwagi wysoka ocena przygotowań żydowskich do powstania, stwierdzenie, że obrońcy getta szykowali się do wielomiesięcznych walk. Ocena bojowa SS-owskiego generała dana żydowskim, wielkim grupom bojowym żydowskim, liczącym do 80 powstańców, ma posmak historyczny. Jeszcze dziś niemiecki generał nie może pojąć tej elastyczności i nieuchwytności żydowskich bojowców, wyrastających jakby spod ziemi w tych właśnie obiektach, które Niemcy uważali za dawno „przeczesane“ i „oczyszczone“. Nawet w czasie ognia — jak się wyraża Stroop — byli niewidoczni. Nie ukrywa wcale, że bojowcy żydowscy byli panami domów, kanałów i bunkrów, znali na wylot tajne przejścia i system kanalizacyjny. Natomiast jego zdaniem niedopisywała jakoby służba łączności.

Nie może też zapomnieć fanatyzmu bojowego bohaterskich kobiet żydowskich.

Dość wnikliwie i wiernie opisane uzbrojenie żydowskich oddziałów bojowych. Na zawsze wrył mu się w pamięć wygląd granatów i butelek zapalających gettowej produkcji oraz sztandary, które widział w powstańczym getcie.

Brak odpowiedzi na niektóre pytania świadczy o tym, że zatarły się w pamięci wroga pewne zdarzenia, jak również przyczyny i podłoże poszczególnych faktów. Oczywiście szereg pytań celowo Stroop zbył — jak już zaznaczyliśmy — milczeniem, jak np. pytanie dotyczące używanego w raportach często kryptonimu „T II“, oznaczającego obóz śmierci w Treblince.

Dzięki uprzejmości Pierwszego Prokuratora NTN dr. Cypriana, dana nam była też możność przeprowadzenia kilku rozmów z oskarżonym, które zostały stenografowane, a które stanowią uzupełnienie poruszonych w ankiecie zagadnień.

Przy pomocy odczytanych z raportów niektórych ustępów, udało się nadto wydobyć od Stroopa szereg dodatkowych wyjaśnień. Rozmowy te zostaną przez nas opublikowane po procesie.

Mający się odbyć niebawem przed Najwyższym Trybunałem Narodowym wielki proces Stroopa, Hoffle i Konrada, najważniejszy ze wszystkich procesów bezpośrednio interesujących naród żydowski, jakie się przeciw zbrodniarzom niemieckim przed N.T.N. toczyły, będzie niewątpliwie **podsumowaniem wszystkich zbrodni popełnionych na terenie getta warszawskiego,** terenie największego w dziejach miast aktu ludobójstwa, oraz przyniesie bogaty materiał historyczny. Z tej racji **proces stanie się niewątpliwie jedną z najważniejszych akcji dokumentacyjnych do historii męczeńskiego i bohaterskiego getta warszawskiego.** Zarówno bowiem w trakcie przygotowań do procesu, jak i w jego toku, wielką, historyczną wagę będą miały badania, przeprowadzone w postaci dochodzenia prokuratorskiego i śledztwa sądowego — na zasadach ścisłości, obiektywizmu i należytej ostrożności przy gromadzeniu materiału dowodowego i dokładnej weryfikacji zeznań świadków.

W świetle autentycznych dokumentów i niezbitych faktów Polska i świat cały raz jeszcze ujrzy to, o czym zapominać nie wolno: niemiecką zbrodnię ludobójstwa, następnie zapozna się bliżej z najdonioślejszym aktem żydowskiego ruchu oporu czasu męczeńskich lat okupacji.

Jest rzeczą zainteresowanych czynników, aby nie dopuścić do tego, by niepamięć pokryła choć cząstkę dziejów naszego powstania, tego trwałego pomnika ku chwale walczących i poległych, i ku wiecznej nauce i przestrodze potomnych.

* * *

Piszący te słowa opracował jeszcze wiosną 1946 r. z racji 3-ciej rocznicy powstania w getcie, okolicznościowe studium, oparte na dostępnych źródłach żydowskich oraz na raportach Stroopa, otrzymanych wówczas w tłumaczeniu angielskim przez C. Z. K. H.

Rzecz ta nie pretendowała zgoła do miana monografii, na którą powstanie w getcie najzupełniej zasługuje, a do której brak jeszcze wielu źródeł. Nie mniej od dłuższego czasu zbieram materiały źródłowe do takiej monografii, napisanie której wymaga jeszcze sporo pracy i to głównie w zakresie zbierania źródeł, znajdujących się w najprzeważniejszej mierze w nieodkopanych jeszcze zespołach Archiwum Getta (Ringelbluma).

Nie od rzeczy może będzie nakreślenie dzisiaj w najogólniejszym zarysie z racji 6-tej rocznicy powstania w getcie, problematyki tego nad wyraz wielkiego wydarzenia historycznego, które należy wszechstronnie omówić w pełnej i wyczerpującej monografii.

W oparciu o nowsze źródła z pierwszej ręki, zarówno żydowskie, jak polskie i niemieckie, poddane gruntownej analizie, monografia winna przedstawić genezę czynu zbrojnego getta, którego podłożem i wstępem były pierwsze walki stoczone na ulicy i w domach żydowskich w styczniu 1943, następnie omówić pełen poświecenia i tragizmu okres między „akcją“ styczniową a wybuchem powstania kwietniowego, w czasie którego podziemie żydowskie na czele z Żydowską Organizacją Bojową (Ż.O.B.), rekrutującą się w znacznej mierze z kadr bojowych bloku antyfaszystowskiego, i Żydowskim Związkiem Wojskowym (Ż. Z. W.) przeobraziły getto w labirynt bunkrów i schronów podziemnych połączonych z systemem kanalizacyjnym, w twierdzę niemal nie do zdobycia.

Z kolei zobrazować należy plany likwidacyjne Niemców, zmierzających w sposób „pokojowy“ do całkowitej zagłady getta warszawskiego, stanowiącego jeszcze wciąż mimo niesłychanego wykrwawienia w czasie dwóch akcji likwidacyjnych, największy ośrodek żydowski na terenach okupowanych, liczący około 60 tys. mieszkańców, największy ośrodek żydowski podziemnej pracy politycznej i bojowej.

Po omówieniu zmagań i wysiłków getta o udaremnienie planów niemieckich, zmagań i wysiłków uwieńczonych całkowitym sukcesem, który pociągnął za sobą dymisję ze stanowiska d-cy SS i policji dystryktu warszawskiego, v. Sammerna, nie mogącego sprostać zadaniom postawionym przez Himmlera w

(Dalszy ciąg na str. 5-ej)

Abraham Rozenman

Kongres Paryski — Ofensywa Pokoju



Z. Tołkaczew: „Ptaki odlatują“

Sprawą, która w chwili obecnej najżywotniej absorbuje i niepokoi setki milionów ludzi na całym świecie jest bezspornie zagadnienie walki o pokój.

Część świata, szczególnie ta, która żyje w atmosferze nagonki wojennej, poddaje się deterministycznie wierze, że nie da się wojny uniknąć. Z niczym nieuzasadnionym fatalizmem bezczynnie czeka na to zło jej zdaniem, nieuniknione. Druga część natomiast aktywna i twórcza, walczy i mobilizuje opinię, przeciwstawiając się planom podpalenia świata. Nie ulega wątpliwości, że jedynie wówczas wzrosną szanse uniknięcia wojny, jeśli aktywnej części ludzkości, przeciwstawiającej się jej czynnie, uda się w orbitę swego działania wciągnąć jak najwięcej ludzi, dotychczas obojętnych wobec naj bardziej palącego zagadnienia naszego życia, a nie zdających sobie sprawy z tego, że ich „neutralność“ stanowi również niebezpieczeństwo dla pokoju.

Wojna bowiem ma to do siebie, że dla jej prowadzenia musi się mieć przede wszystkim materiał ludzki—żołnierzy, a żołnierz to rekrut brany ze społeczeństwa, które dostatecznie uświadomione, może oprzeć się planom podżegaczy wojennych. Ci ostatni bowiem, nabrawszy przekonania, że w ich społeczeństwach istnieje zdecydowana niechęć do prowadzenia wojny i przelewania krwi za obce im sprawy, będą musieli poskromić swe apetyty wojenne.

* * *

Zwiedzając po wojnie Warszawę, burmistrz New-Yorku, La Guardia powiedział: „Gdy patrzę na ruiny Warszawy, wstydzę się, że jestem człowiekiem“. O ileż bardziej palący wstyd ogarnia nas teraz, gdy w niespełna cztery lata po wojnie prawie sześcioletniej, która ludzkość kosztowała tyle ofiar, że te cztery lata były zbyt krótkie, aby obeschły łzy nieszczęśliwych, patrzymy na nowe przygotowania do wojny. Jeszcze nie zostali ukarani bezpośredni sprawcy śmierci milionów ludzi, jeszcze krwawią niezaleczone rany, nawet jeszcze nie obliczono dokładnie poniesionych ofiar i szkód, a widmo nowej wojny, znów chce straszyć nieszczęśliwą ludzkość.

Pakt atlantycki, wspólny sztab dla obrony Europy Zachodniej, odrzucenie propozycji zmierzających do pokojowego uregulowania spornych spraw, na dodatek różnego rodzaju „oświadczenia“, o nieograniczonych dostawach broni, a wreszcie utworzenie kadłubowego państwa niemieckiego, świadczą najlepiej o tym, że kierujący państwami sygnatariusze paktów robią wszystko, aby zasłużyć na miano podżegaczy wojennych, aby doprowadzić do nowych nieszczęść i zbrodni.

* * *

Podżeganie do wojny i wojna sama leży w interesie szczupłej garstki ludzi, pragnących utrzymać za wszelką cenę chylący się do upadku, pełen wewnętrznych sprzeczności „stary porządek“. Pokój leży w interesie całego świata, łącznie z ludami krajów imperialistycznych.

Główny ciężar walki przeciwko wojnie, wzięła na siebie klasa robotnicza, ale baza społeczna przeciwników wojny jest o wiele szersza od bazy wojowników o socjalizm. Miliony ludzi na całym świecie, bez względu na to w jakich ustrojach żyją, są żywotnie zainteresowane w utrzymaniu pokoju.

Dobro ludzkości wymaga pokoju. Walka o pokój musi stać się obowiązkiem każdego człowieka.

* * *

Nie ma drugiego narodu na świecie, któryby tyle ucierpiał, tyle straszliwych strat i nie dających się zaleczyć ran poniósł naskutek wojny, jak naród żydowski. Nie ma drugiego narodu, któremu by tyle niebezpieczeństw groziło, którego by tyle nieszczęść spotkało, z chwilą wybuchu wojny, jak naród żydowski. Dlatego w społeczeństwie żydowskim nie może być miejsca dla oszukańczego, obłudnego stanowiska neutralności. Neutralność bowiem jest w tym wypadku obojętnością również wobec losu narodu żydowskiego jako całości.

Dobro narodu żydowskiego wymaga pokoju. Walka o pokój musi być obowiązkiem każdego Żyda.

* * *

Za kilka dni będziemy obchodzić pierwszą rocznicę powstania państwa Izrael. Państwo nasze powstało z woli i decyzji narodu żydowskiego, z woli i decyzji ONZ, powołanej do regulowania na drodze pokojowej współżycia narodów. Sygnatariusze paktów agresji czynią wszystko by autorytet tej Organizacji poderwać. Są to te same koła, które w chwili gdy powstało państwo Izrael zorganizowały przeciwko niemu agresję, posługując się swymi wasalami. Dopiero bohaterska postawa Jiszuwu i nie dające się zaprzeczyć zwycięstwa zmusiły ich do zmiany stanowiska. Wybuch wojny agresywnej może jednak odkryć ich prawdziwe oblicze, stać się nieszczęściem naszego narodu. Powstanie Izraela związane z uchwałą ONZ przyjętą dzięki porozumieniu między ZSRR a St. Zjednoczonymi było dowodem, że przy pewnej dozie dobrej woli ze strony tych ostatnich byłoby możliwe porozumienie ogólne. ZSRR bowiem daje niejednokrotnie dowody szczerości swych zamiarów pokojowych. Mamy jeszcze wszyscy żywo w pamięci słowa Stalina o gotowości spotkania się z Trumanem dla uregulowania całego szeregu spraw. Na propozycje te zareagowały setki milionów ludzi odprężeniem i nadzieją. Nie trwało to jednak długo. Przyszło zaraz oświadczenie Białego Domu oschłe i zimne, niechętne wszelkiemu porozumieniu. Wierzymy jednak, że to czego nie uczynił Truman dobrowolnie, będzie zmuszony zrobić pod naciskiem milionów ludzi pragnących pokoju.

* * *

Z powstaniem Izraela nie został rozwiązany problem wyjątkowości żydowskiej. W dalszym ciągu istnieje bezdomność żydowska i stan rozproszenia w ponad 60 państwach. Zlikwidowanie tego stanu rzeczy, a przez to samo uzdrowienie naarodu żydowskiego dokonać się może na drodze skupienia milionów Żydów w Izraelu. Przez powstanie państwa Izrael, syjonizm, który postawił sobie za cel unormowanie warunków bytowania narodu żydowskiego uzyskał bardzo ważny instrument dla realizacji swego naczelnego zadania, polegającego na koncentracji większości narodu w Izraelu.

Realizacja tego zadania może być dokonana tylko w warunkach pokoju. Bez zwiększenia potencjału ludnościowego niezawisłość Izraela jest problematyczna i na dłuższą metę nie do utrzymania. Nie do rozwiązania jest również bez masowej alii problem narodu żydowskiego.

Dalsze kontynuowanie rozpoczętego wielkiego dzieła skoncentrowania milionów Żydów w Izraelu wymaga warunków pokoju, nawet bez napięcia wojennego między państwami. W dziele tym bowiem uczestniczyć musi czy to przez bezpośredni udział w alii czy też przez udzielenie potrzebnych do tego środków cały naród żydowski rozproszony w różnych krajach.

Dobro Izraela i realizacja wielkiego syjonizmu wymagają pokoju. Walka o pokój jest dla nas nakazem chwili.

* * *

Gdy w Paryżu zbierze się Kongres Pokoju, naród żydowski na całym świecie obchodzić będzie rocznicę powstania w getcie warszawskim. Pamięci tych bohaterskich dni ginącego i walczącego żydostwa warszawskiego poświęcić powinniśmy nasz wysiłek w obronie pokoju. Wspomnienie naszych młodocianych bohaterów, którzy ginęli w straszliwej, a tak nierównej walce z zbrodniczym okupantem niemieckim winno być dla nas bodźcem do walki celem utrzymania tak drogo okupionego pokoju. Parafrazując przytoczone powyżej powiedzenie La Guardii na język obecnej rzeczywistości żydowskiej rzec moglibyśmy. Gdy wspominamy powstanie 19 kwietnia dumni jesteśmy, że jesteśmy Żydami. Nasz wkład w walkę przeciw pogrążeniu świata w wojnę przyczyni się do tego, że na tym, tak istotnym odcinku walki o dobro ludzkości podtrzymamy tradycje bohaterskich obrońców pokoju i człowieczeństwa, jakimi byli obrońcy getta warszawskiego.

* * *

Paryski Kongres Pokoju spełni swą rolę jedynie wtedy, jeśli z jego inicjatywy zorganizowany zostanie ruch pokoju, który obejmie całą ludzkość, wszystkich, którym wojna niesie śmierć i zagładę. W innym wypadku byłby on niczym innym, tylko jeszcze jednym Kongresem Pokoju, w szeregu tych, które nie zapobiegły wojnie. Dotychczasowy jednak sześćsetmilionowy zasięg Kongresu w Paryżu pozwala nam wierzyć, że tym razem zjednoczone w walce przeciw podpalaczom świata miliony ludzi postępu nie dopuszczą do jego zagłady. Podczas ostatniej wojny, gdy zbrodniczy faszyzm niemiecki okupował nieomalże całą Europę, napotkał we wszystkich krajach na silny partyzancki ruch zorganizowanego oporu.

Trzeba, aby inspiratorzy nowej rzezi wojennej zdali sobie sprawę z tego, że ruch czynnego oporu wobec nich może być zorganizowany z niemniejszą siłą przez ich własne narody, gdyby wbrew ich woli, a jedynie w imię swoich interesów zdecydowali się na prowadzenie wojny. Staliby się wtedy okupantami swoich własnych krajów, a narody miłujące pokój nie cierpiałyby tego zbyt długo.

* * *

Ludzkość pragnie pokoju i musi go mieć, jeśli ma uniknąć zagłady.

Delegaci na Kongres Paryski reprezentują oficjalnie 600 milionów ludzi, w rzeczywistości jednak są wyrazicielami dążeń pokojowych całej ludzkości, za wyjątkiem tych odosobnionych kół, z których dążeniami do wojny, walczyć będziemy, nie szczędząc sił. a gdy zajdzie potrzeba i życia.

Ich dziedzictwo...

(Dokończenie ze str. 3-ej)

walkę o ich wskazania. O wolności przez nich rozpłomienione o sztandary przez nich wywieszone. O wolność i suwerenność narodów, prawo do ich samostanowienia i własnego nieskrępowanego życia narodowego. O braterską solidarność międzynarodową, o pokojowe współżycie ludów, o pokój na świecie.

Walka jeszcze nie zakończona. Niełatwa to walka. Siły wsteczne nie schodzą dobrowolnie z areny. Ale silniejszą i aktywniejszą niż kiedykolwiek jest dziś wola milionów ludzi na świecie prowadzenia walki aż do zwycięskiego końca. Tej walki, w której stawką jest ich życie. I to napawa otuchą w sześć lat po tragicznej śmierci braci naszych, gdy w różnych stronach świata rozlegają się raz po raz groźne pomruki wojenne.

* * *

Sześć lat temu pochłonął szalejący ogień wykwitłe na murach ghetta sztandary. Sześć lat po tym sztandary te ponownie załopotały na barykadach bojowników o pokój i lepsze jutro świata. Zbierający się w kwietniu, roku 1949 Paryski Kongres Pokoju reprezentuje wolę ponad sześciuset milionów ludzi na świecie. Zdobią go niezliczone sztandary narodowe pięćdziesięciu kilku krajów i jeden, piękny sztandar międzynarodowej solidarności, braterstwa i zgody. Znak wielomilionowej armii pokoju: biały gołąb. Jak tamten sztandar wtedy na Muranowskiej tak i ten, acz inny barwą i rysunkiem wyraża dziś gorące pragnienie pokojowego współżycia ludzi i narodów na świecie.

Miliony ludzi włączyły się dziś na całej kuli ziemskiej do walki o ideały, które i Wam przyświecały bracia, gdyście ginęli w płomieniach ghetta. Dziś toczyć muszą jeszcze ciężką i zaciętą walkę, jutro należeć będzie do nich.

I to jest również i Wasze zza grobu zwycięstwo bracia z Franciszkańskiej, Zamenhofa i Miłej.

M. Tauchner.

Władysław Broniewski — *(Specjalnie dla „Opinii“)*

Wspomnienie

Moja Matka znała lekarza nazwiskiem Perkal,
moja Matka żywiła względem niego przyjaźń i szacunek,
doktór Perkal był godny szacunku mojej Matki,
w naszym domu nie było antysemityzmu.

Moi koledzy Żydzi walczyli w Wojsku Polskim,
moi koledzy Żydzi polegli za Polskę,
moim kolegom — milionom! — moich przyjaciół
wzniesiono pomnik w Ghetcie.

Jakiż homerycki heksametr wyśpiewałby śmierć taką,
której obcy jest nawet włóczony trup Patroklesa?
O! nie Iliada, lecz Hades... Więcej niż Golgota: Oświęcim...
Oto zręby pomnika wzniesionego w warszawskim Ghetcie.

Pokój, pokój umarłym. Nie pokój, lecz walka żywym,
walka o imię człowieka dla każdego, kto zwie się człowiekiem..
Moja Matka znała lekarza, nazwiskiem Perkal,
który był człowiekiem szlachetnym.

Stan źródeł i problematyka powstania w Getcie

(dokończenie)

odniesieniu do Getta, a następnie zamianowaniu na to stanowisko gen. Stroopa, jednego z najbliższych współpracowników Reichsfuehrera SS i policji i szczególnych jego mężów zaufania, oraz jednego z najbardziej skrupulatnych wykonawców ludobójczych planów niemieckich, po przedstawieniu okresu żywiołowego **narastania sił oporu** w getcie, w okresie zwłaszcza po wielkiej klęsce Niemców pod Stalingradem, polegających w najgłówniejszej mierze na zjednoczonym, ogólno - narodowym froncie walki getta, którego trzon stanowiły siły. ludowe, dokonać należy analizy żydowskich sił bojowych, w skład których wchodziły obok grup bojowych ŻOB-u i ŻZW, uzbrojone partyjne grupy oraz grupy bojowe t. zw. dzikie, których zadaniem była obrona poszczególnych bunkrów i domów mieszkalnych.

Opracowanie winno zobrazować w dalszym ciągu plan taktyczny przygotowanego do obrony getta oraz niemieckie siły bojowe, ich plany działania i kolejne etapy ich realizacji, następnie zwycięskie walki Żydów w pierwszych dniach powstania, oraz wspaniałą, bohaterską walkę bojowców żydowskich, rekrutujących się najprzeważniej z pełnej poświęcenia i bohaterstwa walki młodzieży, dzieci ludu i robotników, stanowiących awangardę powstania żydowskiego, jego siłę dynamiczną. W sposób bardzo szczegółowy winna być podniesiona taktyka walki żydowskich grup bojowych, owa jeszcze dziś niezrozumiała przez Stroopa **elastyczność i nieuchwytność żydowskich grup bojowych**, chłopców i dziewcząt, wyrastających jakby spod ziemi m. in. na tych właśnie obiektach, które Niemcy uważali za dawno „przeczesane“ i „oczyszczone“.

Dużo uwagi należy poświęcić walkom o poszczególne domy i bunkry, toczone na przestrzeni długich tygodni przez owych znienawidzonych przez Stroopa „terrorystów“ i „aktywistów“ żydowskich.

Wiele miejsca zarezerwować należy omówieniu zbrodniczych, ludobójczych metod, podyktowanych w zasadzie przez Himmlera i Kruegera, ale rozwiniętych i znacznie udoskonalonych przez Stroopa (zbrodnicza działalność tego ostatniego znajdzie tu pełne odzwierciedlenie), stosowanych w potwornym i krwawym stłumieniu powstania żydowskiego oraz akcji likwidacyjnej, jak gigantyczne pożary, spalanie bojowców i ludności cywilnej żywcem, wysadzanie w powietrze domów i bunkrów, egzekucje i rozstrzeliwania, zalewanie piwnic i schronów, zatapianie i zatruwanie w kanałach.

Specjalnie omówione być winny walki poza granicami getta ze szczególnym uwzględnieniem pomocy udzielanej walczącym Żydom przez PPR i RPPS.

Jako oddzielne kwestie wydzielić należy sporadyczne walki w getcie oraz proces wyniszczenia resztek mieszkańców getta wraz z pozostałymi ruinami domów, prowadzony planowo i systematycznie przez lata 1943 — 44, niemal do ostatnich dni, poprzedzających wybuch powstania sierpniowego. W związku z tym poruszona winna być sprawa założenia na ruinach getta na wniosek Stroopa, obozu pracy, będącego jednocześnie obozem zagłady, a skupiającego głównie Żydów zagranicznych.

Końcowe ustępy monografii winny zająć się bilansem strat, stanowiących krwawy plon jednej z największych zbrodni wojennych w dziejach drugiej wojny światowej, omówieniem znaczenia wojskowego powstania w getcie, a także znaczenia totalnej prawie zagłady żydostwa warszawskiego w dziejach żydostwa polskiego i w ogóle narodu żydowskiego.

Dr. Józef Kiermisz

Władysław Szlengel

CO CZYTAŁEM



Z. Tołkaczew: „Ku zagładzie“

Od kilku dni mocno mi siedzi w głowie scena z sowieckiej sztuki patriotycznej, tytułu której w tej chwili nie pamiętam: załoga łodzi podwodnej, nie chcąc się poddać białym, idzie na dno. . . Szesnastu bohaterskich marynarzy daremnie czeka pomocy — obraz ostatni: brak powietrza. Śmierć krąży w zatopionej łodzi. . . udusiło się sześciu . . . dziesięciu . . . piętnastu . . . szesnasty chce jakoś zadokumentować zagładę załogi, ale nie wyolbrzymia ofiary. Ostatecznie, cóż się stało, że zginęła garstka z wielomilionowego narodu . . . zginęli dla sprawy tak wielkiej, że cyfra ofiar jest śmiesznie mała . . . cóż?! szesnastu! Wspina się ostatkiem sił i pisze kredą na stalowej ścianie swego grobowca: 200.000.000 — 16 . . . odejmuje z dwustu milionów szesnaście nieważnych istnień i już . . . to wszystko, co zostanie dla historii. Cyfry, statystyka.

Ta scena i jej mądry, głęboki sens (nie lekceważąc pointy, co ma zawsze dla mnie znaczenie) zjawiły się nagle z pierwszą godziną drugiego etapu akcji i nie opuszcza mnie ten obraz ani na chwilę.

Wszystkimi nerwami czuję się duszony coraz mniej dawkowanym powietrzem w łodzi, która nieodwołalnie idzie na dno. Różnica jest minimalna: jestem w tej łodzi, nie niesiony gestem bohaterstwa, ale wtrącony bez woli, winy, czy wyższej racji.

Ale jestem w tej łodzi i czuję się, jeśli nie kapitanem, to w każdym razie kronikarzem tonących.

Nie chcę zestawiać tylko cyfr dla statystyki, chcę przyszłą historię wzbogacić (złe słowo) w przyczynki, dokumenty i ilustracje.

Na ścianie mojej łodzi piszę wiersze-dokumenty, towarzyszom mego grobowca czytałem elaboraty poety. poety anno domini 1943, szukającego natchnienia w ponurej kronice swoich dni.

Te wiersze miałem kiedyś czytać ludziom, którzy wierzyli w przetrwanie; miałem razem z nimi przeglądać ten tomik, jako pamiętnik szczęśliwie przebytego koszmarnego okresu, wspomnienia z dna piekła. Towarzysze mojej wędrówki odeszli, a wiersze stały się w przeciągu jednej godziny wierszami, które czytałem umarłym.

Czas najwyższy uporządkować papiery.

Cztery dni temu budowałem naiwny schron z całym systemem sznurków, zamykających prymitywną klapę i zasłony. Cztery dni na skrawku przestrzeni bez wyjścia wobec zalewającego żywiołu z widmem najpiękniejszej śmierci, jaką wymarzyć może pijany esesowiec.

W ciągu tych czterech dni odeszła przedostatnia fala moich czytelników. Odeszli ci wszyscy, którzy zaledwie tydzień temu słuchali moich wierszy i dziwnych przygód Majera Hlińczyka na wyspie blokowej Schultza, odeszli słuchacze moich wieczorów literackich u „szczotkarzy“ i najbliżsi współlokatorzy, sąsiedzi, przyjaciele, towarzysze dyskusji, często mimowoli współtwórcy tego, co ten tom zawiera.

Wyjechała w plombowanym wagonie biedna i zmarznięta Fania R., która przed każdym moim wyjściem na występ, rzucała na szczęście „merde“ i znała tyle opowieści o Curie-Skłodowskiej i profesorze Roux.

Nie ma współmieszkańców pokoju: śmiesznego Józia, który spał w damskiej pyjamie i damskich pończochach — nie dla wywołania dwuznacznych efektów, ale po prostu dlatego, że nie miał nic innego: wyjechała jego energiczna żona, która po to raz już uciekła z Umschlagplatzu z raną postrzałową w plecy, by drugi raz na plac powrócić po 5 miesiącach głodowania i upartej walki o środki na ucieczkę od „tamtych“. Nie zdążyła.

Nie ma pięknej Idy L., uosobienia zdrowia i ochoty do życia . . . Jeszcze w zeszłym tygodniu — ach, psiakrew!!! pięści się ściskają.

Widziałem trupa Asi S., która sprowokowała mnie do napisania drugiej optymistycznej wersji do wiersza „Dajcie mi spokój . . .“ Nie ma . . . a zresztą jutro, mój Boże, jutro lub pojutrze, jak donoszą tajne źródła, ma się powtórzyć orgia niemiecka — ilu jeszcze odejdzie — za wcześnie robić bilans. Uparcie tylko męczą tak bliskie i żywe widma tych, którzy tu wczoraj czy onegdaj siedzieli, tak ufni i tak straszliwie przejmująco człowieczo bali się tego, co ich spotkało.

Najbardziej męczyło to, że wiedzieli, co ich czeka, że wyjechali z koszmarnym bagażem prawdziwych czy nieprawdziwych wiadomości o sposobie zabijania.

Siedzieliśmy tu, w tym pokoju, gdzie teraz stukot maszyny nasuwa skojarzenie ostatniej jazdy — ci wszyscy prawie, którzy mnie najczęściej otaczali, a z którymi mówiliśmy o plotkach, możliwościach i szansach . . . .

Nastroje, donosy i rachunek prawdopodobieństwa ścierały się w namiętnych dyskusjach. A Asia postawiła dużą i czarną kropkę, proponując otworzenie w nocy kurków gazowych.

I rozeszli się . . . .

Potem tegoż wieczora dostałem zaproszenie na występ w prywatnym mieszkaniu dla grupy gości z tamtej strony. Domyśliłem się, kogo znajdę w tym gronie, ale walka trwała krótko, zawsze znajdywałem przyjemność w czytaniu dwuznacznych wierszy i jednoznacznych kpin z popularnych gestapowców właśnie w ich obecności. Od czasów Kohna. Hellera i Gancwajcha, którzy wprost czuli się urażeni, jeżeli w „żywym dzienniku“ nie było dowcipów na ich temat — nie dziwiłem się niczemu i wiem, że snobizm w tej „branży“ jest uczuciem dominującym.

Wziąłem teczkę, uporządkowałem papiery i poszedłem.

Była 9 wieczór, 17 stycznia 1943 r.

Widna noc, rozjaśniona świeżo spadłym śniegiem. Za murkiem w odległości 5 metrów i jednego życia rozlegały się miarowe kroki żandarma... Parę minut po dziewiątej byłem w mieszkaniu Mietka R. w sąsiadującym z nami bloku mieszkalnym metalowców.

Gości już nie było. Żona R. spazmowała — gospodarz wyszedł ze mną do przedpokoju.

Wyjaśnił mi krótko, że wieczór literacki się odkłada... Jego goście dostali jakiś alarmujący telefon od „Arka“, zabrali swoje żony i śpiesznie wyjechali. O 5-tej rano można się spodziewać a k c j i.

— Chociaż... — dodał przy tym uspokajająco — on rzekomo dzwonił do jakiejś „fiszy“ z Alei Szucha, i ten odpowiedział, że wykluczone, że mowy nie ma etc. (szablon uspokajającej odpowiedzi).

— Oby wszystko było dobrze.... — powiedział jeszcze, patrząc już w inną stronę i wrócił do żony.

Wyszedłem na ulicę. Różnica dziesięciu minut. Co za potworny kamień na piersiach, ten murek jest wiekiem trumny; czuję się ściśnięty, zduszony, zamknięty...

Nie wrócę do domu. Żona nie powinna wiedzieć, że wieczór się nie odbył.

Trzeba coś zrobić z czasem. Poszedłem na wartownię werkschutzu.

Już zimny podmuch złej wieści dotarł i tu...

Nieznanymi drogami wizyta i ucieczka t. zw. „kolegołoch“ stała się wiadoma dwóm czy trzem szeptającym grupkom. Wiedzą... Za kilka minut szept, jak zła, dusząca zmora spadnie na blok... wyciągnie ludzi z łóżek... wytrąci z rąk karty, szklanki, kieliszki...

Nastrój w wartowni był błędny i niewyraźny. Nie wierzyli, trzeba wyciągnąć z ciepłego pokoju od brydża Szymka Kaca — ten może będzie coś wiedział, może gdzieś zadzwoni.

Idziemy małą grupką do Szymka. Macki elektrycznych lampek mijają się na podwórku. Szepty przy mijaniu cichną.

Wiedzą ludzie, wiedzą... Dziwnie ruch się wzmaga na namacalnie ciemnym podwórzu...

U Szymka oczywiście brydż. Parę słów na uboczu. Przeprasza żonę i schodzi z nami.

Blok już nie śpi. Getto nie śpi. Telefony terkoczą czarną groźbę. Wyspy żydowskie alarmują się wzajem. Bloki wymieniają wiadomości. Wieść dotarła już wszędzie. Memento! Memento! Śmierć czuwa! Śmierć czai się na Befehlstelle — jutro, jutro skoczy przyczajonym krokiem.

300 SS-manów... 1000 SS-manów. Cyfry licytują się.

O 11.30 grupki na podwórzu zmieniają się w karawany śmiertelnie przerażonych zwierząt, czujących pożar kniei.

Obijają się grozą smagnięci ludzie z podniesionymi kołnierzami o ściany ciasnego matecznika. Pierwsze partie co śmielszych przechodzą przez murek i wsiąkają w miasto aryjczyków. Nasza góra Muza Dag pali się.

O 1-ej poszedłem spać; nade mną i za ścianami tupot nóg i zgiełk przez całą noc.

Sen pełen majaków, zmagań i widm. Duszność wisi pod sufitem i kładzie się na piersi. O 5-ej rano Frania wsuwa do pokoju głowę. — Ubierzcie się! Lepiej być ubranym. Leniwie z nerwowym drżeniem wyłażę z ciepłego łóżka.

Jeszcze nie ma pewności. Jeszcze optymiści mają swoje teorie i naświetlenia. O 7-ej rano pewnik. Obojętnie, jak coś koniecznego, wiadomego i nieuniknionego powtarza się z ust do ust wieść. Akcja w getcie.

Był to 18 stycznia 1943 roku.

Czy te daty będą notowane na marginesie historii?

Czy kogoś zainteresuje dzień, w którym raz jeszcze i nie ostatni raz „nadludzki“ szczep niemiecki zakpił sobie z człowieczeństwa i wystawił na nową próbę wytrzymałość ludzkich serc, nerwów, mózgów, raz jeszcze wypróbował swoich metod zabijania z szatańską, wyrafinowaną fantazją?

Dzień nie przynosi sensacji. Inspirowany przez fachowych sztimung-macherów nastrój, lansowane przez znane źródła wieści, że akcja nie dotyczy szopów...

Selekcja obejmuje tylko dzikie domy w getcie. Spokój kładzie się zwolna na spragnione oszukiwania serca.

Egoistyczny spokój, że oni.... nie my...

Panika pierwsza spada na sklepy i knajpy. Nie ma chleba, stare bułki, stare ciastka, resztki, wszystko rozchwytywane. Ogołocone bufety patrzą się zimnymi, białymi, zatłuszczonymi arkuszami papieru. Tłuste talerze, nagie stoły w głośnych jeszcze wczoraj knajpach pokazują pozbawione obrusów kulawe, chude nogi.

Wieczorem grupki schodzą się w mieszkaniach, ale bardzo wcześnie wszystko idzie spać.

Noc blokowa to stugłos i tupot. Zwierzęta ryją prymitywne kretowiska — naiwne schrony za szafami, z włazami przez skrzynię, gorączkowo zwiedza się piwnice, świtają pierwsze plany systematycznego chowania się w nory — plany, które po trzech, czterech tygodniach miały stać się pasją i gorączką nerwową getta.

Rano 19 stycznia.

Spokojne rano — z zastrzykami telefonów od zaprzyjaźnionych i neutralnych gestapowców.

Szepty docierają na pierwsze piętra: „Skosowski powiedział... Paweł twierdzi... Adam dzwonił...

Ostry nakaz zarządu, skwapliwie podchwycony i przestrzegany przez kierowników warsztatów pracy.

Warsztaty wypełniają się wyżej zwykłej frekwencji.

Intensywny szturm po numerki. Zarząd dotąd nie zdążył wydać numerków robotnikom. Zatrwożone kolejki na schodach pod drzwiami gromowładców. Były bramkarz, pół-inteligent, ale aryjczyk Józef Z. leniwie i dostojnie grzebie w papierach i zasługach.

Żydzi zalęknieni kłaniają się w pas, w pół i ćwierć, odchodzą dumnie z blaszkami. Godziny płyną. Z getta dalsze wieści o akcji. Oczywiście trupy, Umschlagplatz, wagony, nic się nie zmieniło, kulawego Szmerlinga sprowadzono na plac do roboty. Sto dni Napoleona. Stary generał wraca na nowe zwycięstwa.

Starą ekipa Pepidu*) pod batutą Mefista z bródką.

Szopów akcja nie dotyczy, nie byli dotąd w żadnym szopie.

Oficjalnie z Dienststelle. Szopów akcja nie dotyczy.

SS-owcy IDĄ DO SZOPU!!!

Nagły alarm. Paniczny bieg Mrowie rozpryskuje się z podwórka na strychy, do piwnic, do warsztatów . . . Blok dygocze drżeniem 3000 istnień.

— Chować się! Nie . . . Iść do warsztatów!!! Kto nie ma numerków?

2000 ludzi nie ma numerków. Uciekać z bloku — dziurą do getta!!!

Za późno!!! Żandarmeria obstawiła blok.

Schody wystukują tupot zgrozy. Moja łódź idzie na dno — woda dochodzi do kajut . . .

Tysiące kierunków, dziesięć tysięcy niepotrzebnych ruchów, kroków i chwytów, suche przerażone oczy, ręce szarpiące torby, klamki i kapelusze.

PANIKA!!!

BRAND jest na pierwszym piętrze. Idzie do Dienststelle.

Jest godz. 2 minut 45.

W naszym mieszkaniu są wszyscy, którzy tu wczoraj i onegdaj siedzieli ze mną, prowadząc teoretyczne rozmowy i dyskusje.

Teorie i plany rozpadają się i nikną.

Włazimy do pokoiku przez okienko z łazienki. Drugie wejście jest zastawione szafą i zawalone gratami. Są tu wszyscy . . . Moi sąsiedzi, współlokatorzy.

Przyjaciele . . . Jest i Asia milcząca i energiczny Sioma i inni.

Jest wspaniały typ urody aryjskiej czy słowiańskij, diabli wiedzą jak oni to nazywają — Ziuta które mogłaby pozować do folklorystycznego obrazu polskiego.

18 osób w ciemnym, śmiesznie i naiwnie zamaskowanym pokoiku.

Połowa nie ma blaszek kontrolnych.

Mieszkanie cichnie i zamiera w oczekiwaniu.

Po stratowanej porcelanie, szklankach, połamanych meblach chodzi cicho i uważnie Trwoga, której milczące stąpanie urasta do zatrważających, groźnych odgłosów.

Siedzimy. 5-ta minut 7 . . .

Tupot tym razem nie imaginacyjny.

Pierwsze odczłowieczenie człowieka.

Józek K., którego matka i siostra siedzą z nami, wpada do łazienki i krzyczy poprzez zapory: „Wychodzić! . . . Otwierać! To jest tylko przegląd numerków. Numerkowym nic się nie stanie!“

W schronie — wahanie.

*) *Służba przeciwepidemiczna.*

Brzęk rozbitej szyby i rumor łamanych dykt przerywa medytacje — wychodzić! Człowieku nie niszcz schronu! Tu siedzą ludzie bez numerków! Nie niszcz skrytki! Ale zapamiętała bestia ludzka gna już dokoła, z drugiej strony odsuwa szafę, rozbija zmyślne dekoracje sztucznego nieładu . . .

Schron jest rozbity, zdemaskowany i nie do użytku.

Bydło numerowe gna na dół. Kilka okazów bez numerków stoi bezwładnie na rumowisku, na stratowanej łące.

(Woda dochodzi do piersi . . . coraz mniej powietrza w mojej imaginacyjnej łodzi podwodnej).

I tak się zaczęło . . . a raczej tak się skończyło . . . .

Ostatni raz widziałem tych ludzi . . .

O piętro niżej w szafie biura głównego ukryłem żonę, sam między urzędnikami biura czekałem na cud, że ominą Dienststelle.

Potem godzina blokady.

Brand ręczy słowem honoru, że zabierze tylko „dzikich bez numerków“.

Z kolei ręczy dyrekcja: warsztaty spokojnie schodzą, wszystko ustawia się na podwórku.

Dawkowane jak lekarstwo, rozdawane jak medale za waleczność, numerki w tej chwili garściami wtyka bramkarz Z. w dłonie przechodzącym, aby rozdawali komu chcą . . . kto podejdzie . . .

Byle ratować. Za późno. Niemieckie słowo honoru i tym razem nie zawodzi trzeźwych oczekiwań.

Selekcja. Bicie pejczem. W s z y s t k i e k o b i e t y są zabierane przez SS-manów. Do szeregu idącego na plac wchodzą wyciągnięte z naszej skrytki matka i siostra niszczycielskiego bydlęcia (O, niesłodka i zbyt skora Nemezis . . .).

Idzie Asia, idzie skulona, jeszcze mniejsza niż zwykle Fania (zimno, zimno, przeraźliwe zimno... a tam droga, plac, zimno...), idzie dziewczyna od ułanów z obrazów Kossaka, Ziuta. Mąż Ziuty prosi o zwolnienie żony, z tytułu swojego stanowiska w Werkschutzu. Esesowiec pozwala.

Eli wyciąga żonę z szeregu.

W Asi budzi się bunt, bezsensowny dławiący gniew. Nie! Dlaczego tamta? Ona ma większe prawo do życia! Ona ma dziecko!!! Licytacja życia i śmierci... Prawo, rozsądek, logika, ból, prawda, macierzyństwo — wszystko na wąskiej kładce nad przepaścią, w sekundzie, w jednym kroku między szeregiem a pejczem SS-mana.

Biegnie za Ziutą . . . Strzał żandarma. Kula trafia ją w czoło. Pada na miejscu. Ziuta i mąż wchodzą do szeregu, idącego na plac.

Imiona — Ziuta . . . Asia . . . Eli . . . Frania . . . Sioma... czy to wam coś mówi? Nic Ludzie. Niepotrzebne. Było takich tysiące. Tysiącami szli na plac, tysiącami byli bici pejczami, odrywani od rodzin, ładowani do wagonów. Gazowani. Statystyka ich nie wymieni, żaden krzyż nie odznaczy. Imiona. Puste dźwięki. Dla mnie to ludzie żywi, bliscy, dotykalni, to życie, które znam, to szmaty zdarzeń, w których byłem. Te tragedie, przerastające siłę odczuwania, dla mnie ważniejsze są od losów Europy.

Poszli.

Do odchodzącej grupy z w o l n i o n y c h strzela z tyłu na pożegnanie SS-mann Orph.

Poszli.

Bilans.

Blok nabrzmiewa głuchym płaczem. Zbieranie trupów.

Oblężenie telefonów. Pomocy! Pomocy! Pomocy! Mobilizacja szyszek z Gestapo! Telefony na plac — czy są wagony? Czy jest pan Szmerling? Panie kierowniku . . . mój . . . moja . . . zabrani! . . . Panie komendancie! Panie Skosowski! Pomocy! Każda suma! 100.000! Ile będzie trzeba! Pół miliona daję za 20 osób! Za 10 osób! Za jedną osobę!

Żydzi mają pieniądze! Żydzi mają znajomości! Żydzi są bezsilni!

Kto jedzie? Kto pójdzie? Trzeba coś robić!

Nowe wiadomości dochodzą z placu — Hołodenko zabity przy wejściu do swego schronu, do którego nie mógł się dopukać.

(Poprzedniego dnia sam wydał regulamin niewpuszczania po zamknięciu skrytki).

Bezładne bieganie po bloku.

Wycie. Tumult.

Trup Asi leży na wartowni.

Eli, zuchwały, pyszny chłopak (te opowieści o Belgii, Gandawie, angielkach i oddechu Europy) poszedł . . .

Mój cały dom poszedł.

Idę przez pusty długi korytarz. Syczy jakaś gotująca się woda. Jakaś porzucona teczka . . .

Rozrzucona pościel. Niedopita szklanka.

Nie ma. Nie ma. Nikogo nie ma . . .

Uciekam z mieszkania.

Już ratownicza ekipa wyjechała na plac.

Szymek Kac kładzie czapkę porządkowego. Dostaje pieniądze i daleko idące upoważnienia.

Noc szybko spada na dolinę żałoby.

Znów nerwowy krótki sen, rano trzeba czuwać, to się może powtórzyć.

UMARŁYM...

Napięte oczekiwanie na wiadomości z placu, kogo zdołano wyratować. Na razie udało się około 100 osób ukryć w piwnicy. Potem 200 . . . Ludzie kryją się w piwnicach. Wagonów nie ma. Może część się uratuje.

Akcja w mieście . . .
Akcja u Schultza . . .
Akcja u Toebbensa . . .
Pierwsze ożywiające nerwy wiadomości.

Opór. Padają strzały. Żydzi mają granaty. Żydzi mają broń.

Na Niskiej podpalono dom. U Schultza rzucono granaty.

Są zabici i ranni SS-mani.

Niemiecka karetka pogotowia krąży po dzielnicy.

Getto przestaje być knieją trzebionej zwierzyny.
Staje się frontem.

Legenda urasta. Mit nabrzmiewa. Opowiadają o walkach. O wycofywaniu się żandarmów.

SS-mani nie wchodzą do piwnic. Na skrzyżowaniu ulicy rozpłaszczył się trup pierwszego Esesowca.

Pejcz leży w rowie.

Z getta wywieziono szpital. Wszystkich chorych i całą obsługę szpitalną. Siostry, lekarzy, wydział zdrowia.

Na sali chirurgicznej zastrzelono leżących w gipsie (jednego po drugim).

(Męko, czekająca swoich wielkich piór. Dziesiąty, czy piętnasty leżący w gipsie, czekający na swoją kulę, z nogami czy członkami w gipsie, bez ruchu . . .)

Wywieziono cały areszt centralny. Z Cyganami. Cyganie nie chcieli wejść do wagonów. Zostali rozstrzelani na miejscu.

Doprowadzonych na plac ludzi od Schultza za opór dopada siny i wściekły z pasji Brand. Rozbija kolbą rewolweru czerepy, strzela do każdego dziesiątego, kobietom wyrywa włosy z głowy, kopie buciskami niemieckiego żołdaka.

Wchodzą do wagonów.

Nowy amerykański w pomyśle organizacyjnym a szatański i wściekle pieski, niemiecki sposób udręki i oszczędności pracy.

Przyjeżdżają auta z Werterfassung i wchodzącym do wagonów (20 stopniowy mróz) zabierają buty, palta, marynarki, swetry, żeby odebrać ostatnią nadzieję, że może gdzieś do obozu . . . że gdzieś na pracę . . .

Aby nie obdzierać trupów . . .
Obdarci z ubrań i obuwia wchodzą do wagonów.
(Fania... Fania... Fania...)

Po 150 osób . . . Potem po dwieście . . . (do wagonu normalnie wchodzi 40 osób, podczas poprzedniej akcji po 60 osób).

Jak się okazało było to bardzo potrzebne.
Trzecia noc.
Jutro ma być koniec.

Krótkie, za krótkie noce w pokoju, w zamarłym bezruchu, nieładzie, w grobowcu nagle zabranych istnień.

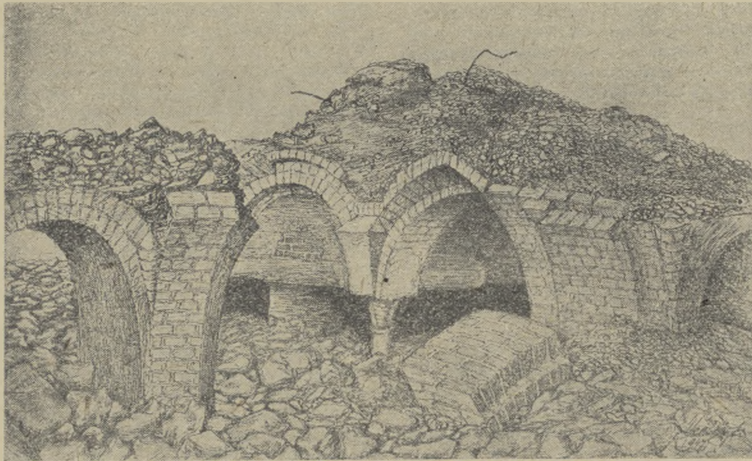
Ludzie garną się w stada w dniach paniki.
W pokoju śpi 7 czy 8 osób.
Nieprzerwana rozmowa o minionych godzinach.
Nieprzerywane jątrzenia rany, aby ból zaciskał pięści.

Szymek wciąż na placu.

Spędza noce na bezowocnych próbach wyciągnięcia, przekupienia, oszukania Ukraińców i żandarmów.

Wracają pierwsze jaskółki.

Nowe nowele i sensacyjne przygody z zeszytowych romansów. Eli wrócił z placu. Pomogli mu koledzy porządkowi.



Henryk Hechtkopf: z Cyklu „Ghetto Warszawskie“. Fragment z ul. Świętojerskiej.

Ziuta wraca z placu w przebraniu polskiego policjanta ,w kożuchu, w butach, z rewolwerem.

Szymek wyciąga parę (2 czy 3 osoby) delikwentów.

Wraca tuż przed wejściem do wagonu wyciągnięta O.

Nowa seria opowiadań. Już wiemy wszystko.

Jak się stłacza do wagonów, co się mówi i myśli w piwnicy Umschlagplatzu, jak SS-mani wywabili pochowanych groźbą użycia gazów, wiemy jak zabijano, jak zabierano obuwie i palta, jak Szmerling przyjmuje defiladę, znamy ostatnie życzenia bliskich.

Wiemy.

Wiemy jak robi się koszmarne fortuny — jak chodzą po piętrach, szukając wody, jak proponują Ukraińcom miliony, jak oszczędzający na białym chlebie wyjeżdżali, unosząc sumy, jakimi mogli utrzymać przez miesiące te setki ludzi na placu.

Jak wyjeżdżają bez palt z widmem uduszenia w gazie, z brylantami w obcasach, jak sucho ocierają się o ciało dolary, funty, „twarde“ i „miękkie“.

Skarb Rzeszy rośnie.

Żydostwo umiera.

Wszystko umiera.

Narasta historia mała, ciasna i nieważna historia naszych dni.

Czwarty dzień akcji.
Opór rośnie.

Kronika galopuje.

Szternfeld, król gestapowców żydowskich, zamordowany przez Niemców.

Selekcja Służby Porządkowej.

Samobójstwo pułkownika Szeryńskiego.

Rozwiązanie zakładów, gminy etc.

Nowe formy, nowe oszukańcze numerki i perspektywy.

Przerwa w akcji.





Z. Tołkaczew: „Kołysanka“

Lud nazywa tę akcję małą akcją w odróżnieniu od „dużej“ — lipcowej.

Ale akcja trwa.

Żydzi czują w powietrzu, we krwi, wyczytują między wierszami plotek, wieści i nowych sugestii koleżków z Alei Szucha.

Zwozi się cement, cegły, noce rozbrzmiewają stukiem młotów i oskardów. Pompuje się wodę, robi się studnie podziemne. Schrony. Mania, pęd, nerwica serca getta warszawskiego.

Światło, kable podziemne, przebijanie wylotów, znów cegły, sznury, piach . . .

Dużo piachu . . . Piach. . . .

Nary. Prycze. Aprowizacja na miesiące.

Przekreśla się elektryczność, wodociągi, wszystko, dwadzieścia wieków przekreślonych przez pejcz SS-mana.

Epoka jaskiniowa. Kaganki. Studnie wiejskie. Długa noc.

Ludzie wracają pod ziemię.

Przed zwierzętami.

A za oknem coraz wyższe słońce.

Wyjątkowo ciepły luty.

Przeglądam i segreguję wiersze pisane dla tych, których nie ma. Te wiersze czytałem ciepłym, żywym ludziom, pełen wiary w przetrwanie, w koniec, w jutro, w zemstę, w radość i odbudowanie.

Czytajcie.
To nasza historia.
To czytałem umarłym . . .

Władysław Szlengel

Izabela Gelbard

Pieśń o tym, jak na stacji Falenica grzech splamił Boga

Ze wstrętu i zgrozy zbladła twarz księżyca,
Ptaki w powietrzu wstrzymały swój lot.
Jest tor kolei, stacja Falenica,
Gdzie pociąg pędząc łomoce, jak młot!
W pociągu wiozą Żydów na miejsce stracenia,
Pociąg - więzienie, w którym zionie chlor.
Z tego pociągu uciekło szukając zbawienia
Dwoje rodzeństwa spośród śmierci zmor.
Trudno ujść Niemcom — ich śmiertelnej kuli,
Zbyt wczesna radość — to siostra i brat,
A gdy kula dosięgła, nawet nie poczuli...
Wolne niebo nad nimi rozkwita, jak kwiat.

Jej strzaskało kolano, chłopca w pierś trafiło
Przypadł głową do ziemi — zamglony ma wzrok,
Wyszeptał cicho „Mamo“ — dzieciństwo wróciło —
I skonał. Teraz wolnym jest wreszcie, bo zabrał go mrok

Patrzyła przerażona półwidzącym okiem
Ludzie jacyś nadeszli, stali w cieniu drzew...
„To tylko zbiegli Żydzi przed śmierci wyrokiem“
„Patrz! Łatę na ramieniu zakrywa mu mech...“

Mieć wolne niebo nad głową! Gwiazda wielka, złota!
Tam, w otoczonym getcie niebo skrywał mur,
I w piersiach, dziewczęcych piersiach załkała tęsknota —
Wolność, świat, niebo śpiewa, jak anielski chór...

Jakie było jej imię — nikt wiedzieć nie będzie,
Zosia, Hania czy Irka, jak matka ją zwie?
Setki tysięcy padło tu i tam i wszędzie
„Widzisz? kolano strzaskane, a uciekać chce“.

„O, patrzaj, jaka ładna i duża i smukła
Z oczu rozpacz wyziera, błaga o coś nas,
Brat zabity i po nią idzie śmierć okrutna.
Lepiej, żeby uciekła — mógłby skryć ją las...“

„Pomóżcie dobrzy ludzie — las jest niedaleko
Zlitujcie się, zbliżcie do mnie, podeprzyjcie krok
Szuwary gęste w lesie, wikliny nad rzeką
Pomóżcie! wolność blisko, jeden mały skok!“

Bezbronna, jak ptak raniony, wyciągała ręce
Błagała i płakała leżąc w własnej krwi
Bredziła chaotycznie w gorączce i męce
Skomlała i wołała skroś łez i przez łzy.

Jedna pani przyniosła w kubku trochę mleka,
Jakiś pan podał bandaż, drugi marchwi kiść,
Ale nikt wstać nie pomógł — „jak chce, niech ucieka
Ale Żydowi pomóc? — za to śmierć jest dziś...“

Przy trupie brata nocą sama pozostała
Księży blady od zgrozy ukrył wąski nów,
Na ziemi umęczona usnęła i spała,
I w gorączce popadła pod moc dziwnych snów.

...Matka z siostrą w Japonii na kwitnącej górze
Orkiestra gra na fletach — one jedzą ryż
Obie w srebrnych kimonach, z złotej laki róże
...Cień jakiś się przybliża... wielki czarny krzyż!

Matka wachlarz ma w dłoni, a siostra na czole
Gwiazdę syjońską, jak diadem — co za dziwne sny...
O, idą parami dziewczynki, zupełnie, jak w szkole,
Braciszek do niej biegnie — czegoż on tak drży?...

Obudziła się nagle... Bóg dał mrok i ciszę...
Noga boli i piecze. Bóg dał gwiezdną noc...
Bóg dał melodię nocy, co w tęskność kołysze,
Jak dobra, przedobra jest ta Boża moc...

Zimne brata ręce, zaciśnięte w pięści,
Do ust gorących tuli i cichutko łka
Przecież po mękach getta — umrzeć tu, to szczęście!
Przecież pod wolnym niebem i śmierć nie jest zła.

„Braciszku mój! przysunę się bliżej do ciebie,
O, biedne przebite piersi — widzisz? wstaje świt!
Otwórz oczy — patrz! gwiazdy pobladły na niebie
Ze zdziwienia, że tutaj na wolności — Żyd“.

Szeptała mu coś w ucho i znowu usnęła,
Przez sen się uśmiechała — śnił się obcy kraj
...że w kimonie tańczyła... chryzantemy cięła.
Na torze w Falenicy zielenił się maj —

I znów się obudziła — słońce już wysoko,
Gromada ludzi obcych kornie karki gnie
Żandarmi i policja — policjant szeroko
Tłumaczy i wgaduje „Oj będzie z nią źle...“

Stanęli przed dziewczynką, leżała półsenna
Gorączkę widać było ze spieczonych warg,
Ona nie jest już w getcie... i radość promienna
Rozjaśnia jej czoło bez łez i bez skarg.

„Patrzaj! dziewczyna śliczna, wygląda jak nasza
Nawet trudno rozpoznać, taki prosty nos
To się zbiera gromadka, to się znów rozprasza
Ot, widowisko zwykłe, zwykły co dnia los...

Żandarm spojrzał na młode i dziewczęce ciało
Zaklął z cicha „Verfluchte“... nie mógł... spuścił broń...
Niech policjant zabije! samemu się nie chciało
Strzelać w drobne piersi, ani białą skroń —

Policjant też się wzbraniał — to nie jego sprawa,
To robota nie jego! — to nie jego dział!
Zabić ładną dziewczynę — ot głupia zabawa —
A krwią plamić swe ręce, nie każdy by chciał.

Podeszli do gromady — Niechaj jeden z tłumu
Zastrzeli tę dziewczynę, będzie za to w mig
Złociszów cała setka — Kto ma dość rozumu?
Zarobek bardzo ładny — toć to tylko Żyd!

To tylko Żydóweczka! — Kto tu jest obrotny?
Już wystąpił kat jakiś „Jak trzeba, no to trza“
Wziął rewolwer, nie zadrżał i dał strzał dwukrotny
Schował stówkę i gwizdnął „Bimbru miarka zła“.

...Bzy liliowe pachniały, liliowo i rzewnie,
O, jakże kochała te liliowe bzy...
Szeleścił wiatr liśćmi przeciągle i śpiewnie
Opowiadał bzom dziwne o Japonii sny.

Do zmierzchu tak leżeli przytuleni blisko
Mrok ciszą się rozdzwonił — umilkł ptaków śpiew,
Nieznane jest jej imię — nieznane nazwisko,
...Na stacji Falenica — Boga splamił grzech.

Śródborów, w maju 1943 r.

RAPORTY STROOPA

likwidatora getta warszawskiego




Z. Tołkaczew: „Patent 67353“

Podajemy poniżej niemieckie opisy walk w 3 — 4 i 5-tym dniu powstania. Zawarte w niepublikowanych dotąd raportach dziennych likwidatora getta warszawskiego, generała Jürgensa Stroppa, relacje, w których generał niemiecki nagwałt usiłował przed swymi zwierzchnikami wykazać swą gorliwość i bohaterstwo w łamaniu powstania żydowskiego — stają się mimowolnym świadectwem żydowskiego bohaterstwa.

D E P E S Z A

Nadawca: Dowódca SS i Policji na Dystrykt Warszawski

Warszawa, 21 kwietnia 1943 r.

Zn.: I ab. -St/Gr. - 16 07 Dz. Nr. 527/43 tajne.
Dotyczy: akcji w getcie.

Do
Wyższego Dowódcy SS i Policji Wschód
SS-Obergruppenführera i Generała Policji
Krugera lub zastępcy w urzędzie
w Krakowie.

Przebieg akcji w getcie dnia 21 kwietnia 1943 r.

Nawiązując do telefonicznego meldunku z dnia dzisiejszego z godz. 14-ej, donoszę co następuje:

Użyto w walce takich samych sił jak 20 kwietnia.

Początek akcji: godzina 7-ma całe getto zamknięte od chwili rozpoczęcia akcji dnia 19 kwietnia 43 bez zmian.

Ponieważ częściowa akcja przeciwko kompleksowi budynków Zarządu Wojskowego we wschodniej części getta wieczorem dnia wczorajszego z powodu ciemności musiała być przerwana, przeto użyto w określonym czasie grupę bojową, wzmocnioną przez pionierów i ciężką broń. Po oczyszczeniu olbrzymiego bloku domów okazało się, że znajduje się tam niezliczona ilość bunkrów i podziemnych przejść; ujęto około 60 Żydów. Pomimo usilnych starań nie można było ująć Żydów w ilości około 700 — 800, którzy się w bloku znajdowali. Wycofali się oni, przechodząc z kryjówki do kryjówki poprzez podziemne przejścia, ostrzeliwując się ód czasu do czasu. Zdecydowałem się, o ile na to znajomość podziemnych przejść pozwalała, wysadzić je i następnie podpalić cały blok. Dopiero kiedy ogień przybrał większe rozmiary zaczęli ukazywać się krzyczący Żydzi, których natychmiast wysiedlono. Własnych strat nie zanotowano przy tej akcji. Podjęto starania, by powstały wielki pożar zlokalizować.

Większość sił została użyta dla oczyszczenia tzw. niezamieszkałej, lecz jeszcze nie ewakuowanej całkowicie części getta, w kierunku z południa na północ. Przed rozpoczęciem akcji ujęto z byłych przedsiębiorstw zbrojeniowych 5200 Żydów i pod strażą doprowadzono ich na dworzec przewidziany dla przesiedlenia. Utworzono trzy specjalne oddziały dla poszukiwań, którym dodano specjalne grupy szturmowe w celu zwalczania wzgl. wysadzania okrytych bunkrów. Przedsięwzięcie to po oczyszczeniu połowy obszaru musiało być przerwane z nastaniem zmroku.

Dalszy ciąg dnia 22. 4. 43. godzina 7-ma.

Poza przeznaczonymi do wysiedlenia Żydami wykończono w walce 150 Żydów bądź bandytów: około 80 bandytów zniszczono przy wysadzaniu bunkrów. Przeciwnik walczył dzisiaj tym samym uzbrojeniem, jak dnia wczorajszego. W szczególności używał przygotowanych przez siebie środków wybuchowych. Próbki przechowuje Dowódca SS i Policji.. Stwierdzono po raz pierwszy uczestnictwo członków żydowskiej bojowej organizacji kobiecej (ruch chalucowy). Zdobyto: karabiny, rewolwery, ręczne granaty, materiały wybuchowe, konie i części umundurowania SS.

Straty własne: 2 ludzi z policji porządkowej, 2 SS-owców i 1 członek załogi obozu w Trawnikach (szereg lekkich ran).

Dowódca SS i Policji
Dystryktu Warszawskiego
S t r o o p
SS Dowódca Brygady
i Generał Major Policji.

Za zgodność odpisu
Podpis
SS-Sturmbannführer

* * *

D E P E S Z A

Nadawca: Dowódca SS i Policji na Dystrykt Warszawski

Warszawa, 22 kwietnia 1943 r.

Zn.: I ab. St/Gr. - 16 07 Dz. Nr. 530/43 tajne.
Dotyczy: akcji w getcie — uzupełnienie do 1-szej depeszy z 21. 4. 43.

Do
Wyższego Dowódcy SS i Policji Wschód
SS-Obergruppenführera i Generała Policji
Krügera lub zastępcy w urzędzie
w Krakowie.

Podpalenie domów dało w ciągu nocy taki wynik, że Żydzi, którzy ukrywali się dotychczas mimo wszelkich rewizji na strychach, w piwnicach i innych kryjówkach, poczęli ukazywać się na zewnątrz, by się w jakiś sposób uratować przed ogniem. Masowo — całymi rodzinami — wyskakiwali Żydzi, ogarnięci płomieniami, przez okna lub spuszczali się na powiązanych prześcieradłach w dół. Przedsięwzięto starania, ażeby zarówno ci, jak i tamci Żydzi zostali natychmiast zlikwidowani. Przez całą noc strzelano znowu z domów, które uważano już za oczyszczone. Strat po stronie okrążających nie zanotowano.

Dla wysiedlenia ujęto 5300 Żydów i odtransportowano.

Dowódca SS i Policji
Dystryktu Warszawskiego
S t r o o p
SS Dowódca Brygady
i Generał Major Policji.

Za zgodność odpisu
Podpis
SS-Sturmbannführer

* * *

D E P E S Z A

Nadawca: Dowódca SS i Policji na Dystrykt Warszawski

Warszawa, 22 kwietnia 1943 r.

Zn.: I ab S/Gr 16 07 - Dz. Nr. 531/43 tajne
Dotyczy: akcji w getcie.

Do
Wyższego Dowódcy SS i Policji Wschód
SS-Obergruppenführera i Generała Policji
Krügera lub zastępcy w urzędzie
w Krakowie.

Przebieg akcji w getcie dnia 22. 4. 43. do godziny 12-ej.

Grupa bojowa wtargnęła ponownie do spalonego w znacznej części bądź płonącego bloku domów, celem ujęcia znajdujących się tam wciąż jeszcze Żydów. Ponieważ z innego kompleksu budynków ponownie otworzono znów ogień na SS-owców, podpalono i ten blok z tym wynikiem, że wielka liczba bandytów została wypłoszona z kryjówek i w czasie ucieczki zastrzelona. Pozatym ujęto w podwórzach budynków 180 Żydów. Większość jednostek bojowych zajęła się oczyszczaniem nieprzeszukanych budynków getta od linii, którą osiągnięto wczoraj. Powyższa akcja jest w tej chwili w toku. Jak w dniach poprzednich, złamano opór lokalny i zburzono wykryte bunkry. Niestety nie można zapobiec temu, że część Żydów i bandytów ukrywa się w kanałach pod gettem i wyłapać ich nie jesteśmy w stanie, ponieważ zasuwy wodne zostały przez nich przerwane. Zarząd Miejski nic nie może zrobić celem usunięcia tego stanu rzeczy. Użycie świec dymnych i zmieszanie wody z kreozotem nie dało pożądanego rezultatu. Łączność z wojskiem doskonała.

Dowódca SS i Policji
Dystryktu Warszawskiego
S t r o o p
SS Dowódca Brygady
i Generał Major Policji.

Za zgodność odpisu
Podpis
SS-Sturmbannführer

* * *

D E P E S Z A

Nadawca: Dowódca SS i Policji na Dystrykt Warszawski

Warszawa, 22 kwietnia 1943 r.

Zn.: I ab — St./Gr. — 16 07 — Dz. Nr. 532/43 tajne.
Dotyczy: akcji w getcie.

Do
Wyższego Dowódcy SS i Policji Wschód
SS-Obergruppenführera i Generała Policji
Krügera lub zastępcy w urzędzie
w Krakowie.

Przebieg akcji w getcie dnia 22. 4. 43. Raport o akcji do godziny 12-ej przekazano już dzisiaj depeszą.

Dodatkowo melduję co następuje:

Wspomniane już przeszukiwanie reszty budynków przez oddziały szturmowe, które natrafiły częściowo na opór, dało następujące rezultaty: ujęto 1100 Żydów do wysiedlenia, zastrzelono 203 bandytów i Żydów, wysadzono w powietrze 15 bunkrów, zdobyto 80 flaszek zapalnych i inną zdobycz.

Siły stojące do dyspozycji: jak podano w depeszy z dnia 20. 4. 43. Dz. Nr. 516/43 tajne.

Własne straty: SS-Untersturmfuhrer Dehmke — Kaw. Oddział zapasowy (zabity pociskiem, który uderzył w granat trzymany przez niego w ręku).

1 wachmistrz policji (postrzał w płuca).

Wielu Żydów i bandytów znalazło swój grób pod ruinami wysadzonych przez pionierów bunkrów. Celem wykurzenia band było rzeczą konieczną w wielu wypadkach wzniecać pożary.

Należy podać do wiadomości, że od wczoraj jednostki bojowe są stale ostrzeliwane poza gettem z dzielnicy aryjskiej. Oddziałom szturmowym udało się przez natychmiastowe wtargnięcie uchwycić w jednym wypadku 25 polskich bandytów i komunistów, którzy natychmiast zostali zlikwidowani. Przy rozstrzeliwaniach, które dzisiaj były konieczne, zdarzało się często, że bandyci padali z okrzykiem „Niech żyje Polska“, „Niech żyje Moskwa“.

Akcja będzie kontynuowana dnia 23 kwietnia od godziny 7-ej rano.

Dowódca SS i Policji
Dystryktu Warszawskiego
S t r o o p
SS Dowódca Brygady
i Generał Major Policji.

Za zgodność odpisu
Podpis
SS-Sturmbannführer

D E P E S Z A

Nadawca: Dowódca SS i Policji na Dystrykt Warszawski

Warszawa, 23 kwietnia 1943 r.

Zn.: I ab. — St/Gr. — 16 07 — Dz. Nr. 538/43 tajne
Dotyczy: akcji w getcie.

Do
Wyższego Dowódcy SS i Policji Wschód
SS-Obergruppenführera i Generała Policji
Krugera lub zastępcy w urzędzie
w Krakowie.

Przebieg akcji w getcie dnia 23. 4. 43. Początek godzina 7-ma.

Całe byłe getto zostało dla celów oczyszczenia podzielone dzisiaj na 24 okręgi. W każdym okręgu działał jeden wzmocniony oddział szturmowy ze specjalnym zadaniem. Dla wykonania zadania zakreślono czas do godziny 16-ej.

Wynik przedsięwzięcia: 600 Żydów i bandytów wydobyto i ujęto, 200 Żydów i bandytów zastrzelono. 48 bunkrów, z tego niektóre najbardziej przemyślne, wysadzono w powietrze. Zdobyto, poza przedmiotami wartościowymi i pieniędzmi, również kilka masek gazowych.

Jednostkom podano do wiadomości, że akcja ma być ukończona w dniu dzisiejszym. Wiadomość ta była już znana Zydom dzisiaj rano. Z tego powodu po około 1 i pół godzinnej przerwie ponowiono akcję oczyszczanie przez oddziały służbowe z tym skutkiem, że jak zwykle stwierdzono w rozmaitych blokach obecność Żydów i bandytów. Z jednego kompleksu budynków ostrzeliwano nawet okrążających. Rzucono w to miejsce specjalną grupę bojową i w celu wykurzenia bandytów podpalono wszystkie domy. Żydzi i bandyci trzymali się do ostatniej chwili, ażeby następnie ostrzeliwać atakujące jednostki. W użyciu były nawet karabiny. Szereg bandytów strzelających z balkonów ściągnięto kulami w dół.

Dnia dzisiejszego ujawniono siedzibę Centrali P. P. R., która była pusta i została zniszczona.

Wciągu dzisiejszego, 5-tego dnia walk, zmuszono widocznie do walki największych terrorystów i aktywistów, którym udawało się dotychczas uniknąć zaskoczenia bądź wysiedlenia.

Wedle doniesień pewnego Volksdeutscha, udało się znowu Żydom uciec przez kanały do aryjskiej dzielnicy. Zdradzono, że w pewnym domu przechowuje się kilku Żydów. Pewien specjalny zmotoryzowany oddział szturmowy wtargnął do domu i udało mu się jeszcze ująć jednego Żyda i 2 Żydówki. Podczas tej akcji samochód został zaatakowany przy pomocy płonącej flaszki i obrzucony materiałami wybuchowymi, wskutek czego dwóch polskich policjantów zostało rannych.

Cała akcja jest utrudniona przez to, że Żydzi i bandyci uciekają się do bardzo wymyślnych forteli. Stwierdzono, na przykład, że w wozach, na które składano trupy, przemycano równocześnie żyjących Żydów na cmentarz żydowski, skąd udało im się ujść z getta. Przez stałą kantrolę wozów z trupami również ta droga ucieczki zostanie przecięta.

Przy ukończeniu dzisiejszej akcji około godziny 22-ej stwierdzono, że znowu około 30 bandytów przemknęło się do tzw. przedsiębiorstwa zbrojeniowego, aby tam znaleźć schronienie. Ponieważ w tym przedsiębiorstwie znajdują się cenne przedmioty wojskowe, wezwano przedsiębiorstwo do opróżnienia gmachu do 24. 4. w południe, aby i ten labirynt domów jutro zaatakować.

Z przedsiębiorstwa ujęto dzisiaj do wysiedlenia 3500 Żydów. Łącznie ujęto po dzień dzisiejszy do wysiedlenia bądź odtransportowano około 19,450 Żydów. Do przeładowania pozostało jeszcze około 2500 Żydów, najbliższy pociąg odchodzi 24. 4. 43.

Liczba użytych sił jak 22. 4. 43. jednak bez 150 członków załogi obozu w Trawnikach, których przydzielono komendzie policji dla spełnienia innego zadania.

Straty własne: 2 rannych polskich policjantów i 1 ranny członek załogi obozu w Trawnikach.

Dalszy ciąg akcji 24. 4. 43. godz. 10-ta. Wybrano tę porę po to, by Żydzi pozostający jeszcze w getcie nabrali rzeczywiście przekonania, że akcja została ukończona.

Dowódca SS i Policji
Dystryktu Warszawskiego
S t r o o p
SS Dowódca Brygady
i Generał Major Policji.

Za zgodność odpisu
Podpis
SS-Sturmbannführer

D E P E S Z A

Nadawca: Dowódca SS i Policji na Dystrykt Warszawski

Warszawa, 24 kwietnia 1943 r.

Zn.: I ab — St/Wdt. — 16 07 Dz. Nr. 545/43 tajne
Dotyczy: akcji w getcie.

Do
Wyższego Dowódcy SS i Policji Wschód
SS-Obergruppenführera i Generała Policji
Krügera lub zastępcy w urzędzie
w Krakowie.

Przebieg akcji w getcie dnia 24. 4. 43. Początek godzina 10-ta.

Odmiennie niż w dniach poprzednich uderzyły również i dzisiaj utworzone 24 jednostki szturmowe równocześnie ze wszystkich stron getta w celu przeprowadzenia oczyszczenia. Zdaje się, że jeszcze pozostali tam Żydzi byli zdania, że akcja, która rozpoczęła się dopiero o godzinie 10-ej, została dnia poprzedniego ostatecznie zakończona. Sukces akcji oczyszczającej był tego dnia szczególnie wielki. Zawdzięczać to należy również i temu, że oficerowie i żołnierze oswoili się już z podstępną walką i fortelami Żydów i bandytów, a przede wszystkim nabyli wielkiej wprawy w wyszukiwaniu niezliczonych bunkrów. Po powrocie oddziałów służbowych zaatakowano wieczorem specjalny blok domów w północno-wschodniej części byłego getta. W tym labiryncie domów znajdowało się tzw. przedsiębiorstwo zbrojeniowe, które rzekomo posiadało na składzie milonowe wartości stanowiące własność wojska, do przeróbki. Zawiadomiłem władze wojskowe dnia 23. 4. około godziny 21-szej o moim zamiarze, z prośbą o ewakuowanie materiałów do godziny 12-ej. Ponieważ wojsko rozpoczęło wywózkę dopiero około godziny 10-ej, byłem zmuszny przedłużyć termin do godziny 18-ej. O godzinie 19.15 po okrążeniu budynku wkroczyła tam grupa oczyszczająca i stwierdziła obecność większej ilości Żydów. Ponieważ część tych Żydów stawiała opór, wydałem rozkaz podpalenia domów. Dopiero kiedy front domów i wszystkie boczne oficyny stanęły w ogniu, ukazali się Żydzi, częściowo płonąc i usiłowali wyskoczyć z okien lub balkonów na ulicę, na którą uprzednio wyrzucili łóżka, kołdry i inne miękkie rzeczy. Coraz częściej można było stwierdzić, że Żydzi i bandyci mimo olbrzymiego ognia woleli doń powrócić, aniżeli wpaść w nasze ręce. Stale aż do ukończenia akcji Żydzi ostrzeliwali się tak, że z końcem dnia grupa pionierów pod osłoną karabinu maszynowego musiała zdobywać silny dom betonowy.

Koniec dzisiejszej akcji 25. 4. o godzinie 1.45.

Dla przesiedlenia ujęto 1660 Żydów, z bunkrów wydobyto 1814, zastrzelono około 330. Niezliczona ilość Żydów została spalona lub zginęła w wysadzonych w powietrze bunkrach. Zniszczono 26 bunkrów i znaleziono wielką ilość pieniędzy, między innymi i dolary.

Siły własne: jak dnia poprzedniego, mniej 50 SS-owców.

Straty własne: 2 SS-owców i 1 członek załogi obozu w Trawnikach ranny.

Dotychczas ujęto w toku akcji 25.500 Żydów, którzy mieszkali w byłym getcie. Ponieważ co do ilości Żydów istnieją tylko niedokładne dane, przypuszczam, że w dzielnicy żydowskiej znajdują się już tylko drobne ilości Żydów i bandytów.

Dalszy ciąg akcji nastąpi 25-go o godzinie 13-ej.

Potwierdzam odbiór depesz Nr. 1222 i 1223 z dnia 24. 4. 43. Wedle przewidywań bieżąca wielka akcja potrwa do drugiego dnia Świąt Wielkanocnych włącznie.

Na murach zewnętrznych getta umieszczono afisze, które podają do wiadomości, że każdy, kto przekroczy granicę byłego getta bez możności wylegitymowania się, zostanie rozstrzelany.

Dowódca SS i Policji
Dystryktu Warszawskiego
S t r o o p
SS Dowódca Brygady
i Generał Major Policji.

Za zgodność odpisu
Podpis
SS-Sturmbannführer

J. Pytel

PODCZAS JEDNEJ AKCJI...

...Tego dnia już niczego się nie spodziewano, gdy nagle wszystko się zmieniło. Jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej zaroiły się ulice, ożyły domy. Zadudniło krokami tysięcy ludzi, ulice zalały twarze, jakby nie z rzeczywistego życia, podniecone, wyzwolone. Trzymani w domach, uwięzieni w klatkach przez tyle dni i nocy, oddzieleni byli od życia normalnego, jakby stalową zasłoną. Tej przebić nie mogli, więc żyli fantazją i mózgiem. Jedni wierzyli w interwencję mocarstw zachodnich, w nagłe załamanie się niemieckie na froncie, w cud. Inni, na zimno, rozumowo dowodzili nielogiczności planu wyniszczenia Żydów, potworności plotki o mydle ludzkim „rif“; już wówczas mówiono o tym straszliwym pomyśle niemieckich szaleńców.

Skazani na czekanie, zamknięci w swych domach, czuli przez cały czas wiszący nad nimi miecz Damoklesa, czuli swą bezsiłę i straszliwe położenie. Ukraińcy na rogach ulic, warty Łotyszów SS i niemieccy żandarmi pilnie strzegli „porządku“. Ktokolwiek wychylił się z bramy swego domu, kto w oknie się ukazał — otrzymywał kulę. Całe getto wyglądało jak jeden wielki kurnik, przedzielony przepierzeniami, a dobrzy gospodarze strzegli od napastników.

Tego dnia fala ludzi szła tak gęsta, że zdawałoby się, że szpilki nie wetknie się. Zewsząd nawoływania, krzyki — powitania. Rodziny odnajdywały się, cieszyły się sobą, pocieszały. Sztuczna bariera runęła — byli znowu na ulicy — odżyli.

Myślałby kto na pierwszy rzut oka, że nikt tymi ludźmi nie kieruje, że idą samopas i gdzie kto chce. Ale to było tylko złudzenie. Na każdym rogu ulicy stała mała garstka ludzi; żandarm niemiecki, Ukrainiec z wiecznym uśmiechem na ustach i SS-owiec Łotysz w czarnym mundurze gestapowca. To byli dyrygenci. Pod ich wprawną ręką i czujnym okiem ruchy ludzi ujęte były w żelazne karby, zmechanizowane i z góry obliczone. Tłum szedł tam, gdzie oni chcieli. Ludzie gnani szli pośpiesznie. Rodziny trzymały się razem.

Nagle zaczęły padać strzały, pojedyńcze, jakby przypadkowe — narazie niewiadomo było, gdzie i do kogo się strzela... Akcja zaczęła się... Na Starym Rynku pod murem kościoła zebrano z okolicznych domów kilkudziesięciu starych Żydów. Zgrzybiali, schorzeni — nie mogli już tak szybko się poruszać. Długie, roztrzęsione brody, babcie opatulone, półżywe. Ręce im drżą. Ale oczy spokojne. Oczy te mówiły, że Bogu oddali już swe sprawy ziemskie, że są gotowi... Szma Israel... Resztę słów zagłuszają strzały — szybkie, silne, obojętne... Na placu Daszyńskiego hauptman Degenhardt, w otoczeniu swej świty, świetny, błyszczący, w białych rękawiczkach — laską rozdzielał: Życie i Śmierć — Links — Rechts.

Hauptmann Degenhardt nie polegał na nikim przy tej robocie. Selekcje przeprowadzał osobiście. Procedura była nader prosta: ludzi przepuszczano przed nim gęsiego i każdy obowiązany był meldować swój wiek i zawód. Jako dowód służyła meldekarta, karta pracy Żydów. Na prawo od Degenhardta fatalne „Rechts“ — oznaczało wysyłkę. Była to droga do wagonu. Ciernista to była droga. Szpaler żandarmów, Ukraińców i policji granatowej po obu stronach gęsto ustawiony, nie przepuszczał nikogo po wy-

(Dalszy ciąg na str. 15-ej)

Helena Szereszewska

Kartki z pamiętnika

U Dulmana na Miłej



Z. Tołkaczew: „Rodzina“

Wzięłam podarte buty mego męża i zaniosłam je do szewca Dulmana. Podwórze domu gdzie mieszkał — było ciasne i zabłocone. Musiałam skakać przez kałuże, uważać żeby nie skręcić nogi w zwałach cegieł. Ledwie znalazłam numer mieszkania w ciemnej i długiej sionce na parterze. Kiedy zapukałam, otworzy ła mi Dulmanowa.

„Ja panią widziałam na Smoczej ulicy w kolumnie, idącej na Umszlag — powiedziała na wstępie. Kryłam się z dziećmi na strychu i wyglądałam dziurą. Powiedziałam do dzieci: patrzcie, dzieci, tam idzie pani Szereszewska na Umszlag“. —

W pokoju stały dwa małżeńskie łóżka z czeczotu, duża szafa i żelazny piecyk z rurą. Obok piecyka na krześle — stolnica, a na niej góra cienko pokrojonego makaronu. Na piecyku stał garnek z buzującą wodą. Wzięła makaron w garście i potrząsając nim wrzuciła do garnka. Dzieci jej — dziewczynka i dwóch chłopców — patrzały na jej ręce.

„Hanka — zawołała — utrzyj nos Elkowi. Dulman, przyszła pani Szereszewska z butami. Proszę, niech pani wejdzie do niego — tam jest jego warsztat.“ —

Przeszłam do wąskiego pokoiku.

Dulman siedział przy warsztacie i zelował but. Obok niego zelował drugi but jakiś starszy szpakowaty mężczyzna. Pod krzesłem stały dwie miski. W jednej była góra szczupaków i karpi; w drugiej — mięso wołowe i ozory.

„To wszystko on przynosi — mówi Dulmanowa — bo jest placówkarzem po aryjskiej stronie. Ale szyje w dalszym ciągu buty. A to jest jego wspólnik. Jeżeli pani będzie potrzebowała rybę albo mięso, to my zawsze sprzedamy. Powodzi nam się dobrze. Dzieci jedzą tylko biały chleb. Nawet Elek, który teraz skończył cztery lata, ma w kieszeni pieniądze.“

Wchodzi dziewczyna, może osiemnastoletnia. Czysto ubrana, uczesana w loki, z pomalowanymi ustami. Bierze stołek i siada obok star szego mężczyzny.

„Czy pani ją poznaje? — pyta Dulman — to przecież Mańcia, córka Skorochodowej — siostry mojej żony. Cała jej rodzina zginęła w Żelechowie. Została sama jedna przy życiu i przyjechała do nas. Wydaliśmy ją za mąż za naszego wspólnika, tego oto co tutaj siedzi z butem. Co mieliśmy z nią robić?“ —

„Kiedy moje buty będą gotowe?“ — pytam na odchodnem.

„Zrobię pani na pojutrze.“

„Dulman — woła Dulmanowa — na pewno zrób. Nie fatyguj pani Szereszewskiej napróżno. Już ja jego przypilnuję, niech pani będzie spokojna.“

Nie zrobił butów na pojutrze, ani nawet po tygodniu. Chodziłam wiele razy, a nawet mąż mój też był u niego. W końcu przecież przybił zelówki.

Żeby zamydlić oczy Niemcom, którzy mogli w każdej chwili wpaść do niego, maskował szmugiel szewckim warsztatem. Nie miał ani głowy ani czasu do rzemiosła.

— — — — — — — —

Po raz ostatni widziałam Dulmana w nowym mieszkaniu na drugim piętrze, na tej samej ulicy Miłej, dokąd się przeprowadził ze swego ciemnego i wilgotnego parteru.

Dorobił się już wtedy na szmuglu tak wielkich pieniędzy, że mógłby się przeprowadzić do pałacyku, gdyby mu zależało i gdyby znalazł pałacyk. Ale żona jego wciąż chodziła bied nie ubrana — w zniszczonej spódnicy, do której się przyzwyczaiła. Nie nosiła nigdy palta, zawsze zarzucała na plecy starą szarą chustkę.

Miała czarne oczy, czarne włosy, białe zęby i miły uśmiech. Ale ponieważ była tęgą kobietą—wyglądała jak gdyby była matką Dulmana. Byli rodem z małego miasteczka. W dzielnicy Mokotów mieszkali wśród chrześcijan — rozmawiali z dziećmi zawsze po polsku. Dziesięcioletnia Hanka podobna była do matki; na tomiast czteroletni Elek, kędzierzawy blondynek o murzyńskich wargach wyglądał zupełnie jak ojciec.

Dwa łóżka i szafa z czeczotu stały teraz w dużym słonecznym dwuokiennym pokoju. Żelazny piecyk z rurą stał także. I akurat Dulmanowa smażyła na nim kartoflane racuchy.

Hanka stała przy oknie i płakała.

„Czego ona płacze? — spytał Dulman, który siedział przy warsztacie.

„Znów chce pieniądze na cukierki. A przecież dałam jej już raz dzisiaj.“

„Daj jej. Daj jej! — powiedział — czego ty jej żałujesz? Niech ma co chce. Wszystko jedno zginiemy i te biedne dzieci razem z nami.“ —

Dulmanowa westchnęła:

„Jak tylko przyszedł miesiąc grudzień — trzymają go się czarne myśli. Od rana do nocy mówi że zginiemy i nie ma już chęci do niczego. Dziwi się, że jeszcze oddychamy, że jeszcze chodzimy po ziemi, że jeszcze jest niebo nad nami. Kładzie palec na głowę Elka i mówi: jaki to cud, że to dziecko jest tak blisko mnie“.

„Pani Dulman — mówię—po co męka? Wy macie pieniądze. Mąż prowadzi handel z Polakami. Ma znajomości — przejdźcie! przejdźcie na stronę aryjską i schowajcie się.“

Dulman, który słyszał moje słowa, odezwał się:

„Ci, którzy są schowani po tamtej stronie, rzucają wszystko i wracają do nas. Tam jest piekło — oni mówią — ten ciągły strach. Baliśmy się policjantów, baliśmy się dzieci, baliśmy się Niemców. Oni mówią, że tam jest tysiąc razy gorzej niż tutaj‘.

„Pani Szereszewska — podchodzi do mnie Dulmanowa — pamięta pani tę panią, która siedziała przy szafie, kiedy pani była u nas pierwszy raz? Ona była po stronie aryjskiej i wróciła z powrotem.“

„Dowidzenia — mówię do nich — już muszę wracać. Czy Mańcia mieszka jeszcze z waszym wspólnikiem.“

„Jeszcze mieszka — mówi Dulmanowa i wy chodzi za mną na schody.

„Pani Szereszewska — mówi szybko — pani Szereszewska kochana. Przecież nic się jeszcze nie stało. Jest cicho. Nic nam nie brakuje. I mieszkanie mamy zdrowe i wszystkiego pod dostatkiem. Ale czujemy śmierć. Tak, czujemy śmierć. Tuż nad naszymi głowami.“ —

Podniosła rękę i zatoczyła nią kilka razy koło nad głową. I zrozumiałam, że w pojęciu jej śmierć utożsamiła się z ptakiem, który kołuje, kołuje — aż wreszcie spadnie i zniszczy...

W kuchni przy ulicy Gęsiej

Pewnego dnia mąż mój powiedział:

„Na Gęsiej tuż koło Lubeckiego otworzono nową Kuchnię. Prosiłaś, żeby ci znaleźć pracę. Jeśli chcesz, możesz pracować w tej Kuchni. Mówiłem już z kierownikiem.“ —

Nazajutrz o godzinie ósmej rano wyszłam z nim razem. Gęsia — numer trzydzieści i siedem. Przed bramą domu — wielka kupa gruzu, starych garnków, pudełek blaszanych i szmat. Ominęłam te śmieci i stanęłam w bramie.

„Trafisz chyba.“ — Pożegnał mnie i poszedł dalej.

Spojrzałam za nim. Szedł z gołą głową w granatowym ubraniu. W lewej ręce — kapelusz; na prawej — przewieszony jasny płaszcz od deszczu. Wysoko nad łokciem — zapięta na dwa paski skórzane, na białym polu — niebieska gwiazda.

Przeczekawszy chwilę, ciemną głęboką bramą weszłam w podwórze. Nie było nigdzie żad nego szyldu, żadnego napisu.

Dookoła wielkiego podwórza — ruiny wypalonych domów. Staruszek — Żyd, przepasany sznurem, nieudolnie rąbał jesionową szafkę. Podniósł gowę i spojrzał na mnie wyblakłymi oczyma.

Był biały jak gołąb, zmarszczony, zgarbiony — miał chyba lat dziewięćdziesiąt. Obok niego na przewróconym kuble siedziała staruszka, podobna do niego jak dwie krople wody — i żuła skórkę czarnego chleba.

Z pewnością ukrywali się w ruinach domu tego podwórza i wyszli na chwilę, żeby napić się wody, zjeść kęs chleba, odetchnąć powietrzem — i znów zaszyć się i zniknąć w zwałach cegieł i kamieni.

Było to jedno z paradoksalnych zjawisk getta, które dziwiło i wzruszało zarazem.

„Gdzie jest Kuchnia “ — zapytałam.

Wskazał w milczeniu siekierą. Weszłam do ciemnej sieni, potem na brudne schody.

Na pierwszym piętrze przez szeroko otwarte drzwi ujrzałam zlew i dwie kobiety w szerokich fartuchach, noszące szaflik z szatkowaną kapustą.

Dano i mnie fartuch, duży nóż — i zasiadłam do stołu szatkować kapustę.

A więc był magazyn — pokoik z workami soli, cebuli, ciemnej mąki, otrębów i kaszy; pokój do pracy, w którym czyszczono jarzyny i gnieciono ciasto na kluski — i mała kuchenka od przedpokoju z wmurowanym nowym kotłem.

Było nas sześć. Prócz nas — magazynier, gospodyni i kobieta do wynoszenia popiołu, przynoszenia drzewa, mieszania w kotle i innych ciężkich posług.

Kocioł gotował czterysta pięćdziesiąt obiadów. Wszystkie obiady szły na Umszlag. Każdego dnia przyjeżdżał wóz i zabierał zupę w zamkniętych baniach. Niemcy żądali, żeby zupy były smaczne i gęste.

Zastanawiałyśmy się nie raz: kto jadał te zupy? — Jakiś personel był przecież na Umszlagu; pracowali robotnicy — czy to przy naprawie wodociągów, czy pieców, czy światła. Może to dla nich? —

Jedna z nas sześciu miała w Anglii męża — adwokata. Była to młoda wesoła jasnowłosa kobieta, zawsze uśmiechnięta. Była już raz na Umszlagu i wykupiła się za złotą piecorubłówkę.

Mieszkała w tym samym domu na podwórzu w dwupokojowym mieszkaniu, do którego wchodziło się po drabinie. W jednym pokoju ulokował się urzędnik Gminy; w drugim ona ze starszą kobietą, która miała synów w Ameryce na dużych stanowiskach; kobiecie tej udało się uciec z terenu gminy podczas selekcji, została postrzelona w rękę, wałęsała się przez pewien czas i oto teraz jest z nią razem. Ale dzisiaj rano otruła się. Czy słyszycie jęki?

Zaprzestałyśmy na chwilę szatkować kapustę i wałkować ciasto. W ciszy, która nastąpiła — usłyszałyśmy przeciągły jęk.

„To ona — rzekła ta, która z nią mieszkała — połknęła za małą dozę trucizny; albo trucizna była niedobra.“

Mąż drugiej czarnowłosej i rumianej pracował w Gminie. Ona sama była z Wilna i śpiewała tam w żydowskich teatrzykach. Niskim piersiowym głosem śpiewała i dla nas, skrobiąc marchew albo trąc na tarce czerwone buraki.

Śpiewała: dos sztetele Bełz — a myśmy słuchały.

Przez otwarte na rozcież, wychodzące na podwórze okienko — widać było błękit nieba, przecinany lotem jaskółek. Patrzała w to okno, przymrużywszy oczy. Wiedziałyśmy, że tęskni za Wilnem, śpiewając o Bełżcu.

Oparta o futrynę, w drzwiach prowadzących do kuchni, słuchała kobieta do ciężkich posług.

Ręce miała spuszczone, twarz bolesną — mezuza nad jej głową wisiała jak wykrzyknik.

Wiedziałyśmy, że i ona swoje miasteczko miała przed oczyma, słuchając o Bełżcu.

W środku pokoju stały małe czworokątne stoły jeden obok drugiego. Pracowałyśmy: dwie po jednej stronie stołów — dwie po drugiej. A dwie przy oknie.

Te przy oknie gniotły ciasto i wałkowały je w szerokie placki. Placki te rozkładałyśmy do suszenia na ławach, stojących przy ścianach. Roje much siadały na rozwałkowanym cieście — odganiałyśmy muchy co chwila.

A więc szatkowałyśmy kapustę, skrobałyśmy marchew, tarłyśmy buraki; niekiedy przywożono kalafiory albo pomidory; tylko kartofli nie obierałyśmy w tym czasie nigdy. Kartofle do getta szmuglowano — były bardzo drogie.

Jedna z dwu, które wałkowały ciasto — czarna, niskiego wzrostu — była żoną magazyniera. Magazynier — inżynier z zawodu — tak samo był niskiego wzrostu i czarny jak ona. Mieli dwunastoletnią córeczkę. Mieszkali dłuższy czas we Francji — rozmawiali między sobą i z dziewczynką po francusku.

Dziewczynka, szczupła, wątła, delikatna o przeźroczystej twarzyczce, stawała przy stole i kroiła kluski razem z nami.

Matka nie odrywała od niej oczu.

Blanche, tu n'as pas dit bonjour a madame.“ —

„Bonjour“ — mówiła dziewczynka. Rumieniła się i dygała. Nim weszli do getta mieszkali przy ulicy Szóstego Sierpnia niedaleko placu Zbawiciela. Wypiekali ciastka na żelaznym piecyku i z tego żyli. Rodzinnym miastem matki była Połtawa.

W getcie podczas wysiedleń ukrywali się w zamurowanym pokoju, do którego wchodziło się przez kredens kuchenny. U dołu kredensu odsuwała dyktę — i to było wejście do odciętego od mieszkania pokoju. Ukrywało się tam dwadzieścia pięć osób.

Pewnego razu ktoś odsunął dyktę i w dziurze muru nagle ukazała się głowa żydowskiego policjanta w czapce z żółtą opaską. A za nią druga.

Policjanci znali się na zamaskowanych pokojach. Jednym rzutem oka potrafili odgadnąć nieproporcjonalność mieszkania.

Pierwszy wsunął się przez dziurę do pokoju; za pierwszym drugi — a za tymi dwoma czy nie przyjdą Niemcy?

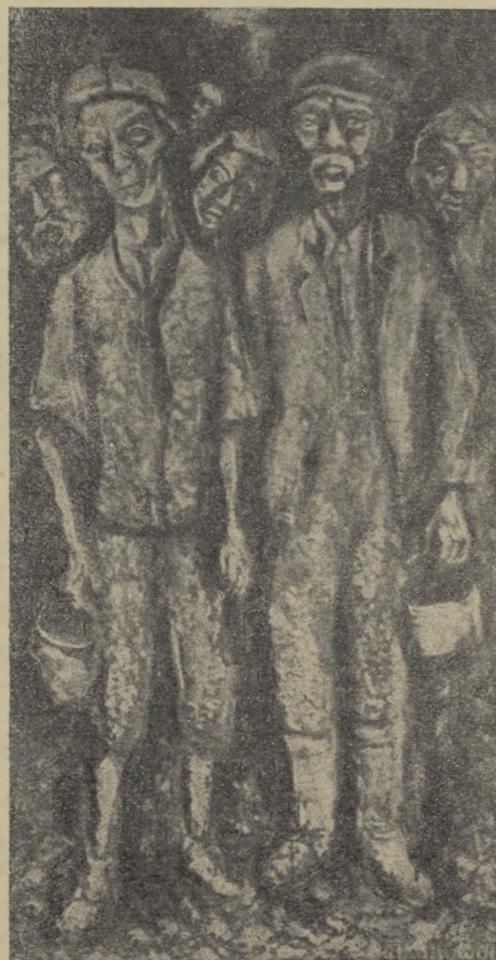
Wtedy matka, chcąc ratować dziecko i licząc na to, że się ulitują — powiedziała:

„To jakaś obca dziewczynka — sierota, na wet nie z tego domu. Wyprowadźcie ją na ulicę i niech sobie idzie do krewnych. My jej nie znamy wcale.“

Ale przerażona dziewczynka zawołała:

„O non, maman, ce n'est pas vrai — i przy tuliła się do matki.

Żadna z nas nie pytała nigdy, co się stało z resztą ludzi w zamaskowanym pokoju. Wystarczało nam, że miałyśmy wśród nas matkę, giotącą ciasto, dziewczynkę w wypłowiałej



B. Pacanowski: „W kolejce po zupę“ (metaloplastyka)

aksamitnej sukience i ojca, który oto zamknął magazyn na klucz i szedł w stronę kuchni.

Szedł i dzwonił kluczami, a za nim szła gospodyni z patelnią przysmażonej cebuli. Przy kotle w kuchni nie było fajerki; smażyła cebulę w mieszkaniu naprzeciw i szła teraz zaprawiać zupę. Za nią kobieta do ciężkich posług wynosiła na podwórze wiadra z obierkami.

Była biednie ubrana; głowę miała owiązana chustką. Nie uśmiechała się nigdy. Nie roz mawiała z nami. Nie znałyśmy jej głosu. Oczy jej rzucały ponure spojrzenia. Nosiła na twarzy stygmat cierpienia jak pieczęć.

Niekiedy przynosiła ze sobą dziecko — chłopczyka rocz nego. Miał rude kędziežawe włosy. Sadzała go w kuchni w kącie na podłodze i dawała mu łyżkę do zabawy. Nie płakał nigdy.

Kobieta ta — i prawdopodobnie wszystkie moje współtowarzyszki pracy, nie wyłączając nawet gospodyni — należały do kategorii „dzikich“. Uratowały się poza selekcją. Ukryły się.

Kategoria „dzikich“ nie miała prawa do mieszkania i kiedy powstaną sklepy rozdzielcze — nie będzie miała prawa do kartek żywnościowych.

Życie pokazało jednak, że obchodzono to prawo.

— — — — — — — —

Pewnego dnia jak zwykle poszłam do pracy do Kuchni na ulicę Gęsią.

Jak dnia poprzedniego tak i tego dnia była zupa, zarzucana kluskami z ciemnej mąki.

Kroiłam krótkie podłużne kluski na stole, kładłam je na tacę i przesypywałam mąką. Po tem wrzucałam je do kotła. Kiedy tak szłam z tacą klusek z pokoju do kuchni, usłyszałam jak gospodyni zapytała kobietę:

„Heno, ty jesteś ze Stobnicy?“

A więc nazywała się Hena. Stanęłam z tacą w ciemnym przedpokoju i słuchałam.

„Nie“ — odpowiedziała niechętnie.

„Z Sobolewa? z Krasnostawu? z Kraśnika?

Milczała dość długo. Myślałam, że nie przemówi — i chciałam już odejść. Kiedy nagle, jak gdyby w niej zapora pękła; głosem, który przypominał głos człowieka zziajanego długim biegiem — przemówiła gorąco:

„Z Żarnowa jestem. Schowałam się z dzieckiem do skrzyni od mąki. Zatkałam dziecku usta szmatą. Kiedy wyszłam ze skrzyni, była noc. Mąż mój leżał na podłodze przy łóżku nie żywy. Ściągnęłam z łóżka prześcieradło i przykryłam go. U głowy postawiłam świecę w lichtarzu — ale bałam się — i nie zapaliłam świecy. Bałam się, że zobaczą światło przez okno i zabiją mnie.

Potem wyszłam z miasta i szłam długo.“

Kiedy umilkła, weszłam do kuchni i spojrzałam na nią. Stała blada z pochyloną głową i drżała jak liść na wietrze. Dziecko jej, które nigdy nie płakało, kwiliło teraz żałośnie, przestraszone pasją słów matki.

ŻYCIE BYŁO FIASKIEM...

(Relacja obozowca)





Z. Tołkaczew: „Taczki“

Obóz na ulicy Janowskiej 134 we Lwowie powstał w niedługi czas po wkroczeniu Niemców do miasta.

W fazie początkowej była to placówka D. A. W. (Deutsche Ausrüstungwerke), która jak wiele innych żądała od „Arbeitsamtu'' ludzi do roboty.

Warunki jednak były tam bardzo ciężkie i robotnicy masowo opuszczali tę placówkę pracy. Szef D. A. W. SS Obersturmführer Fritz Gebauer zamknął pewnego pięknego dnia bramę swego przedsiębiorstwa i nie wypuścił do domu pracujących u niego około 100 robotników. To był zaczątek „obozu janowskiego'', który potem zyskał sobie tak straszną sławę. Po pewnym czasie część robotników fachowych dostała przepustki, które zezwalały im na nocleg w domu. Od tej chwili ci nieliczni wybrańcy losu stali się jedynymi łącznikami rodzin z nieszczęśliwcami zza drutu kolczastego.

Straszne było życie obozowców w tym okresie. Mimo, że nie było masowych rozstrzeliwań, które potem były na porządku dziennym, to jednak mam wrażenie, że był to najgorszy okres w obozie. Mała bowiem liczba obozowców łatwa była do skontrolowania. O ucieczce nie było mowy. Nikt nie wychodził na miasto do pracy, tak, że prócz paczek dostarczanych za pośrednictwem Judenratu, obozowcy nie mieli sposobności niczego kupić.

Do czerwca 42 roku liczba obozowców wynosiła mniej więcej 300 osób. Oczywiście śmiertelność na skutek głodu, wyczerpania, tyfusu i okropnego katowania była olbrzymia. Dość powiedzieć, że w czerwcu zostało około 20 osób, z tych, które były od jesieni 41 roku.

W czerwcu obóz zaczął rosnąć w gwałtownym tempie. Przywieziono 1000 ludzi z Przemyśla, 600 z Borysławia i kilkadziesiąt z mniejszych miast prowincjonalnych. Baraki dla takiej ilości osób nie były jeszcze przygotowane. Ludzie spali więc przeważnie pod gołym niebem i wymierali jak muchy.

Struktura „administracyjna'' przedstawiała się następująco:

Grupa D. A. W. pod kierownictwem wspomnianego już Gebauera była zupełnie oddalona od obozu. Robotnicy przychodzili tylko rano do apelu, który odbierał kierownik obozu SS Untersturmführer Willhaus, a potem wracali do pracy do D. A. W., gdzie „opiekował'' się nimi Gebauer.

Był to sadysta, który mordował tylko wtedy, gdy wpadał w szał. Bardzo często dusił ludzi szalikiem, albo bił tak długo, aż człowiek padał, wówczas stawał mu butem na grdyce i odchodził dopiero wtedy, gdy krew tryskała gardłem.

Willhaus natomiast nigdy nie tracił nerwów. On mordował z sadystycznym uśmiechem na ustach. Nie było człowieka, który się czuł pewnym życia, gdy w promieniu 50 metrów znajdował się Willhaus. Nie miał on względów nawet dla tych, którzy pracowali w biurach i codziennie się z nim stykali.

Zastępcą jego był Untersturmführer Rokita, który nie bił tak strasznie, jak obaj wyżej wymienieni, ale strzelał do ludzi jak do wron, bez najmniejszego powodu.

Odnosił się do obozowiczów bardzo uprzejmie. Zwracał się zwykle do nich „Meine Kinder''. Gdy po rozmowie z nim obozowicz odchodził, Rokita skradał się za nim na palcach i kładł go jednym strzałem w kark.

Malując sylwetki zbrodniarzy nie mogę pominąć Kampfa, żyda z Tarnowa, który był w pewnym okresie niekoronowanym królem obozu. Wpływy jego były tak wielkie, że niżsi SS-owcy drżeli przed nim ze strachu.

Willhaus i Rokita traktowali go zupełnie jak kolegę. Doszedł do tego znaczenia, dostarczając im zrabowane zegarki, wódkę, materiały na ubrania, bieliznę itd.

Każdy SS-owiec zrobił majątek w obozie, a bez przesady można powiedzieć, że Willhaus — drukarz z Niemiec, który przyjechał do Lwowa goły jak święty turecki — w przeciągu pół roku stał się milionerem.

Gdy przychodziła nowa grupa do obozu, Willhaus oddzielał fachowców od niewykalifikowanych robotników. Oczywiście bardzo wielu niefachowców podawało się za stolarzy, ślusarzy, elektrotechników itd.

Po segregacji przeprowadzonej przez Willhausa dochodził do grupy Żyd, Kampf i rozpoczynał swoje przemówienie: Zwracam się do Was, skur.... z ostrzeżeniem, abyście się przyznali, kto z was nie jest fachowcem. Jeżeli wśród fachowców znajdę jednego niewykwalifikowanego, poślę was za druty k.... wasza mać (tekst dokładny). Oczywiście bardzo wielu prze chodziło na stronę niefachowców, bo bali się straszliwych represji.

Człowiek ten zbił taki olbrzymi majątek, pod okiem oprawców, łudząc się, że oni mu nic nie zrobią.

W październiku 42 roku przyszedł do niego około godziny 10-ej w nocy Rokita z wezwaniem do Willhausa. Z tej rozmowy Kampf nie wrócił już do domu. Rozstrzelał go SS-mann Rozanoff na rozkaz Willhausa. Szczegółów tych dowiedziałem się od samego Rozanoffa, który raz po pijanemu wszystko wygadał.

Na drugi dzień przy apelu Rokita miał przemówienie do obozowiczów, opisując w strasznych kolorach tę ponurą sylwetkę. Mówił, że on nie mógł patrzeć, jak Kampf krzywdzi swych braci i serce mu się krajało, jak bił swych „Rassengenossen''. Potem podał do wiadomości, że udało się Kampfowi zbiec. Na drugi dzień została rozstrzelana jego żona i dziecko.

W listopadzie 1942 roku było w obozie około 5000 ludzi, a podczas samej sławnej „akcji sierpniowej'' zatrzymano przeszło 5000 zdrowych i silnych mężczyzn.Co się stało z dwoma tysiącami ludzi, którzy byli do sierpnia w obozie? Wszyscy pojechali do komór gazowych do Bełzca po licznych segregacjach i „biegach śmierci'' Pojechali wraz z dziesiątkami tysięcy kobiet i dzieci, które wszystkie przeszły przez „Durchgangslager'' na Janowskiej''.

Życie obozu było już „unormowane''. Przysłowiowa machina organizacyjna działała z całą swoją okropnością. Zbudowane już były „Waschraumy'', latryny, baraki dla wszystkich około 50 brygad pracy. 30 mniej więcej brygad chodziło do pracy na miasto, do różnych firm budowlanych i innych, a reszta pracowała na terenie obozu. Gebauer (DAW) zatrudniał około 300 osób.

Na terenie obozu znajdowały się: biura techniczne, „Aufnahme'' (biuro ewidencji), buchalteria i magazyny.

Wszyscy pracownicy tych instytucji nie spali w barakach, lecz w osobnym budynku t. zw. „Unterkunft''. Nosili na prawym ramieniu czerwone opaski, a nie jak wszyscy: żółte łaty na plecach i na sercu.

Prócz tego od sierpnia zaczął funkcjonować szpital przy ulicy Janowskiej, prowadzony przez dr. Kurzrocka.

Od sierpnia zaczęto zatrudniać w obozie kobiety. Powstała pralnia, prasowalnia, szwalnia i zakład krawiecki.

Kobiety przychodziły tylko do pracy, a na noc szły spać do getta. Ilość zatrudnionych kobiet w obozie wynosiła 150.

D. A. W. zatrudniało olbrzymią ilość kobiet po przejęciu w styczniu 43 roku „Stądtische Werkstątte'' i w kwietniu 43 roku zakładów Schwarza. D. A. W. doszło wówczas do liczby 2000 pracowników, w tym 500 kobiet.

Napozór wyglądałoby wszystko w porządku. Zaraz zapoznacie się jednak z makabrycznością tej struktury i z piekielną precyzję tępienia ludzi.

Aby dać dokładny obraz obozu muszę opisać jeden dzień życia obozowego. „Dzionek jeden z wielu'' jak głosiła zwrotka hymnu obozowego.

Godzina 5-ta rano „ordnerzy'' w barakach budzą w brutalny sposób obozową brać. Baraki olbrzymie, pięciopiętrowe zaczynają się ruszać.

„Ordnerzy'' byli zajęci tylko w barakach. Wynosili trupy zmarłych w nocy, zamiatali baraki i plac obozowy. Nosili żółte opaski na prawym ramieniu, tak jak brygadierzy.

O godzinie 5.30 wpadali do baraku SS-owcy i przy akompaniamencie nahajek gnali obozowiczów na główny plac, na którym odbywały się apele. Bili naoślep na prawo i na lewo. Jeden SS-owiec stał w głębi baraku i pędził wszystkich do wyjścia, bijąc w niemożliwy sposób, oczywiście przy wyjściu robił się tłok, a wówczas zaczynał bić SS-owiec robiący porządek przy wyjściu. Jednym słowem piekielny młyn. Specjalistami w „wypędzaniu'' na plac byli SS-mani Birman i Würz. Na szczęście nie wszyscy SS-owcy byli już rano tak wojowniczo nastawieni. W każdym razie po tym początku wielu obozowiczów było już w takim stanie, że przy apelu Willhaus wyciągał ich „za druty''.

Na placu wszyscy ustawiali się w osobnych grupach, brygadami.

O godzinie 5.45 zjawiał się na placu Willhaus, w długim czarnym skórzanym płaszczu z nieodłącznym „saksofonem'' (pistoletem maszynowym) pod pacną.

Odrazu stawało się cicho, jak w grobie. Słychać było tylko świszczące oddechy obozowiczów chorych na tyfus, grypę, zapalenie płuc i inne choroby.

Komenda: „Achtung, Mützen ab'' pada z ust brygadierów, kolejno i powtarza się, jak echo wśród nocy. Plac oświetlają tylko reflektory ustawione na wieżach na krańcach obozu.

Rozpoczyna się 15-minutowa gimnastyka, ale nie ta systemu poczciwego dr. Millera, lecz kanalii Willhausa: „Auf, nider, auf, nieder'' itd.

Po gimnastyce jakieś ustne obwieszczenia dotyczące kąpieli wymiany garderoby td.

Często przemawia sam Willhaus, zawsze wtedy gdy ktoś z jakiejś brygady uciekł z obozu. Wówczas odczytuje Willhaus nazwę brygady i własnoręcznie rozstrzeliwuje odpowiednią ilość pozostałych. Za każdego uciekiniera 3-ch członków brygady „wylosowanych'' karabinem maszynowym Willhausa.

W końcu „Wiluś'' opuszcza plac apelu i staje na bramie wyjściowej przy budce, naprzeciw której znajdują się osławione druty.

Orkiestra pod batutą Leopolda Striksa, znanego skrzypka lwowskiego, rozpoczyna swój codzienny koncert, a brygady wychodzą w porządku z placu apelowego. Orkiestra składała się z ośmiu członków i stała na bardzo wysokim poziomie. Poza wspomnianym Striksem w skład jej wchodził tak doskonały muzyk, jak Schatz (skrzypce). Znany pianista Hermann grał na harmonii, a artysta operetkowy Buchsbaum, znany baryton, na jazzie.

Przy dźwiękach tej muzyki rozgrywały się najokropniejsze sceny. Brygada zatrzymywała się mniej więcej pięć metrów przed Willhausem, a brygadier podchodził do niego: meldował mu stan liczebny brygady. Ewidencję prowadził syn znanego adwokata — Axer — jeden z najporządniejszych ludzi jakich spotkałem. Człowiek, który dzięki swej zimnej krwi i odwadze uratował setkom ludzi życie.

Po przyjęciu meldunku od brygadiera Willhaus mówił: „Hau ab'' i brygada ruszała. Sprawne psie oko Wilhausa potrafiło z każdej brygady wyłowić parę „ofiar''.

Gdy zobaczył starego lub kulawego, oczy mu błyszczeć zaczynały. Szybkim uderzeniem szpicruty dawał znak, że dany osobnik ma opuścić szeregi. Potem nastawały jeszcze dwa uderzenia szpicrutą w twarz, potem strasznym kopnięciem biedna ofiara została rzucona na druty. Były to dwa rzędy drutów, ciągnących się około 50 metrów, rzęsiście oświetlonych. Tam to „za druty'' wybierano codziennie spośród obozowiczów około 500 osób. Gdy nie było Willhausa przy apelu, liczba ta była o wiele niższa. Bywały jednak dni pamiętne, tzw. „biegami śmierci'', kiedy druty były kompletnie wypełnione. Liczba wynosiła podczas najgorszego takiego biegu 1,300 osób.

Brygady pracujące na mieście opuszczały obóz szczęśliwe, że cały dzień będą poza tymi okropnymi murami. Niektóre jednak brygady, jak: „Ostbahn - Ausbesserungswerke'' szły na takie samo piekło, D. A. W. szło pod „skrzydełka'' Gebauera a była nawet jedna placówka Wehrmachtu (ZELA 19) przy ulicy Janowskiej, w której działy się nie mniejsze okrucieństwa, niż w obozie.

Najbardziej upośledzona była brygada pracująca na placu. Nad nimi czuwał SS-man Fox, Volksdeutsch pochodzący z okolic Krakowa. Znany by z tego„ że bardzo celnie strzelał, kiedyś występował w cyrku. Jego słabością było strzelanie obozowiczom w nogi. W ten sposób stawali się niezdolni do pracy i na drugi dzień szli „za druty''.

O wiele lepiej było fachowcom, pracującym na terenie obozu. Szefem warsztatów automobilowych był Oberscharführer Bittner, jeden z najokropniejszych sadystów poza obrębem warsztatu, który nie tknął jednak żadnego ze swoich robotników.

Jeden z jego wyczynów, który widziałem na własne oczy, opiszę przy tej sposobności.

Pracowałem wówczas w pralni mechanicznej na terenie obozu. Szef mój SS-man Blum, którego sylwetkę nakreślę później, wyjechał na urlop. Zastępował go SS-man Rozanoff, wspomniany już zabójca Kampfa. Do magazynu odzieżowego, który znajdował się koło pralni, przyszła po rzeczy brygada „Ostbahnu'' — znajdująca się naskutek swej ciężkiej pracy w okropnym stanie pod względem wyglądu i odzieży. Część z tych ludzi otrzymała już rzeczy, nagle wpadają na podwórko Oberscharführer Bitter i Oberscharführer Palapis — obaj kompletnie pijani.

Z miejsca zaczynają się pastwić nad brygadą „Ostbahnu''. Obaj wybrali sobie ośmiu ludzi i zaczęli ich okładać pięściami po twarzy. Gdy twarze były już okrwawione, a ludzie się słaniali — zaczęli kopać ich w brzuch, pośladki, wogóle gdzie się dało. Zupełnie zmasakrowanych dobił strzałem z rewolweru Rozanoff. Cała ta operacja trwała prawie godzinę. Byłem wtedy pierwszy raz świadkiem obicia ludzi na śmierć.

Szefem technicznego magazynu był SS-man Straus — Węgier pochodzący z Munkacza. Był to człowiek bardzo dobry. Bił on wprawdzie od czasu do czasu, ale tylko wtedy, gdy Willhaus był przy nim. Wtedy każdy musiał się okazać gorliwym pracownikiem. Znam jednak szereg wypadków, kiedy ukrywał on w swej brygadzie starszych ludzi, nie wymagał od nich żadnej pracy, a gdy byli chorzy, leżeli u niego w magazynie na strychu.

Szefem magazynu odzieżowego i całego oddziału kobiet, był 21-letni rudy Węgier — Peter Blum. Był to sadysta niezwykły i z tego powodu pupil Willhausa. Jak to zwykle u nich bywało — w stosunku do swojej brygady nie był najgorszy, ale każdego innego napotkanego obozowicza bił w niemożliwy sposób.

Wydawanie garderoby (która pochodziła od ludzi wywiezionych nago do Bełżca) odbywało się w następujący sposób: Na podwórku, bez względu na pogodę roku gromadziła się brygada. Na zestawieniu, które było podpisane przez Willhausa było wyszczególnione co kto ma otrzymać. Rzeczy rzucano w stronę otrzymującego. Oczywiście gdy nie było SS-owca starano się dobrać możliwe rzeczy. Ale Blum urządzał wszystko w tempie amerykańskim. Pod wpływem jego szpicruty stawały się dobrymi buty dł. 39 cm. na nogę 43 cm. i naodwrót. Każdy chciał już jak najprędzej pozbyć się magazynu. Do jego specjalności należało wywoływanie z brygady ojca i syna (widział na zestawieniu te same nazwiska) i nakazanie im wzajemnego silnego policzkowania się. Gdy policzek był zbyt słaby — on poprawiał sam szpicrutą.

Szefem szpitala był najporządniejszy SS-owiec Koloman Balaś. Wykonywał on sumiennie wszystkie rozporządzenia dr. Kurzrocka, zbierał paczki i odnosił je chorym. Wogóle nie wiem jakim cudem trzymał się w SS, to też był on ofiarą rozmaitych szykan ze strony Willhausa.

Każda brygada co tydzień udawała się na Szpitalną ulicę do łaźni. Tam raz na dwa tygodnie, to jest co drugą kąpiel, wydawano czystą bieliznę. Co tydzień zaś dezynfekowano garderobę.

Kąpielą zajmowało się dwóch nałogowych pijaków i degeneratów SS-owców: Birman i Brumbauer.

Brygada wchodziła o oznaczonej godzinie do łaźni. Rzeczy związywano w ten sposób, aby numer, którym zaopatrzony był każdy obozowicz był na wierzchu. Rzeczy szły do dezynfekcji, a brygada do kąpieli. Oczywiście nie było miejsca do rozebrania się, panował straszliwy tłok i smród. Birman i Brunbauer urządowali, rozdzialając razy na prawo i lewo. Czasami przedstawiciel Judenratu, Scholz, ratował sytuację, przynosząc im wódkę.

Po kąpieli odbywała się kontrola, czy ludzie są czyści. Oczywiście bez mydła nie mogli obozowcy doprowadzić swych ciał do czystości. Gdy ktoś nie był odpowiednio czysty — szpicruty Birmana i Brumbauera biły go do krwi.

Po kąpieli wciągano brudne łachmany, przesiąknięte parą i mokre na mokre ciała. Ręczników oczywiście nie było. Potem pędzono wszystkich do obozu.

Na zakończenie opiszę jeszcze t. zw. „bieg śmierci''. Sam brałem udział w trzech „biegach śmierci'', ale najokropniejszy był z końcem maja 43 roku, w ostatnim dniu mojego pobytu w obozie.

Była już godzina szósta. Na placu obozowym nie było nikogo. Odrazu czuliśmy, że coś nie w porządku.

O godzinie 6.30 zobaczyłem Willhausa przy bramie obozu. Dnia poprzedniego była akcja w getcie. Zabrano 1500 osób. Pozostało już potem wogóle około 8000 ludzi). Równocześnie przywieziono ludzi z Borysławia, Drohobycza i Stryja. Pociągi stały naładowane obok obozu. Ludzie rozebrani do naga w zatłoczonych do niemożliwości wagonach.

Wiedziałem, że Willhaus zechce się „postawić'' przed Katzmanem (szef Gestapo w Galicji) i dołączyć też transport.

Orkiestra zaczęła grać. Pierwsza brygada wychodzi. — Na nieszczęście to ZELA 19 — obraz nędzy i rozpaczy. Żywe trupy — ledwie włóczący nogami. Willhaus daje znak aby nie wychodzić odrazu całą brygadą, lecz opuszczać bramę placu piątkami. Z każdej piątki wyciąga dwie osoby za druty. Tam wpadają odrazu pod pałki kałmuków. Trzy pozostałe osoby rozpoczynają bieg na przestrzeni około 30 — 40 metrów. Kto zostaje w tyle — temu podstawia nogę SS-owiec , a Schupowiec Sprengelman wykańcza go swoją pałką. Dalszy los takiego obozowca nie trudno już odgadnąć: druty.

Tak więc z każdej piątki zostawały tylko dwie osoby.

Na szczęście Willhaus opuścił plac i poszedł oglądać transportów. Jego zastępcy byli naogół oględniejsi. W ten sposób z 5000 ludzi zostało tylko [illegible]00.

Ale wkrótce przyszedł najokropniejszy finał obozu. W niedzielę uciekłem z obozu, ale dalej chodziłem na miejsce pracy i w ten sposób mam relacje do momentu kompletnego zamknięcia obozu i likwidacji ghetta.

W dwa dni po mojej ucieczce zamknięto wszystkie brygady w obozie i nikogo nie wypuszczono na miasto. Rozpoczęła się komedia z segregacją i kompletowaniem brygad.

Na drugi dzień wypuszczono brygady „normalnie'' do pracy. Ale tylko poza bramy obozu. Tam stały auta, które zawoziły obozowiczów wprost na piaski (za cmentarzem przy ulicy Pilichowskiej). Tam wystrzelano 2500 ludzi i całą milicję obozową.

W obozie zostały tylko mocno zredukowane brygady pracujące wewnątrz obozu i D. A. W. Razem zaledwie 1200 ludzi.

W tydzień później rozpoczęła się likwidacja getta. Niektóre firmy zgłaszały się „ochotniczo'' w komplecie do obozu. Ludzie nie mieli innego wyjścia. Nie mieli się gdzie skryć ani dokąd uciec. W ten sposób całe firmy, jak: VIB, Le- Pe- Ga i nawet pracujący w „Wehrmachcie'' zostali zobozowani. Stan podskoczył znów do 6000. Reszta ludności nie została już wywieziona do Bełżca, lecz rozstrzelana przez kałmuków i SS-owców. Ta reszta stanowiła ponad 5000 ludzi. Przeważnie kobiety i dzieci.

W mieście panował niesamowity terror. Prowadzono ludzi wyłowionych w rozmaitych częściach miasta, ścigano ich wszędzie. W parkach, okolicznych lasach, a nawet w kanałach. Wszyscy ginęli na Janowskiej, gdzie wieczorem zdaleka już był widoczny świetlny napis:

„ZWANGSARBEITSLAGER.

Mieszkałem przy ulicy Hetmańskiej i codziennie o godzinie 7-ej rano słyszałem pod oknem odgłosy drewniaków. To brygada Vib'u przychodziła do pracy.

Aż pewnego dnia spokój. — Nikt nie przyszedł. — Znów wykończono wszystkie brygady wychodzące na miasto. .

Rozstrzelano i spalono ponad 5000 ludzi.

Pozostało kilkaset osób. Ci wszyscy, którzy nie zdołali uciec ponieśli śmierć. Ostatnia zwrotka hymnu obozowego brzmiała:

„Spoczną bracia obozowcy
Pod śniegu białym pokrowcem,
Otulą ich piaski.
Chociaż los cię spotkał twardy
Ty pozostań dumny, hardy,
Życie było fiaskiem''.

Podał do druku:

ZYGMUNT KREBS.

Jehoszua Glojberman

JANUSZ KORCZAK




Z. Tołkaczew: „Pediatra“

W gwarnej i ruchliwej Warszawie żył i działał Człowiek, który zasłużył sobie w pełni na to miano. Był znanym lekarzem, wielkim pisarzem, wychowawcą o światowej sławie — a jednak — nie sądzę — by znaleźć można trafniejsze określenie dla Korczaka, jak: CZŁOWIEK. Sławę jaką zyskał w dziedzinie literatury, medycyny i pedagogiki zawdzięcza Janusz Korczak niepospolitym zaletom duchowym. Motorem jego działalności było to, co Francuzi nazywają „sentiment humain“. Wielka miłość do szarego człowieka wypełniała jego szlachetne serce i pobudzała ustawicznie mózg do czynu. Cechy te ukształtowały drogę Jego życia. Janusz Korczak nie był przywódcą czy też działaczem społecznym, był tylko człowiekiem o wielkiej idei humanitarnej, dla której żył, tworzył i działał. Jestem przekonany, że Bialik nazwał by Korczaka podobnie jak swego czasu B. Kacnelsona, imieniem „cadyk“. Tylko to hebrajskie wyrażenie obejmuje całą wielkość Janusza Korczaka.

Skromny był to człowiek. Unikał i krył się przed zaszczytami, a one jak gdyby za nim goniły. Oświecał On silnym blaskiem pokolenie, w którym żył, a niewątpliwie w przyszłości sława Jego jeszcze bardziej wzrośnie. Według definicji Romain Rollanda, wielki człowiek jest w pierwszym rzędzie człowiekiem dobrym. Na pozór jest to definicja prosta, lecz zawiera głęboką treść. Na miano „dobrego człowieka“ nie każdy wielki polityk czy też społecznik zasługuje. Janusz Korczak był wielkim człowiekiem.

* * *

Był to samotny człowiek, lecz osamotnienie nie było dlań nigdy ciężarem. Życie jego było pełne radości, wesela i śmiechu. Życie takie stworzyć może tylko świat dziecięcy, a w świecie tym znalazł On cel i treść swego życia. Koronę działalności i radość życia stanowił dla Korczaka dom sierot przy ul. Krochmalnej w Warszawie. Wielki samotnik był ojcem dla wielu setek osieroconych dzieci. Im właśnie poświęcił serce, energię i pracę. Któż twierdził, że ramy jednego sierocińca są zbyt ciasne, by wielki talent i zmysł pedagogiczny Korczaka, mógł się w nim ujawnić? Kto zamierza dokonać wielkich czynów — nie gardzi małymi. Wychowując bowiem dzieci, człowiek kształtuje przyszłe pokolenie.

* * *

Pamiętam, jak zwiedzałem dom sierot przy Krochmalnej, twór i oczko w głowie Janusza Korczaka. Personel pedagogiczny sierocińca składał się przeważnie z dawnych uczennic Korczaka — wychowanek tego domu. On sam od czasu do czasu zwiedzał zakład, a dzień Jego odwiedzin był wielkim świętem dla wszystkich dzieci. Gdy tylko zjawiał się, w domu wrzało jak w ulu, a ze wszystkich stron dzieci zbiegały się ku niemu. Zastanawiałem się nad zagadką: jak sędziwy starzec potrafi w mgnieniu oka znieść różnicę dzielącą wiek dziecięcy od starczego? Młode sieroty obwołały go swym Królem. Nie uważały Go za człowieka dojrzałego, za swego wychowawcę czy też dyrektora, lecz raczej za rówieśnika, za największego psotnika. Obserwowałem pełen podziwu, następujące widowisko. Oto zaprzęgał jednego z malców i zabawiał się w woźnicę. Z dziewczętami zabawiał się w „skakanki“ i udawadniał, że lepiej skacze od nich. Innym znów pokazuje jak należy skakać na jednej nodze i jednocześnie gwizdać przez nos. Następnie bawił się w „chowanego“, w wojsko i rozbójników. Po zabawie odbył się sąd publiczny. Strony nawzajem się oskarżały przesłuchano świadków, wysłuchano przemówień obrońcy i prokuratora. Mały Jasio oskarżał towarzysza, że ten w ciągu całej godziny korzystał z roweru i nie chciał ustąpić mu go nawet na kilka chwil. Mała dziewczynka żaliła się, że jej koleżanka ciągle bawi się lalką, a ta do niej przecież też należy. A Janusz Korczak w roli przewodniczącego sądu, pilnie przysłuchuje się, a następnie wydaje wyroki. Rozprawa kończy się wreszcie i znów w domu rozlega się śmiech rozbawionych dzieci.

Prosiłem Korczaka by odwiedził seminarium dla kierowników naszego Ruchu („Ha noar Hacijoni“). Miał On wygłosić odczyt na tematy pedagogiczne, lecz odczyt ten przemienił się w serdeczną wymianę zdań, a mówca odpowiadał na dziesiątki zadanych pytań. Chociaż wszyscy byliśmy „mocni“ w problematyce pedagogicznej i strawiliśmy wiele książek z tej dziedziny, staliśmy się odrazu dziećmi i z przejęciem przysłuchiwaliśmy się cudownym baśniom, opowiadanym przez dobrego dziadka. Wzrok nasz spoczywał na opowiadającym, a wyraz twarzy każdego odmalowywał nerwową ciekawość: no, a jak zakończyła się historia z olbrzymem i karłem?...

W pamięci budzą się inne wspomnienia, którymi chciałbym się podzielić z czytelnikami. Odwiedziłem pewnego razu Korczaka, prosząc Go, by napisał coś do gazetki dziecięcej, wydanej przez Komendę naszego Ruchu. Zanim udzielił mi odpowiedzi, wypytywał się o nasze dzieci. Czym się zajmują, jaka jest ich liczba i jaki jest ich stan zdrowotny. Następnie, wskazując palcem na siebie, rzekł: „— Dlaczego właśnie zwracacie się do starca z prośbą by napisał coś dla dzieci? Jaką korzyść osiągną dzieci z opowieści napisanej przez starego „drania“? Jeśli wydajecie gazetkę dla dzieci, to niech dzieci same pisują do niej! Jeśli dziecko opisze np. pożar w miasteczku, to z pewnością opis ten będzie barwny i dokładny. W tym momencie oczy starca nabrały młodzieńczego blasku, zdawało się nam, że stał się dzieckiem, a dziecko-starzec zaczęło nam opowiadać o pożarze; jak języki ognia dotykają ścian, jak strażacy po drabinach wdrapują się na dach; wojna dwóch żywiołów: ognia i wody; jęki kobiet, dzieci i starców tłumią huk walących się ścian, odgłosy trąb, wozów, zgrzyt posuwanych mebli. Wrażenia ciekawości i strachu, jakie na dzieciach wywiera pożar odzwierciadlały się w opowiadaniu starca o duszy dziecięcej.

Z biegiem czasu rozwiązałem zagadkę cudownej osoby Korczaka. Był On twórcą nowej dziedziny naukowej: „Jak kochać dziecko“ (taki tytuł nosi jedna z Jego książek). Jego zdaniem prawdziwa miłość do dziecka stwarza najlepszy system i drogę do jego wychowania, odsłania wrota do jego serca.

* * *

Gdy hitlerowski zbrodniarz rozpoczął krwawe żniwo w krajach Europy, nie zaoszczędził młodych kłosów naszego narodu. I właśnie w stosunku do dzieci żydowskich bandyci wykazywali największą gorliwość. Dążyli przecież do planowego wyniszczenia całego naszego narodu. Logicznym więc było, że pierwsze zatrute strzały skierowane będą do serc dzieci, do najdroższego skarbu, który naród posiada.

Tragedia narodu naszego jest tym większa, że w liczbie sześciu milionów wymordowanych braci naszych, znalazło się osiemset tysięcy dzieci. Miecz Demoklesa zawisł nad przyszłością narodu, naruszył stan jego siły potencjalnej i poważnie zmniejszył możliwości rozwoju naturalnego. Ale cyfry te jeszcze nie odzwierciadlają całokształtu tragedii żydowskiej.

Jak może matka żydowska spacerować po ulicach miasta i obojętnie obserwować bawiące się dzieci? Jaki ból ją ogarnia, gdy spogląda na fotografię roześmianych dzieci w wystawie fotografa? Czy może zapanować nad płaczem, gdy widzi w sklepie zabawki? Ból zrozpaczonej matki wyraża w jednym ze swych wierszy poetka Pinkerfeld:

Ale Ty, Ziemio,
Ty, która widziałaś,
Coś była świadkiem i śmierć mych dzieci
[w swym łonie wyniosłaś,
Jak możesz patrzeć na piskląt swych
[szczebiot,
Gdy czerpią radość z Twojego oblicza.
Czemuż nie zgarniesz swych piskląt
Pod szatę swoją,
Bym nie widziała jak rosną!
Widziałaś to. byłaś świadkiem i zmysłów
[nie tracisz!
I nie otwierasz paszczy
Jak moloch,
By połknąć swoje pisklęta...
Och, tyś jest ziemią spokojną.
Nie przeklnę Twych dziatek.
Nie, ja Twych dzieci nie przeklnę, bo sama
[byłam matką.

Wystarczy zapoznać się z dziejami śmierci Korczaka, który wraz z swymi dziećmi poszedł na zagładę, a pojmiemy wiersz ten nasiąkły krwią...

* * *

Dawid Friszman w jednym ze swych artykułów wypowiada myśl, że gdyby kataklizm dziejowy zmiótł z oblicza ziemi miasteczka żydowskie, to jedynie na podstawie dzieł Mendele Mocher Sforim, moglibyśmy je sobie odtworzyć. Sądzę, że gdyby nowy potop zniszczył wszystkie dokumenty i świadectwa zbrodni hitlerowskich — to jedna historia śmierci Korczaka i jego wychowanków da pełen obraz okrutnej, brunatnej bestii. Nic więc dziwnego, że wielu autorów w podziemiu lub krajach wygnania starało się opisać te straszne dzieje. Redaktorzy książki poświęconej tym czasom, słusznie umieścili wiersze, poświęcone Korczakowi, w rozdziale dla dzieci. Janusz Korczak i dzieci tworzą nierozerwalną całość. Nawet okrutna śmierć nie była w stanie ich rozłączyć.

Czyż znajdzie się utalentowany kompozytor, który w dźwiękach odtworzy wesoły pochód dzieci, maszerujących pogodnie, jak w czasie „Lag-Baomerowych“ wycieczek, nie wiedzących, iż każdy krok zbliża je do nieubłaganej śmierci. Na czele pochodu kroczy ich stary, dobry i wierny towarzysz, a one ufając Mu bezgranicznie, spokojnie maszerują. Gdzieś znajdzie się chyba rzeźbiarz natchniony przez Stwórcę, który ze skał gór jerozolimskich, jak ongiś Michał Anioł ze skał Italii, wzniesie pomnik na cześć męczeńskiej śmierci tych sierot i ich wielkiego opiekuna. A jeśli nawet serce człowieka byłoby twardsze od skały granitu, to czyż nie drgnie to serce na widok Człowieka tego, niosącego dwoje najmłodszych sierot i dumnie prowadzącego dzieci ku śmierci?

* * *

Nie jednym czynem zdobył Korczak sławę. Całe swe życie poświęcił młodemu pokoleniu. Ale w chwili gdy zrezygnował z łaski hitlerowców i postanowił nie oddzielić się od swych dzieci, wzniósł się na poziom tak wysoki, że śmiało porównać go można z prorokiem Jeremiaszem, który dobrowolnie udał się z braćmi na wygnanie do Babilonii, chociaż mógł spokojnie pozostać w ojczystym kraju.

Po doznanym wstrząsie czym możemy się pocieszyć? Tym, że mieliśmy wśród siebie Janusza Korczaka.

Jakże wierzyć się chce, że nastaną czasy, gdy w stolicach świata staną symboliczne groby nieznanego dziecka żydowskiego, ofiary rzezi hitlerowskiej, a strzec ich będą warty honorowe.

Niechaj tych kilka słów o Korczaku będzie skromną wiązanką kwiatów na grobie tym złożoną.

Izabela Gelbard

PIEŚŃ O JANUSZU KORCZAKU

Szły szeregiem z sierocińców dzieci
Swe torebki niosły na tasiemce
Dziś ostatni raz im słońce świeci
Więc do słońca wyciągają ręce.

Ot! wycieczka z panem dyrektorem
Pani Stefa...*) wszyscy, wszyscy razem
Przez ulice z pochylonym czołem
Na śmierć idą wydane rozkazem.

A na czele z najmłodszym dzieckiem na ręce
Janusz Korczak prowadzi ku ostatniej męce
Jośki, Moski i Srule sieroce
Drobne ptaszki — małe niemowlęta.

O, dni głodu — o, okrutne noce,
Nędza getta i przemoc przeklęta!
Serca ludzkie twardsze od kamienia
Bóg poniechał to dno opuszczenia...

A na przedzie z najmniejszą kruszyną
Idzie Korczak z tymi, co dziś giną...
Niech wróg patrzy, umierać się godzi
Także wiernie, jak kochać w gromadzie.

I uśmiechnął się czule najsłodziej
„Razem pójdziem w szeregach i ładzie
Pójdziem sami, nie trzeba przemocy“ —
To krucjata przeciw głuchej nocy
To krucjata najstraszliwsza w świecie.

Janusz Korczak i sieroce dzieci...
O, ulice getta, wypełnione po brzegi!
I oprawcy niemieccy i dziecięce szeregi
I „Vernichtungskommando“ — mury patrzeć nie chciały
I szturmowców oddziały — kamienice płakały.

Szły szeregiem Reginki i Sary, i maleńkie szły Hele
Chleba w krótkim swym życiu nie najadły się wiele
I szeregiem szły Mośki, Joski, Hersze i Srule
Słońce pieści ich głowy, ich łatane koszule.

„Uciekajcie... popróbujcie siły...“
Mury w poprzek stanęły, na wprost mury stanęły,
Mury ciężkie im bieg zagrodziły.
O sieroty żydowskie — całe mienie w torebce
Niezliczone szeregi słabych nóżek tu drepce.
Jak w potrzasku zwierzyna — tak zamkniętych murami
Bóg opuścił... A Korczak? On pozostał dziś z wami...

Coraz bliżej i bliżej do ostatniej już stacji
„Umschlagplatz“, tor, pociąg z białym chlorem
„Pożegnamy się tutaj — dziś początek wakacji
A spotkamy się wszyscy wieczorem...

Tam, gdzie jedziem, jest ogród z prawdziwymi drzewami
Mleka, jabłek i chleba do syta
O, wy wcale nie wiecie, co to kura z jajami
Spacer na wsi to rzecz znakomita!

Są tam kwiaty pachnące, łany zboża i rzeka
Mchy i wrzosy na leśnej polanie
Ciężka podróż przed nami, trochę może daleka...
Radośniejsze tym będzie spotkanie“.

Może któreś ze starszych wiedziało?
Może młodsze przeczuciem dotknięte
Opierało się — gorzko płakało
Tak samotne, zaszczute, wyklęte...
Janusz Korczak ostatnim spojrzeniem
Śmierć ich złożył na ludzkie sumienie.

* * *

Czas przeminie — Hunnów koniec bliski
I historia do dnia tego wróci
Plama krwi niezatarta —
Przyszłość? — I cóż przyszłość jest warta?
Tamtym dzieciom nic życia nie wróci...
A zwycięstwo? — Czas zwycięstwa złoty...
— Janusz Korczak szedł drogą Golgoty.

Dobrzyniec, w październiku 1942 r.

*) Stefania Wilczyńska, długoletnia współpracownica J. Korczaka.

Leon Cukierberg

Cień Torquemady



Z. Tołkaczew: „Kwiaty na śniegu“

Szarzało. Ciężkie ciemne chmury wisiały nisko nad ziemią, zaczynało mżyć; drobny, dokuczliwy deszcz, smagany wichrem rozpadał się wkrótce na dobre, hulał po pustych jeszcze ulicach, siekł po dachach, uderzał gradem o szyby okien, bił w bramy i ściany. Zrobiła się plucha; świat był szary i beznadziejny i takim widzieli go właśnie ludzie, co w czwórkach, pod eskortą opuszczali bramę ghetta i szli do pracy. Drewniaki stukały głucho po mokrym bruku i nasiąkały błotem kolein i wyrw na drodze podmiejskiej — szybkim krokiem zbliżali się już do celu, fabryczki za miastem. Z odejściem tej partii robotników ghetto bardziej jeszcze opustoszało. Za kolczastym drutem, co oddzielał nadludzi od parjasów, widać było tylko przemykające się chyłkiem postacie, oglądające się trwożnie za siebie, ze spuszczonymi głowami, jak zbrodniarze. Ołowiane niebo zdawało się właśnie nad gettem wisieć najniżej, otulać je jakby śmiertelnym całunem chmur. Przeklęty skrawek ziemi, przeznaczony dla żywych trupów, oddzielonych od świata żyjących, tonął w pomroce. Gdzie niegdzie zbierała się grupa ludzi, pomówiła z sobą, gestykulując żywo, nerwowo rozkładając ręce z oznaką beznadziejności szła dalej, rozchodziła się w uliczki i zaułki, gdzie wszechwładnie królowała nędza. Od trzech tygodni nie dopuszczali już do ghetta żywności. Po domach leżeli opuchnięci z głodu albo szkielety; dzieci umierały masowo. Ustał nawet pokątny handel, ludzie byli zrezygnowani, apatyczni. Głodowa śmierć nie gorsza od innej. O, nie gorsza — o wiele, wiele lepsza od tej, która właśnie idzie, która wchodzi w tej chwili w bramy ghetta.

Podniesieniem ręki wita warta przy bramie wchodzących. Jest ich kilkunastu, brązowych zbirów z trupią czaszką i ich czarnych pachołków. Odpowiadają niedbale na ukłon czarnego stójkowego i wchodzą. Wita ich cisza tak zupełna, że — zda się — ghetto wymarło. Jest tak cicho, że tupot butów urasta do rozmiarów marszu setek ludzi. Na przedzie kroczy wysoki, chudy gestapowiec o jastrzębiej twarzy. Węszy od czego zacząć, rozgląda się dokoła aż wreszcie wchodzi do kamienicy tuż obok wejścia do ghetta. Inni idą za nim; dwóch zostaje przed domem. Rozmawiają, narzekając na przeklętą pogodę, na kąśliwy, padający ciągle deszcz. Niecierpliwią się, że ich kamraci tak długo nie wychodzą. A tamci przystępują do roboty gruntownie. Lecą drzwi wyłamane kopnięciem nogi, odłamki szyb zasypują podłogi i podwórze — ale pokoje są puste. Tylko rozpaczliwa nędza kryje się po kątach. Graty, co niegdyś meblami się nazywały, łachmany, brudne tapety, kawały szkła z rozbitych drzwi — wszystko zaściela podłogę. Oprawcy z wściekłością kopią sprzęty, z dzikim jakimś zadośćuczynieniem rozbija jeden lustro. W mieszkaniach są pustki więc wchodzą do piwnic i tam osiągają już pierwsze sukcesy: dwoje staruszków i małe dziecko — na pewno wnuk — popędzani kolbami, traktowani obficie pięścią i butem wychodzą przed dom. Komiczny — zaiste — przedstawiają widok. Byli w piwnicy z węglem, więc twarze mają umorusane, czarne od węglowego pyłu; biała broda staruszka upstrzona jest czarnymi pasmami, a nieporadne łzy, co płyną ze starczych oczu żłobią sobie białe bruzdy w twarzy. Stary jest tylko w bieliźnie i pantoflach, widocznie ukrył się w ostatniej chwili; białe sznurki z fałdów bielizny ciągną się za nim po błocie. Wywołuje to śmiech serdeczny wśród oprawców. Jeden staje nagle z tyłu za starcem i — przez rękawiczki, by się nie zabrudziła ręka — pociąga za te nieszczęsne sznurki. Stary zostaje w koszuli tylko i w jednym pantoflu, człapie tak aż do punktu zbornego na jezdni, kobieta i dziecko za nim.

Dwaj brązowi mają już teraz pełne ręce roboty, bo ofiar wciąż przybywa. Inna partia przeszukuje sąsiedni dom, wyławia coraz to nowych ludzi. Zaczęło się piekło. Ktoś się broni, nie chce wyjść; więc częstują go porcją ołowiu z lufy; krótki, urywany krzyk i już po wszystkim. To jakiś młody mężczyzna. Jego towarzyszy wyganiają na ulicę. Chudy drab — przywódca urządza tymczasem innego rodzaju polowanie. Zaczaja się w podwórzu na kota; strzelił — i przyznać trzeba, że strzela celnie; kot trafiony w same ślepia zakręcił się i wyciągnął na ziemi. Nie danem mu było nawet przed śmiercią dowiedzieć się, że przeznaczono go chlubnie, jak skóry dzikich jego braci z lasów i dżungli, na futerko. Zbir bierze kota za łapy przywołuje z grupy nieszczęśliwców jakąś staruszkę. Ta wychodzi; ma miłą łagodną twarz, jest czysta i schludna. Podchodzi bliżej, a wtedy oprawca zarzuca jej kota na ramiona, z sadyzmem umiejscawia grzbiet jego na szyi, a łapki związuje sznurkiem na piersi. Zwierzątko krwawi obficie, i krew spływa po białej bluzce staruszki. Idzie ona teraz pierwsza, prowadzi orszak, a za nią wloką się inni. Przybywają coraz to nowi z przyległych ulic. Słychać jęki, strzały, głośne zawodzenia, wloką się ludziska, głucho biją kolby i laski po plecach — jest już dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu ludzi; ożywiają się puste ulice. Deszcz pada bez przerwy; wojskowe płaszcze przesiąknięte są wodą, wodą nasiąkają buty. Powiększa to wściekłość katów. Jastrząb wydaje rozkaz: czterech zostaje dla pilnowania, inni szukają dalej po domach, a pięciu — za nim!

Poszli do budynku rady starszych. Tam już wiedzą o akcji, więc okolica budynku pustoszeje i pustki są teraz w całym domu. „Gości“ przyjmuje przewodniczący rady. Kłania się nisko, szerokim służalczym uśmiechem pokrywa przerażenie i szalony strach przed tym, co za chwilę być może. Na szerokiej twarzy o grubym mięsistym nosie i sprytnych oczach obawa przed śmiercią odrazu wyryła ślady; sine cienie pod oczyma, brak tchu. Zaprasza bliżej do gabinetu, trzęsącymi się rękoma otworzyć chce drzwi, ale brązowy chwyta go za kark i odrzuca do tyłu. Każe mu iść przed sobą, wyprowadza przed dom i posyła jednego z czarnych z jakimś poleceniem. Tymczasem dwaj inni wywlekli kilkunastu ludzi, ukrytych po biurach, w piwnicy, na stryszku budynku. Jęki, nawoływania, krzyki prędko milkną pod razami pięści oprawców. Skazańcy stoją w nieustannym deszczu już spokojnie, nieruchliwie —wymierzone w pierś śmiercionośne lufy skutkują. Jest coś niepojętego w tym nieruchliwym spokoju, w fatalizmie, który każe założyć ręce i czekać, gdy się wie, że tam jest tylko śmierć. Gdyby teraz ta grupa uciekła, rozbiegając się we wszystkie strony, część ocalałaby — ale nie! Stoją, wszyscy apatyczni, zrezygnowani, otępiali.

Czarny wraca, trzymając w ręce długi, gruby sznur, który oddaje Jastrzębowi. Oczy brązowego zabłysły; będzie zabawa, aż hej! Wszystkie metody obrzydły już. Jego zwyrodniały mózg domaga się nowych podniet, oczy chcą widzieć mękę śmiertelną w innym jeszcze ciekawszym stopniu.

„Odwróć się!“ — rozkazuje najstarszemu rady, a sam wbiega szybko przez schody na balkon; związuje jeden koniec sznura w węzeł na wystającym żelaznym haku i spuszcza sznur w dół. W chwilę potem jest już z powrotem. Nie zwraca uwagi na deszcz, na to, że dokuczliwe krople dżdżu wpadają za opuszczony kołnierz, na to, że jest przemoczony i że cenne zdrowie niemieckiego patrioty narażone jest na szwank; jest w tej chwili cały dziką rozkoszą, ucieleśnieniem zbrodniczej żądzy mordu. Wyciąga papierośnicę i traktuje kompanów; ba, podchodzi bliżej do Żyda:

„Proszę, pan pali?“

Żyd uspakaja się zwolna, widocznie nic mu nie grozi. Jastrząb zaciąga się dymem — nagle odwraca się do Żyda.

„Powieś się!“ — mówi.

Żyd próbuje się uśmiechnąć.

„He, dobry żart tynfa wart“ — cytuje przysłowie. Chce coś jeszcze powiedzieć, ale skurcz przerażenia chwyta go za gardło. Poczyna płakać, łzy tak jakoś nieporęcznie spływają po policzkach, mieszają się z deszczem, padają całymi strugami do nawpół otwartych, łapiących z trudem powietrze ust.

„No, szybko, powieś się, mensch!“ — rzucony z bliskiej odległości koniec sznura ląduje na szyi skazańca. Ten nie rozumie jeszcze. Mruga nieprzytomnie oczyma i nieprzytomnie związuje sznur na swojej szyi mocniej i mocniej. Widzi utkwiony w sobie dziki wzrok jastrzębia, który przynagla, nagania. Ale to już za wiele, jak na siły człowieka; Żyd słania się i mdleje, sznur rozwiązuje się przy upadku. Zbir podnosi człowieka z ziemi i przeklinając go, że taki niezdarny, sam zawiązuje węzeł, podstawia koślawy jakiś stołek pod nogi, dźwiga człowieka w górę i usuwa stołek. Każe zabrać sinego już trupa.

A ludzie, którzy to widzieli, stoją w potokach deszczu tak samo obojętni jak i przedtem. Są stany duszy, których nic, nawet najbardziej potworne i straszne nie może przerazić ani wytrącić z apatii — już wszystko jedno.

„Dalej — naprzód!“ Czarni pędzą przed sobą ludzi i wkrótce łączą się z całą grupą. Jest około setki. Sto ludzkich istnień, skazanych na męczeńską śmierć.

I za co?! za co?! — Widnieje to pytanie, na które niema odpowiedzi, w oczach skazańców, w szaro - sinych twarzach, w pokurczonych postaciach, bije w niebo krzykiem opętańczym dzieci, zawodzeniem starych, płaczem młodych kobiet i straszną, tępą obojętnością starców.

— Za co?!

Obficie rozdzielane razy, uderzenia kolb nie mogą stłumić rozpaczy nieszczęśliwców, jęki i krzyki trwają, idą w podniebne szlaki, roznoszą się echem daleko okropną symfonią przed śmiertnego lęku. Nadjeżdżają trzy auta i poczyna się na nie ładować ludzi, ogłuszając ich ciosami. Błotna maź na autach miesza się z krwią z otwartych ran z głów porozbijanych, z krwawiących rąk. Brązowi wrzucają ludzi na auta, jednych na głowy i ciała drugich tak, że się ci na spodzie ciężarówek duszą; charczenie i rzężenie wydobywa się spod stosu ciał, a jest ich coraz więcej na aucie. Stos rośnie. Oprawcy siadają na rogach aut, dzwonią trąbki, pochód śmierci rusza.

Przechodnie na ulicach poza ghettem przywykli do takich widoków, wzruszają ramionami i obojętnie przechodzą... A klęknąć by im trzeba jak na głos dzwonka, gdy duchowny do konającego jedzie z ostatnią pociechą i posługą — ale obawa knebluje ludziom usta i ciała unieruchamia.

Auta minęły już miasto. Podmiejskie pola, skąpane w deszczu i błocie, owinięte szarym płaszczem mgieł nawiedza rozpaczny krzyk ludzki. Daleko za ostatnimi zabudowaniami, poza obrębem pól uprawnych leżą rozłogi. Ciągną się sinym pasmem daleko, aż gdzieś hen po kraniec widnokręgu; w ich martwą ciszę wdziera się łoskot aut, nieludzie jęki, krzyki i wołania oprawców. Czeka ich tam inna grupa. Robotników żydowskich z podmiejskiej fabryki użyto dziś do innej pracy; rzędem rozkopane rowy ukazują błotniste wnętrza.

To masowy grób.

Już ci na autach, którzy do ostatniej chwili wierzyli w cud jakiś, w coś niepojętego, co mogło przyjść w ostatniej chwili, widzą teraz, że oto śmierć jest już blisko. Oprawcy spychają ludzi z aut, pędzą nad rowy. Nie idzie to teraz tak łatwo, bo prócz zrezygnowanych, apatycznych są jeszcze inni. Wyrywają się zbirom, uciekają, a czarni pędzą za nimi po polu. Daleko uciec nie można. Padający już teraz potokami deszcz rozmiękczył grunt i nogi zapadają się w grząskim błocie, zostają w koleinach. Oprawcy są wściekli, że muszą moknąć w niemiłosiernym deszczu; biciem, razami spędzają wszystkich. Ktoś wpada do rowu, próbuje się wydostać, ale dostaje kolbą po rękach i już zostaje w dole. Staruszka, której jastrząb kocie futerko na szyją narzucił, oszalała; skacze do rowu twarzą w błoto, wczepiła się palcami w rozmiękłe, gliniaste ściany dołu i tak rozkrzyżowana zostaje.

A na nią sypią się już inni, bo oto jastrząb daje rozkaz. Salwa za salwą pada w skłębiony, wrzeszczący straszliwy tłum; ludzie, na wpół żywi jeszcze wpadają do grobu. Przeokropne inferno, piekło rozszalałe przewala się przez pola. Rzężą umierający, krzyczą zranione tylko lekko dzieci, ryczą nieludzko mężczyźni.

„Dobijcie! dobijcie!“ — wołają z rowów. Brązowych i czarnych ogarnął już szał mordu, Jastrząb zakazał dobijania rannych, więc strzelają ciągle w zbity tłum. Rów się zapełnia. Żywi i martwi, ciężko ranni i zranieni walą się do grobu. I już popędzani biciem robotnicy sypać poczynają pierwsze grudy ziemi na ciała swych braci. Są spokojni. Nieludzko spokojni.

Wychyla się jakaś ręka z grobu, a już obity gwoździami but miażdży ją i człowiek pada na innych. Grudy ziemi padają, lecą na głowy i ciała, błoto, glina i krew zlepiają się razem, zasypują rowy. Jastrząb zbliża się nad brzeg grobu. Z sadystycznym uśmiechem patrzy w jego wnętrze. Obłąkany nieludzki krzyk żywych zmusza go do nachylenia się do ucha swego kompana, bo głosu inaczej usłyszeć nie można.

„Widzisz, wyglądają jak mrówki‘. Towarzysz potwierdza skinieniem głowy. I rzeczywiście, to mrowisko; wre w nim teraz walka. Rozdzierają sobie wzajemnie ciała drapiąc się w górę, rozbijają głowy uderzeniem butów, byle podeprzeć się wyżej do brzegu.
Niektórym udaje się to. Po trupach i ciałach żyjących dostają się w górę. Wczepiają pokrwawione palce w rozmokły grunt, ale nad brzegiem czyha już kolba i spycha w dół. Jeden z czarnych używa z upodobaniem łopaty do spychania umrzyków; uderza ostrą blachą po palcach, odcinając w pół. Szaleńcze krzyki piekieł głuchną, bo rowy zasypuje się szybciej. Jak szczury, przerażone i oślepione uwijają się robotnicy; sypią pełne łopaty rozmokłej gliny, zasypują swoich — za cenę swego życia. Ziemia jest oporna. Zasypani żywcem, nawpół już uduszeni ludzie odpychają ją wyciągniętymi rękoma, próbują zatrzymać pędzącą z góry lawinę. Krzyk wzmaga się jeszcze. Słychać go spod drgającej ziemi. Krzyk trwa.

Niektórzy z czarnych spoglądają niepewnie po sobie. Tego jeszcze nieprzeżyli. Chcą już teraz prędzej z tym skończyć, bo im jakoś nie swojo — i zresztą... suchej nitki nie mają na sobie. Naganiają więc robotników do pracy. Ostatnie grudy ziemi padają na grób. A ziemia wciąż drga, w jej wnętrzu żyją ludzie. Jeszcze się nie wszyscy podusili, bo porusza się ziemia i dolatują jakby stłumione jęki.

Nie ustał jeszcze stuk łopat, a czarny, który stał obok aut, przyprowadza jakąś żałośnie wyglądającą postać. Młoda żydówka ukryła się za autem i oto teraz zauważono ją. Stoi przed gestapowcem, ociekając wodą, obłocona, znędzniała. Twarz ma urodziwą i nawet groza śmierci zatrzeć tego nie może.

„Podejdź bliżej!“ — mówi brązowy. Wpatruje się w nią uporczywie, znów jakiś pomysł zaświtał mu w głowie; zaprawdę — czy są granice sadyzmu?... Jastrząb owija się szczelnie płaszczem przed dokuczliwym zimnem i deszczem, chwyta dziewczynę za rękę i prowadzi na grób.

„Chcesz, bym cię puścił wolno?“

Dziewczyna drży na całym ciele.

„O tak“ — szepce — „ja tak chcę żyć“.

„Wiesz, chcę abyś potańczyła trochę! Na grobie! Nuże! tańcz“.

Kompani jastrzębia spoglądają po sobie ze zdziwieniem, nie dlatego, by dziwnym się im wydał rozkaz, ale zapadają już ciemności i jakże długo będą tu tkwili w tym przeklętym deszczu, w zimnie wśród pól? Ale pragnienie zabawy przemaga. Skupiają się koło rowu; u jednego z czarnych znajduje się nawet ustna harmonijka, na której poczyna wygrywać skoczną melodię. Twarz jastrzębia rozjaśnia się uśmiechem: ma nawet muzyczną ilustrację do tańca.

„Hej — tam, tańcz!“

... I dziewczyna poczyna tańczyć. Za cenę życia! Posuwa naprzód jedną nogę, wlecze po błotnistej ziemi drugą, podryguje śmiesznie. Buciki zostają w błocie, pończochy zdzierają się po chwili, dziewczę tańczy boso. Zdaje się jej, że ziemia pod jej stopami drga i jęczy ktoś w jej wnętrzu, ucieka więc z tego miejsca. Ale na innym jest to samo; więc goni — jakby chwytały ją języki ognia — po całym rowie

Hej — ha! Hej — ha! dźwięczy Mundharmonika i w upiornie ciemnym zmroku porusza się ludzka postać. Za cenę życia! Warto tańczyć po trupach. Coraz szybciej jak fryga kręci się dziewczyna w takt melodii. Brązowi poklaskują. Hej-ha! Hej-ha! — wygrywa Mundharmonika i tak-tak! tak-tak! — klaszczą w dłonie oprawcy. Klaskają w błocie bose dziewczynine nogi. Ją samą porywa taniec. Nie myśli o niczym. Skamieniała w bólu i nadziei, że oto będzie wolna, że uniknie losu braci, że pojedzie do domu, którego już niema razem z innymi robotnikami, martwo stojącymi teraz z boku. Wysoko w górę śmigają obolałe nogi, błoto spod nich tryska, fontanny wody oblewają brązowych. Ale oni, zacietrzewieni, uradowani zabawą i pochłonięci nią całkowicie, nie zważają na nic, biją tylko w ręce. Hej-haha! Hej-ha-ha!

Już ciemno, już ledwo rozróżniają się kontury postaci od czerni ziemi. Dziewczyna tańczy. Bierze się pod boki, przeskakuje z nogi na nogę, kolana podnosi, jedno, drugie, i w takt muzyki tańczy — tańczy... Oczy ma zamknięte. Opuchłe od płaczu, twarz obryzgana błotem. Upiór.

Nagle osuwa się przed gestapowcem na kolana.

„Nie — mogę — już — puść mnie... uratuj mnie‘... — pada twarzą w błoto, obejmuje go za buty i błaga:

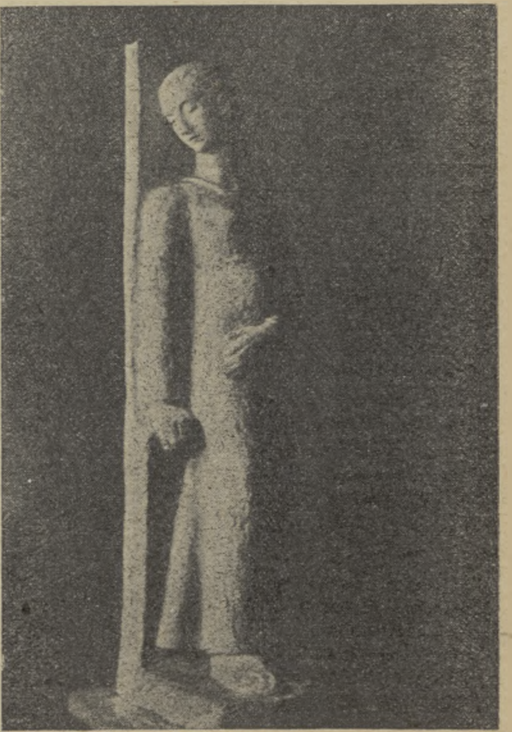
„Puść mnie wolno... — ja—chcę—tak żyć...“

Czarny odrywa harmonię od ust, jest już wyczerpany, ale inni nie spostrzegają w mroku, że dziewczyna przestała tańczyć, więc biją dalej zapamiętale w dłonie. Tak-tak! Tak-tak! nieprzerywane zagłusza huk wystrzału. Z odległości dwóch kroków dostała dziewczyna kulę w głowę. Niemiec dotrzymał przyrzeczenia. Nie krzyknęła nawet. Została w błocie, krzyżem leżąc rozpostarta. Wczepiła palce w błotnistą ziemię; ziemia nasiąka krwią. Za cenę życia... jeno u katów niema przyrzeczeń...

W ciemnej nocy odjeżdżają — skończyli robotę. Teraz zaczynają kruki. Nadlatują całymi masami; kraczą, krążą nad ciałem. W ciszy nocnej słychać tylko złowieszcze: Kra-kra-kra.

A było to nie za krwawych rządów Inkwizycji, nie za czasów władania Torquemady. Jego to cień padł na koszmarne lata drugiej wojny szaleńczej. Wszystko, co tu opowiedziano — prawdą jest. Przydrożne kamienie wiejskich dróg i stare mury miast i druty kolczaste ghett małomiasteczkowych opowiedzą wszystko. A mchem porosłe drzewa drogi z miasta S. do pól okolicznych żałosnym szumem wyśpiewają raz jeszcze historię o uciesznym i krwawym tańcu dziewczęcia na ciałach ludzi żywcem zakopanych. A kruki na potwierdzenie słów opowieści zakraczą znów straszne swoje:

Kra-kra-kra!...



Sara Gorszejn: „Ciężarna w getcie“ (gips)

Walenty Katajew

W zimowy dzień




Z. Tołkaczew: „Jedyny“

— Ja chcę spać, zimno mi.

— O Boże! Ja także chcę spać. Ubieraj się. I przestań grymasić. Dość tego. Włóż szal. Włóż czapkę. Włóż walonki. Gdzie rękawiczki? Stój prosto. Nie wierć się.

Kiedy chłopczyk był ubrany, wzięła go za rękę i wyszli z domu. Chłopczyk nie był jeszcze całkiem rozbudzony. Miał cztery lata. Idąc kulił się i chwiał. Zaczęło dopiero świtać. Świat spowity był w niebieską mroźną mgłę. Matka zacisnęła mocniej szal na szyi chłopczyka, poprawiło kołnierz i pocałowała syna w senną, kapryśną twarzyczkę.

Pokryte szronem suche gałęzie dzikiego wina, wiszące na drewnianych galeryjkach z wybitymi szybami, zdawały się być z cukru. Był dwudziestopięciostopniowy mróz. Z ust buchał gęsty obłok pary. Podwórze było zalane zamarzniętymi pomyjami.

— Mamo, dokąd idziemy?

— Mówiłam ci, na spacer.

— A po co wzięłaś walizeczkę?

— Bo tak trzeba. I przestań już mówić. Zamknij buzię. Zaziębisz się. Widzisz jaki mróz. Patrz lepiej pod nogi, bo pośliźgniesz się.

Przed bramą stał stróż w kożuchu, w białym fartuchu z blaszanym numerem na piersiach. Przeszła obok, nie patrząc nań. A on w milczeniu zamknął za nimi furtkę i zatknął duży żelazny hak. Poszli po ulicy, nie było śniegu. Wszędzie tylko lód i szron. A tam, gdzie nie było ani lodu ani szronu, widać było gładki kamień lub ziemię twardą i gładką jak kamień. Szli pod nagimi czarnymi akacjami, głośno potrzaskującymi na mrozie.

Matka i syn byli ubrani prawie jednakowo. Mieli na sobie dość porządne futerka ze sztucznych małp, beżowe walonki i kolorowe rękawiczki. Tylko na głowie matka miała chustkę w kratki, a chłopiec okrągłą czapeczkę z małpy z nausznikami. Ulica była pusta. Kiedy doszli do skrzyżowania ulic w głośniku ulicznym coś trzasnęło tak ostro, że kobieta drgnęła. Domyśliła się jednak natychmiast, że zaczyna się poranna audycja. Zaczęła się, jak zwykle, pianiem koguta. Zbyt głośne pianie koguta melodyjnie przedźwięczało po całej ulicy, zwiastując początek nowego dnia. Chłopczyk spojrzał do góry na głośnik.

— Mamusiu, to kogucik?

— Tak, dziecko.

— A jemu tam nie zimno?

—Nie, nie zimno mu. I nie kręć się, patrz pod nogi.

Potem w głośniku znowu coś trzasnęło, zaszumiało i delikatny dziecięcy głos z anielską intonacją powtórzył trzy razy:

— Dzień dobry! Dzień dobry! Dzień dobry!

Następnie ten sam głos, powoli z przejęciem wyrecytował po rumuńsku modlitwę:

— Ojcze nasz, który jesteś w niebie, święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja...

Na rogu kobieta odwróciła się od wiatru i ciągnąc za sobą chłopczyka zaczęła prawie biec po uliczce, jak gdyby uciekając od prześladującego ją zbyt głośnego i zbyt delikatnego głosu. Wkrótce głos zamilkł. Modlitwa skończyła się. Wiatr od morza dął po lodowatych korytarzach ulic. Przed nimi płonęło otoczone purpurową mgłą ognisko, przy którym grzał się niemiecki patrol. Kobieta zawróciła i poszła w drugą stronę. Chłopczyk biegł obok niej tupiąc beżowymi walonkami. Policzki jego zaróżowiły się jak żórawiny. Pod nosem wisiała zamarznięta sopelka.

— Mamo, my już spacerujemy? — spytał chłopczyk.

— Tak, już spacerujemy.

— Ja nie lubię tak prędko spacerować.

— To trudno.

Przez przechodnie podwórze wyszli na inną ulicę. Był już ranek. Skroś błękitne i niebieskie obłoki pary i szronu delikatnie przeświecała różowawa zorza, tak zimna, że od jej różowego koloru kurczyły się szczęki, jak od czegoś cierpkiego. Na ulicy ukazało się kilku przechodniów. Szli wszyscy w jednym kierunku. Prawie wszyscy nieśli ze sobą rzeczy. Niektórzy wieźli je pchając przed sobą wózki, albo ciągnąc naładowane sanki, które skrobały płozami nagą jezdnię.

Ze wszystkich stron miasta w ten mroźny ranek powoli wlekli się w jednym kierunku ludzie z bagażem, jak mrówki. Byli to Żydzi, którzy szli do ghetta. Ghetto było na Peresypiu, w tej smutnej, niskiej części miasta, gdzie na poziomie morza stały zwęglone cysterny naftowe, podobne do namiotów wędrownego cyrku. Kilka brudnych ulic otoczono podwójnymi zasiekami z drutów kolczastych, zostawiając jedno wejście jak do pułapki na myszy. Żydzi szli ulicami, wiodącymi ku Peresypiu. Szli pod mostami kolejowymi. Pośliźgiwali się na zamarzniętych trotuarach. Byli wśród nich staruszkowie, którzy nie byli w stanie iść i chorzy na tyfus plamisty. Niesiono ich na noszach. Niektórzy padali po drodze i zostawali tam, gdzie padli przylgnąwszy plecami do latarni, lub objąwszy żelazny słup uliczny. Nikogo nie było przy nich. Szli sami bez żadnego konwoju. Wiedzieli bowiem, że kto zostanie w domu, będzie rozstrzelany. Dlatego szli sami. Za ukrywanie Żyda także groziło rozstrzelanie. Za jednego ukrytego Żyda groziło rozstrzelanie wszystkim bez wyjątku lokatorom mieszkania. Żydzi szli do ghetta krętymi uliczkami, pod mostami kolejowymi, pchając przed sobą taczki i prowadząc za rękę opatulone dzieci. Wśród domów i drzew pokrytych szronem, szli jedni za drugimi jak mrówki. Szli obok zamkniętych drzwi i bram, obok dymiących ognisk, przy których grzali się niemieccy i rumuńscy żołnierze. Żołnierze nie zwracając uwagi na Żydów, grzali się, przytupywali butami i rękawicami rozcierali uszy.

Mróz był straszny. Taki mróz byłby uważany za duży nawet w północnym mieście. A dla Odessy był on po prostu potworny. Takie mrozy w Odessie zdarzają się raz na trzydzieści lat. Po przez kłęby gęstej, niebieskiej i zielonej pary słabo przeświecał maleńki krążek słońca. Na jezdni leżały trupy wróbli, zamarzłych podczas lotu. Morze pokryte było lodem, aż do horyzontu. Było białe. Dął odeń wiatr.

Kobieta wyglądała na Rosjankę. Chłopczyk także wyglądał na rosyjskie dziecko. Ojciec chłopca był Rosjaninem, to jednak nie miało znaczenia. Matka była Żydówką. I musieli pójść do ghetta. Ojciec chłopczyka był oficerem Armii Czerwonej. Kobieta podarła rano swój paszport i wyrzuciła do pokrytej lodem ubikacji. Wyszła z synem z domu mając zamiar chodzić po mieście tak długo, aż się to wszystko uspokoi. Miała nadzieję, że uda jej się jakoś przebrnąć. Iść do ghetta było szaleństwem. Oznaczało to niechybną śmierć. Zaczęła więc chodzić z dzieckiem po mieście, starając się unikać bardziej ludnych ulic. Z początku chłopczyk myślał, że spacerują i milczał, wkrótce jednak zaczął kaprysić.

— Mamo, po co my wciąż chodzimy?

— Spacerujemy.

— Tak szybko nie spaceruje się. Zmęczyłem się.

— Bądź wytrwały, mój maleńki. Ja też zmęczyłam się. A nie kaprysze przecież.

Spostrzegła, że rzeczywiście idzie zbyt szybko, biegnie niemal, jak gdyby ją kto gonił. Zmusiła się do zwolnienia kroku. Chłopczyk popatrzył na nią i nie poznał jej. Z przerażeniem ujrzał zapuchnięte, pogryzione wargi, pasmo włosów posiwiałe od szronu, które wymykało się nieporządnie spod chustki i nieruchome, jak gdyby szklane oczy z rozszerzonymi źrenicami. Takie same oczy miały zwierzęta jego zabawek. Patrzyła na syna nie widząc go. Ściskając maleńką rączkę synka ciągnęła go za sobą. Malca ogarnął strach. Zaczął płakać.

— Ja chcę do domu. Chcę siusiu.

Zaprowadziła go śpiesznie za kiosk dla afiszy, oklejony niemieckimi rozporządzeniami. Przez cały czas kiedy rozpinała, a potem zapinała mu ubranko, zasłaniając go od wiatru, chłopczyk wciąż płakał, drżąc z zimna. Potem, gdy poszli dalej, powiedział, że chce mu się jeść. Zaprowadziła go do mleczarni, ale tam dwaj rumuńscy policjanci, w szerokich futrach z psimi kołnierzami, jedli śniadanie. Dokumentów nie miała i bała się, że ich zaaresztują i odeślą do ghetta, udała więc, że weszła tu przez pomyłkę. Przeprosiła i szybko zamknęła drzwi z wiszącym dzwonkiem. Chłopczyk biegł za nią, nic nie rozumiejąc i płakał. W drugiej mleczarni nie było nikogo. Z ulgą przeszli przez próg z przybitą podkową. Kupiła chłopcu butelkę kefiru i obwarzanek. Podczas gdy opatulony chłopiec, siedząc na wysokim krześle pił kefir, który bardzo lubił, i gryzł obwarzanek, myślała gorączkowo nad tym, co jednak począć dalej. Nie mogła nic wymyśleć. Ale w mleczarni paliło się w żelaznym piecyku i można było ogrzać się. Kobiecie zdawało się, że właścicielka mleczarni przygląda jej się zbyt uważnie. Z pośpiechem zapłaciła. Właścicielka mleczarni popatrzyła z niepokojem w okno i zaproponowała kobiecie, by posiedziała jeszcze trochę koło pieca. Piec był rozżarzony. Był prawie wiśniowego koloru, troszkę może ciemniejszy. Skakały po nim iskierki. Gorąco zmorzyło chłopczyka. Oczy mu się kleiły. Ale kobieta zaczęła się śpieszyć. Podziękowała właścicielce i powiedziała, że śpieszy się. Przesiedzieli jednak tutaj prawie całą godzinę. Senny i syty chłopczyk z trudem trzymał się na nogach. Matka potrząsnęła nim, zapięła mu kołnierzyk i popchnęła leciutko w stronę drzwi. Malec potknął się o podkowę przybitą do progu. Wzięła go za rekę i poprowadziła go znowu na ulicę. Rosły tutaj stare wiązy. Szli obok drzew o delikatnej oszronionej korze.

— Spać mi się chce, — powiedział chłopczyk, mrużąc oczy wskutek lodowatego wiatru.

Matka udała, że nie słyszy. Uświadomiła sobie rozpaczliwość swej sytuacij. Nie mieli w mieście prawie żadnych znajomych. Przyjechali tutaj dwa miesiące przed wojną i ugrzęźli. Była zupełnie samotna.

— Kolanka mi zmarzły — powiedział chłopczyk z płaczem.

Odprowadziła go nieco na bok i roztarła kolana. Uspokoił się. Nagle przypomniała sobie, że ma jednak w mieście pewną znajomą rodzinę. Poznali się na okręcie „Gruzja“ w drodze z Noworosyjska do Odessy. Potem spotykali się nieraz. Było to młode małżeństwo, Pawłowscy, on był docentem uniwersytetu, a ona dopiero co skończyła szkołę budowlaną. Nazywała się Wiera. Obie kobiety przypadły sobie bardzo do gustu i zdążyły zaprzyjaźnić się z sobą w drodze. Kilka razy odwiedzały się wzajemnie. Mężczyźni zaprzyjaźnili się również. Raz nawet wypili wspólnie. Pewnego razu we czworo poszli nawet na mecz futbolowy Charków—Odessa. Pawłowscy sympatyzowali z Odessą. Ona z mężem pragnęła zwycięstwa Charkowa. Wygrała Odessa. Mój Boże, co tam się działo na tym olbrzymim, nowym stadionie nad morzem. Krzyki, wycie, bójki, tumany kurzu. O mało nie posprzeczali się wtedy. Ale teraz myślała o tym z przyjemnością. Pawłowskiego nie było w mieście. Był w Czerwonej Armii. A Wiera utknęła, nie zdążyła ewakuować się. Niedawno temu spotkała się z nią na Aleksandrowskim rynku i rozmawiały ze sobą. Ale zatrzymywać się długo na rynku nie było całkiem bezpiecznie. Niemcy prawie dzień w dzień urządzali tam obławy. Kobiety rozmawiały zaledwie kilka minut. Od tego czasu nie spotykały się. Ale najpewniej Wiera jest w mieście. Gdzież mogła się podziać? Pawłowscy byli Rosjanami. Można spróbować przeczekać u Wiery. W najgorszym wypadku zostawić u niej chłopca. Pawłowscy mieszkali dosyć daleko — na Pirogowskiej obok Francuskiego bulwaru. Kobieta zawróciła.

— Mamo, dokąd idziemy? Do domu?

— Nie, maleńki, idziemy z wizytą.

— Do kogo?

— Pamiętasz ciocię Wierę? Idziemy z wizytą do cioci Wiery Pawłowskiej.

— Dobrze, — powiedział uspokajają się. Lubił chodzić z wizytami. Poweselał.

Szli bardzo długo. Chłopczyk zmeczył się, ale nie kaprysił. Szybko dreptał nóżkami w beżowych walonkach, ledwie nadążając za matką. Chciał jak najprędzej być gościem. Lubił chodzić z wizytami. Matka po drodze kilkakrotnie rozcierała mu zbielałe policzki. Obok domu, w którym mieszkali Pawłowscy, płonęło ognisko i grzali się żołnierze. Dom był duży, składał się z kilku oficyn. Brama zamknięta była na łańcuch. Przeprowadzano tu obławę. Sprawdzano dokumenty wszystkich wchodzących i wychodzących. Udając pośpiech kobieta przeszła obok bramy. Nikt nie zwrócił na nią uwagi. Chłopczyk zaczął znowu kaprysić. Wzięła go wiec na rece i pobiegła tupiąc nogami po niebieskich płytach, którymi wybrukowany był trotuar. Chłopczyk uspokoił sie. Znowu zaczeła krążyć po mieście. Wydało jej się, że zbyt często wraca do tych samych miejsc i, że zaczęli już na nią zwracać uwagę. Przyszło jej wtedy na myśl, że można spędzić parę godzin w kinie. Seanse zaczynały się wcześnie, ponieważ po ósmej nie wolno było chodzić po ulicy pod groźbą śmierci.

Duszna, śmierdząca sala kina nabita żołdactwem i prostytutkami, których jak i ją zagnał tu mróz, przyprawiała ją o mdłości i zawroty głowy. Było tu jednak przynajmniej ciepło i można było siedzieć. Rozwiązała chłopczykowi szal i usnął natychmiast objąwszy oburącz jej rękę powyżej łokcia. Przesiedziała w kinie dwa seanse, z trudem rozumiejąc, co się dzieje na ekranie. Prawdopodobnie była to wojenna kronika, a potem komedia lub też coś w tym rodzaju: nie mogła uchwycić wątku. Plątało się wszystko. Raz zjawiała się na całej wielkości ekranu twarz ładniutkiej dziewczyny z jasnymi loczkami, która tuliła się policzkiem do płaskiej piersi wysokiego mężczyzny bez głowy i we dwoje śpiewali piosenkę, przy akompaniamencie muzyki, to znowu ta sama dziewczyna siadała do niskiego sportowego samochodu, to znów wznosiły się czarne fontanny wybuchów — jeden, dwa, trzy, cztery z rzędu — z metalicznym szczękiem, jak gdyby rozrywając od jednego uderzenia blachę żelazną na długie pasy — jeden, dwa, trzy, cztery pasy. Jak grad sypały się czarne grudy ziemi, uderzając w metalowy bęben i po zoranej pociskami ziemi pełzły czołgi z żałobnymi krzyżami, zgrzytając, nurkując i wyrzucając z długich luf jeszcze dłuższe języki ognia i kłębiące się pasma białego dymu.

Żołnierz niemiecki w podszytych walonkach i rosyjskiej futrzanej czapce z nausznikami ciężko oparł się o ramię kobiety i wielkim, brudnym palcem łaskotał szyję chłopczyka, starając się rozbudzić go. Pachniało od niego czosnkiem i denaturatem. Chichotał wciąż po przyjacielsku i powtarzał bezmyślnie:

— Nie śpij, Bube. Nie śpij, Bube.

Chłopczyk nie budził się, a kręcił tylko główką i postękiwał we śnie. Wtedy Niemiec położył ciężką głowę na ramieniu kobiety, objąwszy ją jedną ręką, a drugą zaczął miętosić twarz chłopczyka. Kobieta milczała bojąc się rozgniewać żołnierza. Bała się, że zażąda od niej dokumentów. Prócz tego od Niemca zalatywało jeszcze wędzoną rybą. Mdliło ją. Robiła ogromne wysiłki, aby nie wybuchnąć i nie urządzić skandalu. Nawoływała samą siebie do spokoju. Ostatecznie Niemiec nie robił nic specjalnie złego. Po prostu cham. Całkiem porządny Niemiec. Można wytrzymać. Zresztą Niemiec usnął wkrótce na jej ramieniu. Siedziała bez ruchu. Niemiec był bardzo ciężki. Dobrze, że spał.

Dziewczyna o jasnych loczkach znowu poruszała się na ekranie a razem z nią poprzez całą salę przesuwał się długi snop białych i ciemnych promieni. Z metalicznym łoskotem biły czarne fontanny, pełzły czołgi i niemieckie bataliony maszerowały po piaskach pustyni, a na wieży Eiffla podnosiła się olbrzymia faszystowska chorągiew i Hitler z ostrym noskiem i kobiecym podbródkiem szczekał z ekranu, wypinając kobiece siedzenie, wybałuszając oczy i bardzo szybko otwierając i zamykając usta. Ruchy jego warg były tak szybkie, że dźwięk nie nadążał za nim: „Aw, aw, aw, aw...“.

Żołnierze w ciemności obmacywali dziewki, a dziewki piszczały. Było nadzwyczaj gorąco, duszno, zalatywało czosnkiem, wędzoną skumbrią, denaturatem, aspiryną, rumuńskimi perfumami „Chat noir“. Ale mimo wszystko było tu lepiej niż na mrozie. Kobieta odpoczęła nieco. Chłopczyk wyspał się. Skończył się jednak ostatni seans i trzeba było znowu wyjść na ulicę. Wzięła chłopczyka za rękę i wyszli. W mieście było zupełnie ciemno. Tylko gęsta, mroźna para kłębiła się między zaciemnionymi domami. Para ta sklejała rzęsy. Płonęły na ulicach dymiące ogniska zaduszone prawie przez mróz. Niekiedy dobiegały odgłosy pojedyńczych wystrzałów. Po ulicach chodziły patrole. Było już po ósmej. Wzięła ociężałego ze snu chłopczyka na ręce i pobiegła tracąc niemal przytomność na myśl, że może ich zatrzymać patrol. Wybierała najbardziej głuche zaułki. Pokryte szronem klony i akacje stały wzdłuż ulicy niby senne. Miasto było puste i ciemne. Niekiedy otwierały się jakieś drzwi i wraz ze smugą blasku, nagle oświetlającą zamarznięte u bramy auta, z kabaretu wyrywał się przejmujący, przenikliwy pisk skrzypiec. Kobieta dobiegła pomyślnie do parku im. Szewczenki. Olbrzymi park ciągnął się wzdłuż morza. Było tu głucho i cicho. Szczególnie cicho było w dole pod urwiskiem nad zamarzniętym do linii horyzontu morzem. Nad morzem panowała cisza gęsta jak ściana. Kilka dużych gwiazd migotało nad białymi gałęziami drzew. Po gwiazdach ślizgał się niebieski promień reflektora.

Poszła po szerokiej asfaltowej drodze. Na lewo było to samo boisko, na którym byli wszyscy razem podczas meczu Charków—Odessa. Za ruinami boiska było morze. Nie widać go było w ciemności, ale po ciszy można było odgadnąć jego obecność. Na prawo ciągnął się park. Szeroka asfaltowa droga iskrzyła się w świetle gwiazd jak szmerglowy papier. Kobieta szła i rozpoznawała gatunki drzew. Były tu katapulty, z długimi zwisającymi jak sznurki do samej ziemi strąkami. Były tu akacje w kształcie piramid, klony, tuje i drzewa piżmowe. Pokryte gęstym szronem zlewały się w jedną całość i wisiały jak obłok nad samą ziemią. Odetchnęła z ulgą i poszła już znacznie wolniej wzdłuż ciągnącego się w nieskończoność rzędu pustych ławek. Jednak na jednej z ławek siedział ktoś. Przeszła obok z drżeniem serca. Czarna postać z głową opartą na poręczy ławki nie drgnęła. Kobieta spostrzegła, że człowiek pokryty był szronem, jak drzewa. Nad czarną kopułą obserwatorium, która wznosiła się nad białymi obłokami parku, migotały iskrzace się gwiazdy Wielkiej Niedźwiedzicy. Było tutaj bardzo cicho i wcale nie straszno. Być może było nie straszno dlatego, że kobieta była już nazbyt zmęczona.

A nazajutrz rano, kiedy się jeszcze niezupełnie rozwidniło, jechały po mieście ciężarówki zbierające zmarzłych w nocy ludzi. Jedna z ciężarówek powoli jechała po asfaltowanej drodze w parku im. Szewczenki.

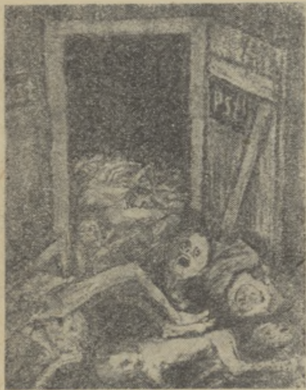
Ciężarówka zatrzymała się dwa razy. Pierwszy raz obok ławki, na której siedział zamarznięty staruszek. Drugi raz przed ławeczką, na której siedziała kobieta z chłopczykiem. Trzymała go za rękę. Siedzieli obok siebie. Ubrani byli niemal że jednakowo. Mieli na sobie porządne futerka ze sztucznej małpy, beżowe walonki i kolorowe rękawiczki. Siedzieli jak żywi, tylko twarze ich, które zdążyły w ciągu nocy pokryć się szronem, były zupełnie białe i puszyste, a na rzęsach wisiały lodowe frędzle. Gdy żołnierze podnieśli ich, nie wyprostowali się. Żołnierze rozkołysali i rzucili do ciężarówki kobietę z podkurczonymi nogami. Stuknęła o staruszka jak drewniana. Potem żołnierze rozkołysali i lekko rzucili chłopczyka z podkurczonymi nogami. Stuknął o kobietę jak drewniany i nawet nieco podskoczył.

Gdy ciężarówka odjechała, w głośniku ulicznym zapiał kogut zwiastujący początek nowego dnia. Poczem delikatny głos dziecięcy powtórzył trzykrotnie z anielską intonacją:

— Dzień dobry! Dzień dobry! Dzień dobry!

Artur Sandauer

Sprawa





Z. Tołkaczew: „Pst!“

Cóż prostszego niż być zabitym? Dr Winter, były sędzia okręgowy i oficer rezerwy, lubił rozwiązania legalne i jasne. Tylekroć wydawał wyroki; cóż dziwnego, że z kolei i on miał im ulec? Samej jednak procedurze tego, miesiące już trwającego, procesu brakło należytej powagi i zarówno wykonawcy jak świadkowie i ofiary nie odnosili się z wymaganą w takich chwilach godnością. Na ustach Niemców, gdy odwiedzali gmach Rady, igrał pobłażliwy uśmieszek. Zachodzili czasem do mroźnego biura, gdzie urzędował dr Winter i klepiąc wyprężonego na baczność po ramieniu wyrażali uznanie dla jego niezmordowanej pracy: „Arbeiten Sie nur fleissig! Das macht gut!"). Zachowanie ich wyzbyte wszelkiej wrogości, wyrażało tylko przyjazną ironię; nie brali go po prostu na serio. Ten sam dwuznaczny stosunek drażnił dr Wintera, gdy stykał się z ludźmi z zewnątrz.

Wychodził bowiem niekiedy na miasto objuczony zegarkami, dolarami i złotem, które mu — jako posiadaczowi jednej z niewielu przepustek, pozwalających przekroczyć druty — dawno na sprzedaż, Kiedy z białą opaską na ramieniu, którą na próżno starał się ukryć, strząsając śnieg z przydrożnych drzew na rękaw, przemknąwszy się bocznymi ulicami, wpadł nareszcie do jubilerskiego sklepu, właściciel i czeladnicy, iskrzący się od świeżo nabytych pierścionków, świeżo ogoleni, z kantami spodni tak ostrymi, jakby nimi się właśnie golili, rzucali na wyplamione palto i zaniedbaną fizjonomię spojrzenie taksujące i nieco zażenowane. Targując się o cenę przyniesionych kosztowności mówili: „Po co się pan tak upiera? Przecież..." i nie kończyli przez delikatność, lecz tylko mrugali do siebie porozumiewawczo. Dr Winter wił się pod ich bagatelizującym wzrokiem. Śmierć — myślał — jest rekapitulacją i oceną życia. Czemuż musiał umierać w tej atmosferze chichotów, poklepywań, groteskowych podrygów? Dlaczego ostatnim gestem miało być klaśnięcie opadającego w błoto ciała?

Dr Winter, przekroczywszy bramę, nie skierował się do domu. Od miesiąca, odkąd żona zginęła, komórka, którą wraz z nią poprzednio zajmował, była nieopalona i pusta. Tę swoją — jak ją ochrzcił — Syberię odwiedzał tylko w godzinach rannych, kiedy po bezsennej, spędzonej na spacerze lub grze w szachy, nocy walił się w ubraniu na niezaścielany nigdy barłóg. Postanowił zajść do kolegi z lat szkolnych, eksprofesora gimnazjalnego, obecnie — podobnie jak i on — urzędnika. Dr Maurycy Kolski, któremu już rok temu zabrano żonę wraz z dziećmi, oszczędzając jedynie jego jako wysokiego dostojnika Rady, zdawał się zupełnie pogodzony z ich stratą. Dawniej, obarczony trojgiem osób, głodował. Dziś, gdy, miał czterykroć mniej gąb do nakarmienia i tylekroć więcej rzeczy do sprzedania, jego stan materialny polepszył się szesnastokrotnie. Toteż spieniężał systematycznie co tydzień sukienkę córki lub ubranko syna, wskutek czego utył niepomiernie. Urząd, którego powadze zawdzięczał życie, obecnie —w miarę rosnącej w społeczeństwie anarchii — stawał się fikcją. Dla pozoru wpadał rano na godzinkę do biura, resztę dnia spędzając na ulicach i w cukierniach i myszkując, gdzieby znaleźć co lepsze ciastka i co korzystniejsze komunikaty. Wieczory poświęcał trzeciej namiętności, szachom w czym mu dzielnie sekundował dr Winter. Właśnie dr Maurycy, wróciwszy z cukierni i nie zdjąwszy palta, lawirował w przejściu między stołem a łóżkiem, by wydobyć flaszkę z naftą z jednego konta, lampę bez szkła z drugiego i rozgrzać nieco nad knotem zgrabiałe palce, gdy rozległo się stukanie do drzwi: dr Winter — mimo zmienionych warunków — nie wyrzekł się kultury, a zwłaszcza jej drobnych nakazów.

Dr. Maurycy odwrócił rozradowaną twarz od lampy.

— Wiesz? — rzekł, podbiegając do stojącego na progu i uderzając go po ramieniu — Ordżonikidze wzięte.

— Pozwól mi wejść do środka i zatrzasnąć drzwi za sobą — odparł dr Winter. — I tak jest już dość zimno.

— Ordżonikidze wzięli! — powtórzył dr Maurycy zacierając ręce z uciechy i mrozu. — Zuchy! Czterdzieści kilometrów od wczoraj. Jeżeli zachowają to tempo, to... poczekaj! — Dr Maurycy wyciągnął z jednej kieszeni notes, z drugiej mapkę, z innej ołówek i manipulując nimi ze zręcznością, świadczącą o dłuższej wprawie, oderwał pasek papieru, zmierzył odległość kartograficzną i pomnożył przez podziałkę. — Otóż, poczekaj! Od frontu jesteśmy oddaleni o jakie 1860 km. Za 46 i pół dnia, przyjmijmy dla zaokrąglenia 47, powinni być tutaj. Ależ to się doskonale zgadza! — dr Maurycy przytknął palec do skroni mrużąc jedno oko. — Akuratnie na 22 lutego w południe. A właśnie jedna osoba, bardzo dobrze poinformowana, powiedziała mi, że wojna ma się wtedy skończyć. Bo — ciągnął sumując szybko drżącymi palcami — jeśli dodać początkowy i ostatni dzień tamtej wojny i pierwszy obecnej i pomnożyć to wszystko przez trzy, to... otrzymujemy cyfrę 22.243, czyli — po uzupełnieniu kropek — 22. II. 43.

Po czym spojrzał tryumfalnie na przyjaciela i schował ołówek.

— A czemu zdobycie naszego miasta ma oznaczać koniec wojny? — zapytał chmurnie dr Winter.

— Ach! Te niedorzeczne pytania! Ileż razy mam ci tłumaczyć, że — jeśli Niemcy cofną się aż tutaj — to automatycznie w kraju wybuchnie rewolucja. Naród nie wytrzyma...

— Słuchaj! Czy ty naprawdę wierzysz w to, co mówisz?

— Przestań mi dokuczać głupimi pytaniami, słyszałeś? — Dr Maurycy uderzył kułakiem w stół, aż stojąca na nim kopiasta misa z ziarnem podskoczyła, wysypując część zawartości na podłogę. — Wciąż myślisz, jakby drugiemu humor zepsuć. Zazdrościsz mi wiary, że przeżyję — wszystkiego, co mi zostało...

— Maurycy! — dr Winter ujął go za ramię. — Po co te złudzenia? Jesteśmy skazani, prawda? Umiejmyż umrzeć z godnością. Czyż ty nie dostrzegasz haniebności twego optymizmu, tych wszystkich wybiegów, szamotań, bezcelowej walki o życie? Kto ma odwagę zrezygnować, tego już nic nie może dotknąć: jest wolny. Każda iskierka optymizmu, każde źdźbło otuchy osłabia w nas tę decyzję.

Dr Maurycy spojrzał okrągłymi, dobrodusznymi oczyma na przyjaciela. Grube jego wargi skrzywiły się.

— Po co ci to? — mruknął. — Po cóż ci ta decyzja, postawa? Żyj z dnia na dzień jak ja. Czemuż nie żyć nadzieją, póki można?... Zrobimy lepiej partyjkę, chcesz? Szachy są pod łóżkiem. Wyciągnij i ustaw. Ja tymczasem narąbię szczapek na podpałkę...

Było już dobrze po północy, gdy dr Winter, przegrawszy nieskończoną ilość partii, wyszedł od Maurycego. Zza drutów dochodziły, dźwięcząc na mrozie, głos chłopców śpiewających kolędę. Słychać było, jak zabijają ręce o kożuchy. Skrzypnęły drzwi: to gospodarz wynosił po kieliszku na rozgrzewkę.

— Bóg stał się popularny na dwa tygodnie — pomyślał dr Winter. — Bohater przebojów religijnych. Gwiazdka, choinka, złocone aniołki u szczytu dzieciństwa. Nie, nie wypada mi — po tylu latach niewiary — nawracać się. Trzeba być w porządku wobec Pana Boga.

Dookoła niego ulice roiły się od niewidzialnej ciżby. Ciemność szurgała ostrożnymi krokami po gołoledzi, wzdrygała się od niespodzianych spotkań, dyszała szantażem. Dr Winter, który postanowił zajść do knajpy, chwytał mimochodem urywki rozmów, ułamki zdań, obce sobie i różnorodne, zdziwione jakby swym nieoczekiwanym połączeniem.

Podniesiony, nadrabiający pewnością głos:

— Dokumenty proszę!

Półgłosem:

— Ordżonikidze odbite... Niemcy ewakuowali Charków...

— Przyjechała lotna brygada SS...

— Nieprawda! To rozbite wojska cofają się przez miasto...

Szeptem:

— No, chodźże, chodź! Wszyscy współlokatorzy poszli na noc do pracy. Pokój jest wolny.

— Nie mogę... Muszę do domu... Mama czeka...

Przechodząc obok wpółoświetlonej, grząskiej sieni dr Winter słyszy cienki, dziecięcy jeszcze prawie głosik:

— Ona je chowa w poduszce. Widziałem przez okno jak zaszywała...

Podniesiony, nadrabiający pewnością głos zagłusza inne:

— Czy pan sobie zdaje sprawę, co to znaczy — w tak ciężkich dla naszego społeczeństwa czasach — nie meldować się? Pan się uchyla od pracy przymusowej. Pan zrzuca cały ciężar na innych. W tej chwili mamy w spisach Rady 1200 mężczyzn w wieku roboczym. A Niemcy żądają od nas dziennie, wie pan ilu? 800. Dosłownie — 800. Każdy zameldowany musi 4 dni w tygodniu pracować. A za kogo? Za pana i za takich jak pan, którzy uchylają się od spełnienia obowiązku. A ilu was jest? Wedle powierzchownych obliczeń jest was, niemeldowanych, przynajmniej drugie tyle. I gdybyście się wszyscy zgłosili, to każdy szedłby tylko dwa razy w tygodniu na robotę, na ciężką bezpłatną rozbiórkę niemieckich baraków. Czy pan nie rozumie, co to jest obowiązek społeczny? Czy pan nie rozumie, że moralność zbiorowa każe nam nieść wspólnie ciężar w tej ciężkiej chwili?

— Mnie, panie milicjancie — przepraszam — panie doktorze, nie wolno pracować, bo ja mam naderwane wnętrzności z prawej strony — o tu! I muszę zarabiać, bo mam żonę i dwoje dzieci. Jak ja będę pracował cztery dni w tygodniu, to kto im na jeść? To ja bardzo proszę pana milicjanta, tzn. pana doktora, żeby...

— A ja — pan myśli — nie mam żony i dwóch kuzynek na utrzymaniu? A mimo to pełnię służbę milicjancką codziennie od 8-ej rano do 8-ej wieczór. I pan mnie mówi, że pan ma rodzinę? A ja to nie mam rodziny, ha?

— No, jak pan doktór ma rodzinę i ja mam rodzinę, to wie pan doktór co? Ja panu doktorowi dam 500 złotych, a pan doktór mnie nie zamelduje i wszystko będzie w porządku. Wszyscy jesteśmy w tej samej biedzie, panie doktorze. Ja panu doktorowi, pan doktór mnie... No, dam 600 złotych.

— Panie, za co pan mnie bierze? Ja tu służbę pełnię, a pan mnie propozycje robi? A poza tym co to jest dzisiaj 600 złotych?

— Żebym tak żył, panie doktorze, że z całego serca bym dał więcej i jeszcze bym dołożył, jakbym miał. Przez cały dzień zarobiłem 800 złotych. No, dam te wszystkie pieniądze i niech nie będzie ani na pana doktora ani na moje...

Reszta rozmowy ginie w pobliskiej sieni, dokąd udają się obaj kontrahenci celem uściślenia transakcji.

Znowu szept:

— Głupia, czego się upierasz? Nie dziś, to jutro skoczysz do jamy. Co ci zależy?

— Ale u ciebie brudno. I wszy są. I to nieprawda, że wszyscy poszli do pracy, bo ten z górnego łóżka, co choruje na tyfus, nie może się przecież ruszyć.

— Ojejej, ważna sprawa. Chybaż on wie, co się z nim dzieje? 40 stopni i trzynasty dzień gorączki. Wciąż mowi, że Hitler zamianował go zastępcą i kazał mu legiony zorganizować. No, chodź, chodź.

Kroki się oddalają.

Szept z sieni:

— Po co jej, starej skąpicy, tyle dolarów? Byleby dla Niemców chować...

— Ja mam klucz z jej mieszkania. Raz byłem u niej z babcią i wyciągnąłem dla kawału. A teraz się przyda...

— Ordżonikidze odbite... Roosevelt powiedział, że nie pozwoli... Papież zwrócił się do Goebbelsa, żeby... Junacy kopią jamę pod Radłowicami...

Rozstawiając szeroko nogi, by nie poślizgnąć się, dr Winter przesuwał się niezauważony wśród tysiącznych interesów tej nocy, kuszony przez wyłaniające się wciąż z jej głębi propozycje niewiarygodnych przygód i ocaleń. Każda boczna uliczka, każda sień wciągała w jakieś swoje konszachty, przed którymi bronił się, ściskając się i opancerzając wewnętrznie. „Obojętność... godność... stoicyzm — powtarzał mentalnie. — Nie chcę... nie będę... Trzeba zachować postawę w tym kłębowisku".

— Panie doktorze — ktoś zziajany i pośpieszny wpadł mu prosto w objęcia i na wszelki wypadek zatytułował. — Ach, to pan doktór Menkes. Mam do pana ważny, bardzo ważny interes. Jest okazja — u chłopa — na przedmieściu — pokój zamurowany — wejście przez strych — na cztery osoby — po tysiąc złotych. Ja z żoną i córką i pan doktór. Pan doktór by pokrył koszta. To przecież dla pana doktora nie jest pieniądz. Ja z czystej przyjaźni dla pana doktora — od razu o panu myślałem.

— Ależ ja nie jestem dr Menkes, tylko Winter — odparł tamten sucho, rozpoznając w spotkanym stałego bywalca swego biura, człowieka wiecznie zaaferowanego i tajemniczego, który go bezustannie molestował swoimi sprawami.

— Ach, to pan doktór. Ja bardzo a bardzo przepraszam. Nie poznałem w tej ciemności. Ale to nic nie szkodzi. Ja się panu przyznam, że ja właśnie pana doktora miałem na myśli i tylko tak sobie powiedziałem, bo myślałem, że to dr Menkes. Jakby pan doktór mógł od razu wyłożyć pieniądze, to ja bym pana doktora jeszcze dziś tam zaprowadził i sam wziąłbym żonę i dziecko. Trzeba się śpieszyć. Mówią, że coś jest niedobrze...

— Ale ja nie mam ty... — zaczął dr Winter i urwał. Zdobycie pieniędzy nie było w końcu — po tym co widział i słyszał — niemożliwością. Uświadomił sobie nagle, że poprzednia dobrowolna rezygnacja z życia wynikała tylko z niewiary w zachowanie go. Teraz, gdy otwarła się przed nim furtka ocalenia, zabrakło mu odwagi, by ją zatrzasnąć. Wbrew swej lepszej wiedzy zmusił się do ufności dla człowieka, którego nigdy przedtem nie traktował poważnie. — Wie pan — rzekł nagle poufnym tonem — umówmy się na godzinę.

— Dobrze, panie doktorze, doskonale, panie doktorze. Godzina trzecia punkt — wypalił tamten i ruszył z kopyta. Dr. Winter usłyszał po chwili za sobą jego głos:

—Przepraszam, czy to nie pan dr Menkes?...

Obudzone na nowo pragnienie życia pchało dr Wintera ku czynom. Ale jakim? Którą drogę wybrać? Dlaczego na przykład nie wziąć pierwszej wyłonionej z ciemności dziewczyny pod ramię? Dlaczego właściwie nie zająć się szantażem?

Próbował na chybił - trafił okrzyknąć prześlizgującego się pod murami przechodnia:

— Dokumenty proszę!

Lecz głos jego zabrzmiał — widocznie — słabo i nieprzekonywująco: ponocny wędrowiec nie dosłyszawszy lub udając, że nie dosłyszy, i nie odwróciwszy nawet głowy, kontynuował swą przechadzkę.

— Czemuż to od dzieciństwa nie ćwiczyłem się w tej sztuce? — mruknął do siebie dr Winter z żalem. — Miałbym teraz wprawę... Niepoprawna uczciwość mojej natury stłumiła mi głos i zdusiła w zarodku tę delikatną próbę, ten niejako pierwszy nieśmiały pączek szantażu. Cóż dalej?

Po chwili namysłu zawrócił ku na wpół oświetlonej bramie, gdzie wciąż jeszcze stali dwaj uczniowie, pochyleni ku sobie, z miną nader zaaferowaną. Rozczochrani i zamorusani, w wytartych szynelach, mogli liczyć najwyżej po 15 lat. Dr Winter znał obydwu; w okresie, gdy aplikował jeszcze w sądzie, udzielał im nawet korepetycji. Wpraszać się teraz do ich towarzystwa — było dlań nad wyraz nieporęcznie. Toteż słowa jego:

— O czym właściwie mówicie?

uderzyły wbrew jego woli — w dawny ton profesorski. Pochylone ku sobie w niewinnym geście dziecięcej zmowy twarze odstrychnęły się, zalane rumieńcem. Chłopcy wzdrygnęli się, stropieni tym bardziej, że mieli przed sobą — bądź co bądź — przedstawiciela ładu i porządku. Nie przeczuwali, że stróż praworządności zdradził tymczasem, że psychicznie przeszedł już na ich stronę.

— My nic, panie sędzio, my tylko tak...

— Nie wykręcaj się, Zygmuncie — rzekł dr Winter nabytym w ciągu praktyki zawodowej surowym tonem sędziego. — Nie oszukasz mnie. Przed chwilą mówiliście o dolarach babci Eitlowej z ulicy Kinela.

— Jak babcię kocham — zawołał uderzając się w piersi młodszy z niedoszłych opryszków — żeśmy nie chcieli nic złego zrobić babci Eitlowej. Ja panu doktorowi coś pokażę... i pan doktór zrozumie...

— Co ty pleciesz? Cóż ty właściwie chcesz mi pokazać? — rzekł dr Winter zirytowany mimowolną rolą indagatora.

— Myśmy nie chcieli babci Eitlowej... Tylko nam pieniędzy potrzeba... bo my mamy jeden karabin...

— Co to wszystko znaczy, do stu... — zawołał dr Winter tracąc panowanie nad sobą.

— Nam bardzo pieniędzy potrzeba, bo my chcemy do partyzantki, a babci one się na nic nie zdadzą, tylko Niemcy się nimi nad jamą nakarmią, więc myśmy chcieli ją — podbródek malca zatrząsł się — obrabować.

— Więc wy do partyzantki się wybieracie? — zapytał spokojniej już dr Winter.

— Tak jest, do lasu, panie sędzio — odparł pośpiesznie starszy z obydwu, Zygmunt — W Karpatach jest oddział, sami nasi koledzy. Dzisiaj przyszedł goniec, abyśmy doszlusowali do nich — co najmniej z dwoma karabinami, bo inaczej nie przyjmą. A my mamy tylko jeden — z 39 roku. Dla Witka trzeba by jeszcze jednej sztuki. A tutaj jest taki, co chce sprzedać bolszewicki automat z nabojami za 2.000 złotych. I dlatego chcieliśmy zrobić ten sztos — to znaczy skok — objaśnił rzeczowo. — Bo babcia Eitlowa zginie tak czy tak, z pieniędzmi i bez.

— Ach, tak! Pokażże no ten karabin.

Dr Winter, w którym obudziła się żyłka oficerska, odczuł nieprzepartą chęć dotknięcia nieoglądanej dawno broni. Podniósłszy skobel u drzwi wszedł do izdebki, którą — po utracie rodziców — wspólnie zajmowali. W łóżku, zaścielonym bardzo starannie, owinięty w koc i nakryty pierzyną, spał cicho karabin. Zygmunt, zdjąwszy kaganek ze ściany, oświetlił go z uwagą i nabożeństwem jak trupa.

— To on! — szepnął. — Nienabity.

Wymotawszy z obwijaków dr Winter przycisnął go do piersi, przymrużył oko, nacisnął cyngiel. Po czym z największą czułością opatulił go znowu i wsunął pod pierzynę.

— Kogo chcecie nim zastrzelić? — zapytał. — Babcię Eitlową?

— Nie, ale można ją nastraszyć, bo po dobremu pieniędzy nie da. A jej przecie ich nie trza. Do lasu nie pójdzie.

— A ileż kosztuje tamten karabin?

— Dwa tysiące.

— A czy jest tutaj czy w mieście?

— Tutaj.

Taką właśnie sumą dr Winter rozporządzał. Nabywszy karabin mógł przyłączyć się eskapady chłopców; mógł też — w razie czego — sprzedać drogo swe życie. Ta nowa, bardziej realna koncepcja zatarła w jego pamięci właściwy cel wizyty.

— No, więc chodźmy.

— Pan doktór chce kupić karabin? Jak to dobrze! Moglibyśmy w trzech pójść z dwiema sztukami. Nie będą chyba tacy dokładni. Trzeba się śpieszyć. Ludzie przeczuwają coś niedobrego. Nikt się nie położył spać tej nocy... Junacy kopali wczoraj jamę w Radłowicach...

Wyszli w wirującą ciemność, zagęszczoną jeszcze przez świeżo opadłą mgłę. Droga była śliska, pełna zamarzłych śladów po wylanej z wiader wodzie, które znaczyły bliskość jedynej w dzielnicy studni.

Nie uszli dziesięciu kroków, gdy idący przodem Zygmunt, pośliznąwszy się, zahaczył głową o coś twardego. Z ciemności wytrysnął błysk latarki i gniewny głos:

— Szczo ce u didka take?

Dr Winter stanął jak wryty: ukraińska policja! Tego jeszcze brakowało! Zygmunt padając trafił prawdopodobnie jednego z nich w słabiznę: zderzenie równie nieprzyzwoite, jak niebezpieczne.

— Czoho wy po noczi łazyte?

— Ja maju nocnu przepustku.

Dr Winter usiłował, posługując się nieznanym sobie językiem, obłaskawić policjantów.

— Ja tobi pokażu nocnu przepustku.

Błędy językowe dr Wintera powiększyły wściekłość policjanta.

— Nocnu przepustku chocze meni pokazaty — zwrócił się do towarzysza z ironią, wzywając go na świadka ignorancji językowej dr Wintera. — Skażv meni łuszcze, zwidky ty wyjszow i szczo ty tam robyw.

Dr Winter pobladł. W tamtym kierunku był tylko jeden dom mieszkalny, poza tym rudery i zgliszcza. Dalej zaczynały się druty i puste, huczące pole. Wydało mu się nagle, że tamten przeziera go na wskroś. Czuł na sobie jego szyderczy, wszechwidzący wzrok. Domyśla się na pewno, domyśla. Obejrzał się: malców już nie było. Policjanci, zajęci rozmową z dr Winterem, nie zauważyli ich obecności ani ucieczki.

— Abo skażesz meni, zwidky ty wyjszow abo...

— Panie policjancie — rzekł dr Winter, uspokojony nieco ucieczką chłopców i przechodząc dla większej swobody na język polski — chętnie powiem panu, skąd wychodzę. Lecz po cóż stać tu na mrozie? Pan pozwoli parę kroków ze mną do mego mieszkania. Tam panu wyłożę motywy mojej przechadzki.

— Sczo ty meni jakiś swoi motywy choczesz wykłady — powtórzył policjant z uporem, bodaj czy nie z pijackim? — Meni treba znaty, zwidky ty wyjszow, a jak ni...

— Z knajpy wyszedłem — odparł zuchwale i nieoczekiwanie dla siebie dr Winter, przygotowany już teraz na najgorsze.

— Ano, chodim do knajpy, jak tak napyrajeszsia. Tam meni wyłożysz wsi swoi motywy. Ale uważaj, szczabyś druhyj raz ne upaw na mene...

Już łomocą we drzwi: „Otwierać!“

Właściciel podbiega ku leżącym na podłodze dzieciom, szarpie je za ramiona: „Wstawajcie! Prędzej! Tylne drzwi!" Lecz nim zdążyły się wyplątać ze snu, drzwi pod naciskiem kolby ustępują. Właściciel poznaje twarze wchodzących: ten blondyn z szeroką gębą i zadartym nosem, nazwiskiem Mykitko, wziął w sierpniu jego matkę na

godności

śmierć. Tamten drugi, czarnowłosy, Mikolko, który tak bije w więzieniu. Ale oblicza ich — na szczęście — nie zapowiadają dzisiaj nic groźnego; zwracają się doń nawet po polsku, co jest niewątpliwą oznaką dobrego humoru.

— Czegoż to pan nie otwiera, panie szef? My w gości do pana przyszli, a pan nas tak przyjmuje? Na wódkę do was zaszli, za bezdurno nic nie chcemy. Ani grosza nie zostaniemy dłużni. Ten pan stawia.

Właściciel mruży oczy, by rozpoznać twarz trzeciego gościa. Czyżby go wzrok mylił? Więc i ten ma konszachty z policją? Taki porządny — zdawałoby się — człowiek... Czasy, czasy...

— Ach to pan, panie doktorze — mówi głośno.

— Proszę, proszę!

Policjanci zajmują miejsca za stolikiem; karabiny biorą między nogi.

— Flaszkę wódki poproszę! — mówi siadając obok nich Winter.

— A zakąsek to pan nie stawia, panie doktór? — mówi czarny Mikolko patrząc nań uważnie. — No, dobrze, jak pan chcę. A przy wódce powie pan nam, skąd pan wychodził, kiedy my pana spotkali.

— I zakąski poproszę! — mówi dr Winter do właściciela.

— A to co inszego! Łosoś u was jest, panie szef? Dawaj pan kanapki z łososiem! Lu go! Za pańskie zdrowie, panie doktór! Żeby nasze dzieci bogatych rodziców mieli!

Chwila milczenia.

— Jak ja na pana się patrzę, panie doktór, to u mnie w głowie jest taka myśl: co by pan zrobił jakby bolszewicy tu przyszli? A? Pan by z pewnością wszystkich niemieckich policjantów nożyczkiem... po kawałeczku... co? A ja, widzi pan, człowiek spokojny jestem, nam pana teraz, swego wroga zaklętego, w rękach — i nic. Taka już moja natura. I wódkę z panem piję. No lu! Jeszcze po jednemu! Bez obrazy panie doktór! Nu, a co by pan tak zrobił jakby bolszewicy tu przyszli?

— Wcale nie życzę sobie przyjścia bolszewików — odpowiada dr Winter patrząc mu prosto w oczy. — Mało mi oni złego zrobili? Wcale nie życzę im zwycięstwa i...



S. Gliksmanowa: „Fekaliści w getcie łódzkim" (tempera)

— Komu pan życzy, panie doktór, jak nie bolszewikom? Niemcom może? A?

No, Niemcom nie Niemcom. Chciałbym, żeby Niemcy wygrali i żeby stworzyli tutaj niezależną Ukrainę.

— Ech, jaki z pana Ukrainiec! I tak od razu! A dawniej to pan Polakiem był, co?

— Wódki jeszcze poproszę — mówi dr Winter do właściciela.

— No, widzi pan, jaki, z pana morowy chłop, panie doktór! Pij, Mykitka! — trąca kolegę. — Pij, kiedy pan doktór stawia. Widzi pan, to jest prosty parobek od gnoju, a on się przed panem krępuje, chociaż mógłby pana zastrzelić tu, na miejscu, i nikt by mu krzywego słowa nie powiedział. Zmienili się czasy, panie doktór! I ja jestem cham, chocia mam cztery klasy gimnazjalne, a pan ma szkoły, uniwersytet. A ja dzisiaj jestem niemiecki policjant, deutscher Polizei, a pan służy przedemną na dwóch łapkach i wmawia mi pan, że pan chcę, żeby Niemcy wygrali i zrobili tu niezależną Ukrainę. A wszystko dlatego, że się pan boi. Jakbym chciał, mógłbym panu kazać tańcować albo śpiewać te swoje —motywy. No i co, naprawdę myśli pan, że tu będzie Ukraina?

— Tak myślę — zgadza się dr Winter.

— Ano! zdrowie wielkiej Ukrainy! Cyk! Jeszcze raz! Co? I wódka już się kończy? A pan miał nam przecież powiedzieć, skąd pan wychodził, co? — śmieje się dobrodusznie.

— Wódki, panie szefie, i zakąsek — mówi dr Winter.

— No, widzi pan, jaki pan szczery... Ledwo jedna wódka się kończy, już druga... Nu, a teraz zaśpiewamy: „Szcze ne wmerła Ukraina". Pan zaczyna, panie doktór! Co? Pan nie zna, jaka jest nasza pieśń narodowa? A mówi pan, że pan chce wielkiej Ukrainy? Nu, zaczynać, zaczynać...

Dr Winter fałszywym głosem intonuje hymn. Pijackie wrzaski budzą śpiące na podłodze dzieci, których czarne, przerażone oczy wyzierają spod pierzyn.

— Słysz, Mikolko — mówi milczący dotychczas Mykitka, spoglądając na złoty zegarek ręczny. — Już dochodzi czwarta... My mieli być tam, gdzie wiesz...

— Prawda! — Mikołko wstaje i opiera się ciężko o krzesło. — Nu, płacić! My ludzie honorowe! Za bezdurno nic nie chcemy! Ile tam się należy?

— 1830 złotych — podbiega właściciel z karteczką. — Nu, płacić, płacić, panie doktór. Ani grosza nie zostaniemy dłużni. U nas rabunku nie ma. Do zobaczenia, panie doktór! A wciąż pan jeszcze nie chce powiedzieć, skąd pan wychodził dziś wieczorem. Ha! Ha! Nu, wódki już nie trzeba.

Dr Winter wychodzi w ślad za policjantami na ulicę. Nie jest pijany: zbyt mocną ma głowę. Przelicza pieniądze: zostało mu 623 złotych — na tydzień życia, skromnie licząc. Przebiega myślą zdarzenia tej nocy. Szachy, skrytka, karabin i w końcu pijatyka z policjantami, to — jakże się tamten wyraził? — służenie na łapkach. Tfu! Obrzydliwość! Rozgląda się dookoła: już szarzeje.

Z ciemności wyłania się powoli perspektywa krzywych domków, ogołoconych kominów, zdobnych w żałobne sztandary wron. Śnieżna przestrzeń, pusta od środka, poryta tysiącem niewidzianych podkopów i lochów, rozbrzmiewa wciąż bezsennym szuraniem nóg. Czarne postacie krążą bezszelestnie, to zbliżając się w grupki, to znów się rozpraszając. Brak cierpliwości, by przystanąć. O czym mówić? Trzeba czekać do świtu, póki nie wzejdzie spoza cmentarnego muru słońce. Niepisana zasada głosi, że za dnia nic się nie zaczyna. Wtedy spać! Otoczyć się na parę godzin bezpieczeństwem pierzyn, zbudować senny schron wśród masywów pościeli. Gdyby tak umrzeć we śnie?

Wtem wszyscy, jak na komendę, zwracają się w tamtą stronę. Nad murem cmentarnym wschodzi powoli kask metalowy. To Niemcy objęli straż nad przejściami. Zaczęło się! Biała przestrzeń pokrywa się momentalnie siatką czarnych, oślepłych biegów. Podziemne lochy wsysają żarłocznie ludzi. Wielki, prowadzący nie wiadomo dokąd otwór kanałowy pochłania nieskończoną kolejkę. Ludzie stają w ogonku, aby zniknąć; wszystko to pod pobłażliwym okiem stalowych hełmów, które stojąc na posterunkach przypatrują się, nie przeszkadzają, milczą. Gra się jeszcze nie rozpoczęła. Obie strony ignorując się nawzajem czynią dopiero przygotowania. Z doświadczeń poprzednich akcyj wiadomo, że reguły zabawy są za każdym razem odmienne. Trzeba je odkrywać wciąż na nowo. Kogo oszczędzą tym razem? Starych czy młodych? Kobiety czy mężczyzn? Skąd wezmą? Z Rady czy z domów? Trzeba ryzykować w tej grze, gdzie zasadą jest nieprzewidzialność, a stawką — życie.

Nagle — nie wiadomo skąd, z poszeptów, z pogwarek, z rzuconych w przelocie słów — wyłania się reguła dzisiejszej zabawy. Jest nią praca fizyczna. Robotnicy będą dzisiaj szanowani i nietykalni. Nikt nie wie, jak powstał ten podział. Może przynieśli go Niemcy. Może został im narzucony, niezdecydowanym jeszcze, przez same ofiary, które dobrowolnie rozpadły się na dwa obozy. Jakaś podstawa wyboru musi przecież istnieć. Więc na dzisiaj ta...

I oto zebrani w oka mgnieniu w gmachu Rady urzędnicy, którzy podczas poprzednich, na innej zasadzie opartych, akcyj, pochyleni nad księgami, do tego stopnia zdawali się zajęci sprawozdaniem zeszłorocznych bilansów, że nie zauważali nawet wchodzących esesowskich patroli, dzisiaj, porzuciwszy wyciągi i skontra, rozbiegają się pośpiesznie po salach w poszukiwaniu instrumentów. Jeden wióruje znalezionym w magazynie heblem nieposzlakowawanie gładki stół, inny wszedłszy na krzesło obłupuje kit z okien, by je po chwili na nowo zalepić, ów wreszcie, wyłamawszy klamkę ze drzwi, zabiera się natychmiast do jej przymocowania.

Przybyły nieco później dr Winter zdobył już tylko jako jedyne narzędzie pracy fizycznej starą miotłę wierzbową, pleśniejącą cicho w kącie. Naśladując swych zaaferowanych kolegów zabrał się ze zwykłą starannością do wymiatania jednej z pustych sal, płosząc śpiące odwiecznym snem po zakamarkach pajęczyny.

Młody gołowąs esesowski wszedłszy do sali, gdzie dr Winter oddawał się swemu zajęciu, przystanął na chwilę zdumiony — w rozterce między posłuszeństwem wobec obowiązującej już teraz i jego zasady, a oburzeniem wobec tak bezczelnego jej nadużycia.

— Was Machst du denn hier? *) — zapytał i jakby sam nie mogąc się nadziwić własnym słowom urwał z półotwartymi ustami.

Ich fege den Fussboden**) — brzmiała równie oczywista jak niepotrzebna odpowiedź.

— Ja... aber... esesowiec był wyraźnie w kłopocie, czy zamiatanie czystej zupełnie podłogi można uważać za pracę. Wreszcie wściekłość z powodu nieznanego mu dotąd uczucia rozterki, narastając, wyładowała się w niespodziewanym dla niego samego wybuchu:

— Komm!

Dr Winter postawił miotłę w kącie i poszedł wzdłuż korytarza z esesowcem, który wciąż jeszcze walczył ze sobą. Właściwie sprawa była niejasna. Ostatecznie, zamiatanie podłogi... Korzystając z tych duchowych powikłań dr Winter, połączony z nim ową więzią intuicyjną, jaka rodzi się między zwierzyną a myśliwym, oddalił się spacerowym krokiem ku pierwszym przygodnym drzwiom — pośpiech byłby wywołał chęć, a może i przymus pogoni — od esesowca, zadowolonego być może z wyzbycia się jedynego, jaki go kiedykolwiek trapił, moralnego problemu.

*) Cóż ty robisz?

**) Podłogę zamiatam.





Z. Tołkaczew: „Kaleka"

Drzwi otwierały się na schody prowadzące w dół, do kuchni i kotłowni. Zapaliwszy papierosa dr Winter schodził zwolna po stopniach. Nie odczuwał ulgi ani radości. Zbyt zaskakujące były te wypadki, aby dawały czas na doznanie czegokolwiek prócz komizmu przeżytej przed chwilą sytuacji. Wszystko rozpłynęło się w wewnętrznym wybuchu jadowitego śmiechu...

W kuchni, dokąd zaszedł w poszukiwaniu zajęcia, wrzała praca. Wśród kłębów pary uwijały się kobiety gotujące niepotrzebną nikomu zupę. I — jak zawsze w ustroju kapitalistycznym, tak i tutaj — okazał się nadmiar rąk roboczych. W kotłowni, przy pompie pracowało już dwóch ludzi — z zapałem tym godniejszym podziwu, że właściwie pompa była zepsuta i wodę do kotłów kuchennych trzeba było i tak nosić wiadrami. Na metalowej rękojeści spoczywało czworo dłoni zataczających równomierne kręgi. Dwie z nich należały do Maurycego, który — chcąc w pełni zrealizować ideał robotnika — mimo mrozu zrzucił marynarkę. Na uchwycie pompy zostało jeszcze niewielkie miejsce — dla jednej dłoni. Dr Winter ujął je lewą ręką, trzeci i niepotrzebny. Obok spocona dłoń Maurycego, posuwająca się ku brzegowi i niechętny głos:

— Przeszkadzasz.

W sąsiedniej hali dudnią już po kamiennej posadzce podkute kroki. Teraz dopiero, gdy ma już za sobą poprzednie doświadczenia, wstrząsa nim groza. Czuje, jak poprzez szczękające zęby zaczyna szeptać modlitwę, upokarzając się nie tylko wobec tamtych dwóch, ale i wobec nieistniejącego Boga, któremu życzy w tej chwili z całej duszy istnienia: Boże, uchyl ten kielich od moich warg, Boże!". I te wahania go może zgubią. Bo kiedy z ust granatowych policjantów pada stereotypowe pytanie:

— Co robicie tu?

i odpowiedź z ust Maurycego:

— Pompujemy wodę

i znów śmiercionośne pytanie:

— A ten trzeci?

zwalnia rękę z uchwytu. Lub może zdaje mu się, że ją zwalnia, trzyma się bowiem jeszcze dwoma palcami, kiedy pada odpowiedź Maurycego.

— Ten się dołączył —

by puścić ostatecznie dopiero w chwili, gdy słyszy słowa:

— Z nami!

Nie wie, nie wie, ale chce wierzyć — idąc teraz na miejsce stracenia — że puścił ją dobrowolnie.

Środkiem drogi suną w kapeli dzwonków sanie Ślizgawica, że aż ha! Na wieś po zakupy! Do miasta na wódkę! miga różowa twarzyczka w obramowaniu z futer. Z dwukonnej bryczki wychylają się dwie ociężałe głowy, kiwające się symetrycznie w dwie strony w takt ruchu zadów końskich. Lecz oto sanie, mknące dotychczas wydeptanym szlakiem, skręcają w zaspy, grzęzną. Od strony miasta nadciągają, pęczniejąc w biegu, samochody, ciężkie, ładowne. Na deskach platformy żandarmi w kaskach z opuszczonymi rzemieniami.

— Leżeć tam na dole!

Głowa, wyłonionana na chwilę spoza burty, znika pod ciosem kolby. Samochody przeszły. Sanki ruszają.

Z kominów wsi Radłowice unoszą się dymy prosto w niebo. Udeptane ścieżki wiodą z obejścia na obejście. Skrzypią furtki.

— Gosposiu! Gosposiu! Jajeczek parę pożyczcie na kołacze!

— A macie ta głowę do gospodarowania, kiedy takie się robi?

— A bo to moja sprawa, gosposiu kochana? Wola Boża! Komu żyć, komu gnić.

Szczere pole. Wzgórki, dołki, wydmy, obrywy śnieżne. Nartami by śmignąć, aż wicher by zaświstał. Prawda, że w środku jest jama 80 na 60 m, a kupy świeżo wyrzuconej ziemi plamią harmonijny krajobraz. Tu skręcają samochody.

Jest tam i nasz bohater. Czy poznajecie go jeszcze? Odwróćcie raczej spojrzenie, aby nie dojrzeć rumieńca, który pali mu twarz. Lecz może ten wstyd właśnie w tej wszechupodobniającej chwili odróżnia go od ośmiuset nagich, dygocących postaci.

Patrzy:

Z kominów dymy idą — prosto w niebo.

Volsdeutsche przetrząsają kieszenie za złotem.

I kiedy gestapowiec z empi w dłoni zwraca się do tłumu:

No, dzieci, kto na ochotnika?

on występuje pierwszy.

I to jest jego odwet. Nie odbierajmy ostatniej pociechy umierającym.

PODCZAS JEDNEJ AKCJI...

(Dokończenie ze str. 8-ej)

roku hauptmana i uderzeniem biczów i kolb przywracał ludzi do „przytomności". Oczy wybite bezlitosnym uderzeniem, głowy rozcięte bagnetem, szturchańce i kopniaki, laski złamane na głowach nieszczęśliwców — to było przedpiekle, golgota umęczonych za życia. Nikt nie mógł się wydostać z tego kręgu zaczarowanego. ,

Kto policzy krwawe łzy opuszczonych przez nagłe wydarcie najbliższych, kto policzy boleść matki, ojca, brata i siostry.

„Links" — na lewo od Degenhardta była droga do życia, do „Metalurgii". Była to opuszczona i nieczynna fabryka, gdzie lokowano Żydów, uznanych przez Degenhardta za „nützliche" — potrzebni. Chwilowy postój, skąd zresztą później również robiono dalsze selekcje.

Hauptmann Degenhardt był wyraźnie dziś nie w humorze. Czarne, roziskrzone oczy ciskały błyskawice. Gnał — prędzej, prędzej. Jakby opętany przez złe duchy, wszędzie go było pełno. Oczy obejmowały całość wydarzeń i wnikały w najdrobniejsze szczegóły. Nic nie uchodziło jego uwagi. Ordnung machen! Ustawić ludzi w porządku!

Gęsiego — oto tak — jeden za drugim. Każdy ma trzymać w ręku swoje dokumenty. Cisza była śmiertelna. Nie słychać słowa skargi, ani płaczu. Lud żydowski szedł na śmierć spokojnie i majestatycznie. Tłum płynął. Odpływał dwiema falami: „Links" — Rechts". Życie i Śmierć.

...Matka przeszła pierwsza. Blada twarz i oczy rozszalałe trwogą. Boi się i widzi swego męża, idzie za nim krok w krok, w zaciśniętej dłoni trzyma dokumenty, z tyłu za nimi ich chłopczyk, 11-letni synek. Dziecko ma również plecak na sobie. Matka włożyła mu długie spodnie, poważnie i staro teraz wygląda. Ale nie oszukają oczu Degenhardta. Zauważył: halt! Wer ist der Kleine? Wo sind seine Eltern? Nikt się nie odzywa. Więc daje znak. Popychają dziecko — „Rechts". Nagle mały zrozumiał, że go oddzielają od ojca i matki, że go wysyłają gdzieś w nieznane i że to, o czym mówiono tyle w ostatnich dniach jest realne; wśród ciszy rozlega się jego nieludzki krzyk, pełen niewysłowionej trwogi: „Tatusiu, tatusiu, gdzie jesteś?" Jeszcze nie przebrzmiał zupełnie ,gdy ojciec wraca z szeregu idących „links" i bierze synka za rękę... Na sekundę odwraca się, oczy szukają żony, ale widzi już tylko z daleka plecak jej, ona oddala się — nie odwraca się — idzie ku grupie życia...

Szpital i ochronka mieściły się w jednym budynku i początkowo było polecenie, aby nikt nie wychodził. Mieli być na razie zaoszczędzeni. Ale leutnant Rohn, który liczył ludzi wysyłanych według zapotrzebowania do wagonów, dał znak: mało! I oto hauptman skinął laską. Pobiegło kilku: „Alle raus! Schnell — sofort! Chorzy, którzy mogą chodzić, ubierać się!"

Zajechały złowrogie wozy pod obłożnie chorych i starców. Słychać krótkie, suche strzały. Ot tu, tam. Piekło się rozpętało. Lekarze, pielęgniarki, chorzy, zdrowi, szli jak ogłuszeni. Przeciągali przed hauptmanem Degenhardtem, a on stał jak bóg zła i nienawiści. I rozdzielał życie i śmierć — a w tej chwili już tylko śmierć.

Małe okruszyny ludzkie w sierocych ubrankach, dziewczynki, chłopcy — dzieci od 2-ch do 8-miu lat, cicho i spokojnie dały się prowadzić. Siostry opiekunki powsadzały je na platformy: zapełniły 3—4 wozy. Z daleka wyglądało to jakby grzyby obsiadły platformy... Wozy ruszyły w stronę wagonów.

Akcja właściwie była już skończona. Była godzina popołudniowa. Wymarłe ulice, puste domy. Cisza dookoła i kamienny spokój. Tu kapelusz jakiś leży, tam plecak wypełniony, rzucony w ostatniej chwili, bo gniótł straszliwie — a „oni" gonili... Papiery, fotografie, dokumenty, a tam znów jakiś kształt ludzki — mała kałuża krwi, obok laska, worek...

Tylko po rogach ulic stały warty: „Czarne Mundury" SS, Łotysze. Ulicą Warszawską szedł żandarm. Wysoki, opalony, zdrowy, czyściutki. Z nim razem sierżant — polski policjant. Wtem zatrzymali się. Coś usłyszeli. Jakby płacz dziecka — takie słabe, ledwie uchwytne — czy też postękiwania... Wstrzymali oddech. Ich wprawne uszy chwytały dookoła każdy szmer. Otworzyli usta ,by lepiej słyszeć. Nagle żandarm skoczył w sień domu. Postękiwania stawały się coraz uchwytniejsze. Weszli do mieszkania. W łóżku leżała kobieta. Siwe kosmyki włosów w nieładzie rozsypane, oczy utkwiła we wchodzących. Oczy bitego psa, oczy pełne przerażenia i lęku śmiertelnego... Z ust jej wychodziły jakieś nieokreślone dźwięki. Sparaliżowana. Opuszczona przez swoich najbliższych, od kilku dni cierpiała głód i pragnienie.

Żandarm pokiwał głową — wyjął rewolwer. Nagle zmienił zamiar. Po co brudzić pościel i bieliznę? Padł rozkaz: rozebrać i ułożyć w sieni. Trzy strzały padły. Szybkie, silne, obojętne...

J. Pytel

Isak Samokovlija

Tłum. z serbsko-chorwackiego: **Halina Kalita**

Żydóweczka znad Driny




Z. Tołkaczew: „Ostrzyżone“

...Tak, było to w lecie o zmierzchu. A taki wieczór letni to cud prawdziwy. Wtedy wyczuwa się zapach skoszonego siana lub tchnienie wody, z której spokojnej toni zrywa się od czasu do czasu jakaś rybka. Lecz są ludzie, dla których są drogie inne wonie, inne tchnienia. Nie zapominajcie, że wieczór ten pysznił się krasą swą niczem paw, zapadając w świąteczną noc drugiego roku jasenowackiego świętowania.

Tak, tego wieczoru było ich święto. Nieopodal baraku, w którym stałem przy motorach, rozsiadła się gromada tych zbójów, dla których symbolem wszelkich ambicji ludzkich był granat, wybuchający płomieniem, niczem zwiastun spustoszeń, i litera „U“ mogąca oznaczać tylko jedno — „Zabijajcie!“.

Siedmiu, a może ośmiu zbirów rozparło się przy stole. Stół był prostokątny, długi, nakryty białym, poplamionym obrusem. Ale samych plam nie było widać wyraźnie. Pozostały tylko na nim duże, różowawe ślady — dotknięć ręki lub palców na bieli. Kto powiada, że ręce mieli zbroczone krwią? Nie, wszak skrwawionymi rękami nie jedzą najgorsi zbrodniarze, ani zbóje. Ci zaś jedli i pili. Zajadali biały chleb z najpiękniejszej, naj czystszej pszenicy, choć głód wszędzie dokoła wyciągał swe długie, przeraźliwie chude ramiona i szyję, choć zewsząd rozlegało się słabe i jakby zawisłe w powietrzu westchnienie: „Chleba!“

Tak, żarli biały chleb i pieczeń maczając każdy kawałeczek w pożółkłym tłuszczu spod mięsa. Zadowoleni z siebie i w dobrym humorze mlaskali językiem, przepłukując gardło białym winem, w którym nurzał się promień słoneczny, rumiany i pogodny, jak gdyby przemknąwszy przez purpurę wieczornego nieba, chociaż tego wieczoru niebo było seledynowo - złociste, bezchmurne.

Przede mną huczały motory, kółka obracały się szybko, że nie sposób było nadążyć okiem za ich poprzeczkami, pasy transmisyjne śmigały niczym żywe istoty, pędzące w bezpowrotną dal.

Rękę trzymałem na małej korbce, wzrok mając zwrócony na długą, drgającą wskazówkę zegara. Widziałem, jak posuwała się naprzód, widziałem, jak rosły siły mych motorów. Rosną i dziczeją. O, tej nocy będzie obóz iluminowany jak przystało na wieczór świąteczny. Dziś bowiem wierni zanosili modły do Boga o długi i szczęsny żywot dla swego herszta.

Zlekka drżała mi ręka, lecz mimo to przesunąłem korbkę na prawo. Niech będzie jeszcze bardziej uroczyście! — powiedziałem sobie w duchu, spoglądając przez okno.

Ożywienie za stołem wzrastało: rozmowy, śmiechy, chichoty. Jakiś głos gruby i zachrypnięty powtarzał od czasu do czasu z pijackim uporem:

— Za dom!

— Gotowi! — gromko i krótko podchwytywała reszta. Dzwoniły szklanki, talerze, widelce i noże, a ogromne kawałki chleba i mięsa przewalały się z jednej strony ust na drugą tak, że zdawało się, że skóra na policzkach osłania jakieś zropiałe abscesy. Tłuszcz kapał po wygolonych brodach, rozlegały się pieśni. Zabawa dochodziła do punktu kulminacyjnego.

Czy wiecie, co się potem stało? Nic. Nic nadzwyczajnego tu się nie działo w Jasenowcu.

A jednak! Coś się działo w tym piekle na ziemi. Działy się niezliczone okropności i zbrodnie. Nieustannie, dniem i nocą, co krok. Wydaje mi się, że do innych, wielkich wydarzeń warto dorzucić i to wspomnienie.

Zbrodniarzom usługiwała Rika.

Rika? Była to czternastoletnia dziewczynka. Istota ludzka. Człowiek, jak wszyscy inni ludzie na świecie. Dziecko jeszcze, jak tyle innych dzieci, których pierwszym i najdroższym dla każdego wyrazem było słowo: mama! Była to dusza utkana z nerwów, serce jak każde inne splecione z cieniutkich, jedwabistych, nieomal rwących się nici. Taką była... taką była Rika, Żydóweczka z małej mieściny znad Driny.

Była niebywale piękna. Miła i pełna uroku niczem z pąku rozwijajacy się kwiat na wiosnę. W obozie wszyscy ją znali. I wszyscy ją kochali. A niejeden dla niej odmawiał sobie jedynego kęsa.

— Riko! — pieszczotliwie zwracali się do niej wieźniowie.

— Riko! — mawiała stroskana matka, nasłuchujac w tym piekle bardziej jeszcze piekielnych możliwości.

Tę to dziewczynkę, tę Rikę, Żydóweczkę znad Driny, wybrali sobie zbrodniarze. Przynosiła i odnosiła misy, talerze, szklanki, butelki, chleb, sól, mięso, sałatę, strucle i ciasta. Pozwolili jej wspaniałomyślnie, by była kelnerką podczas ich uczt. Decyzja ta zapadła tego samego dnia, kiedy matkę jej i młodszego braciszka uprowadzili na spacer po Sawie.

Kawalerska to była jazda! Czytywaliście pewnie, jak ślizga się gondola po lustrzanej toni weneckiej. Tu było jednak nieco inaczej.

Znasz-li pieśni i arie wiatrem niesione, czepiające się jedwabnych żagli? Tu, na Sawie i melodie były nieco odmienne.

Słuchała mała Rika, Żydóweczka znad Driny, wszystkich tych pieśni, co gnały niczem dzikie konie po równinach nadsawskich. Wsłuchiwała się w nie i czekała. Ale ani matka, ani brat nie wracał. Tych dwoje bowiem wyruszyło po mętnych, spienionych falach Sawy na bezdroże. W nieskończoną wędrówkę pewnie hen, do tajemnych głębin Czarnego Morza. Ze związanymi na plecach rękoma i wyprutymi wnętrznościami.

Ręce związano im drutem, dla pewności — kolczastym.

Cóż robiła Rika? Cóż byście zrobili na jej miejscu? Stała i czekała. Wiele czasu upłynęło, zanim zaczął nią wstrząsać szloch. Rwała na sobie łachmany na strzępy, uderzała pięściami po głowie, choć nie widziała kłębiących się jelit w wartkim nurcie rzeki.

Może zmęczona gorzkim płaczem westchnęła do Boga, wzywając jego pomocy, a może nawet go przeklinała. Któż to odgadnie. Któż był w stanie zajrzeć na dno duszy tych ludzi obozowych?

Ale jedno jest pewne. Zamiast Pana pojawił się bóg Jasenowca.

Czarny, długi cień padł na dziewczynkę:

— Od dzisiaj jam dla ciebie wszystkim: i ojcem i matką i bratem i siostrą. Od dziś — na wieki wieków. Amen! A teraz chodź tu, podaj mi rękę!

Dziewczynka podniosła głowę. Patrzyła i, ile się dało dostrzec przez mgłę zasnuwającą oczy, zobaczyła znaną ludzką kreaturę. Wzdrygnęła się.

— Nie bój się! — Ciężka ręka ścisnęła jej dziecinne paluszki.

— Dajcie jej jeść i pić. Przyda nam się. Patrzcie, jakie błyszczące ma oczy i jak po obu stronach szyi pulsują dwa tętna.

Rika długo wpatrywała się w biały chleb i talerz fasoli, na dnie którego leżał kawałek gotowanego mięsa. Wpatrywała się w skrawek żółtego tłuszczu i przychodziła jej ochota rzucić talerzem w tę gębę, a potym uciec.

Ze sto razy chyba widziała siebie, jak porywa ten twardy, biały krążek leżący spokojnie przed nią i jak nim rzuca w pociemniałe policzki zbrodniarza. Patrzyła na siebie, jak nabiera rozmachu, aby całą siłę przenieść nań i zmiażdżyć nim wstrętną, ohydną twarz, wpatrującą się w nią wybałuszonymi oczyma. Widziała siebie, jak wyrywa się z tłumu i biegnąc, krzyczy: „Tak, to ja go zabiłam, za-bi-łam!“ — i jak, niczem na skrzydłach wichru, pędzi nad barakami, jak wspina się na mur, jak skacze i przesadza przeszkody i ucieka, ucieka hen, daleko. Ale dokąd? Dokąd? Do ludzi, co przy spotkaniu witają się: „Dzień dobry!“ i „Witaj!“.

Po sto razy z tych gorączkowych wędrówek wracała na jawę i zmęczona, wyczerpana, zaczynała wpatrywać się nieprzytomnie w solniczkę, jeść strawę łyżkę za łyżką. Wkrótce do jej świadomości dotarł przedziwny zapach chleba pszennego. Nachyla twarz nad pulchnymi, białymi kromkami o błyszczącej, chrupiącej skórce, wciąga w płuca ten upajający zapach i kładzie w usta kawałki ośródki i skórki, je łapczywie, rozgląda się w prawo, w lewo i tylko tego brakuje, aby zawarczała niczem wygłodzony psiak. Nagle chleb stanął jej w gardle, coś ją ścisnęło za serce. Rika wypuściła łyżkę z ręki i znowu uderzyła w płacz.

Gorzej było, gdy w kilka dni później wsypano jej do podołka pełno gruszek. Brała je do ręki, długo trzymała je w dłoniach, wchłaniała ich zapach, rozkoszowała się nimi.

Przedziwny jest zapach owoców. Przenosi nas bowiem w krainę wspomnień.

Tam w Drinie przegląda się wieś. Czernią się dachy domów. Wije się nad nimi błękitna smuga dymu. Kiedy to było? Przed rokiem, lub dwoma laty? Albo ongiś, w zamierzchłych czasach? A może i nigdy nie było? Nie. To było jakby jeszcze wczoraj. Rika dobrze pamięta. Ot, przed domem rozpościera się sad. W głębi rozsiadła się grusza stara, niczym namiot rozpięty.

Z tego drzewa zrywała Rika, Żydóweczka znad Driny, drobnymi, dziecinnymi rączkami żółte, dojrzałe owoce. Jagnięta pasły się przy niej na trawie, ona zaś wbijała zęby w soczyste, pachnące owoce i jadła, jadła, ile tylko dusza zapragnie.

Dnia tego w susach skakała przez krzaki wraz z dziećmi wiejskimi, które odkrywały przed nią przeróżne dziwy w młodym gaju dębowym.

— Tam, na dzikiej jabłoni jest gniazdko. Chodź Riko, popatrz!!!

— Gniazdko? A co tam jest?

— Nic. Teraz jest puste, ale były pisklęta.

— Pisklęta? Czemużeście ich nie wybrali?

— Nie da mama.

— Nie da? A czemu?

— Niech sobie żyją na wolności! — powiada.

— Na wolności? Cóż to takiego?

— A no, jakby ci to powiedzieć, niech sobie latają po lesie, po niebie, jak my biegamy po polach, górach i dolinach niczem ptaki.

Tak mawiały dzieci wsiowe. Zamyśliła się. Niech latają... niech biegają... po lesie, po niebie, po gajach, górach i dolinach... To wolność.

Biegła z Danilą, Nedą, Danicą i Mirianą. Biegała po ścieżkach, po łąkach, przesadzała krzaki, płoty, przeskakiwała potoki cała rumiana, zgrzana, z błyszczącymi oczyma, przystawała i to do Miriany, to do Danila zwracając się, pytała:

— Czy to wolność? Czy to jest wolność?

Dzieci wiejskie patrzyły na nią i domyślając się, co chciała powiedzieć, potakująco potrząsały głową i znowu puszczały się biegiem za nią.

W drodze powrotnej do miasta Rika zbiegła pędem z góry od wsi aż do samego potoku jak szalona, a nawoływania matki próżno docierały do jej uszu. Dźwięczała w nich nuta cudownych doznań: gniazdko... pisklęta.. niebo... przestrzeń... dal... wolność! Wolność!

Kiedy to było? Kiedy? Plączą się myśli w główce Riki. Cała kręci się w kółko niczem bąk, kołysząc się to w jedną, to drugą stronę. Przed rokiem? Przed dwoma, a może przed dziesięciu laty? Wczoraj? Dziś? Jutro?

Przystaje, by rozpoznać, gdzie jest.

Brutalna rzeczywistość niczem wściekła, rozpętana fala uderza w nią: Jasenowac, baraki, druty kolczaste, bagnety, rewolwery, karabiny maszynowe, maczugi, zabójstwa, rzezie, głód, tortury, jęki, ludzie na wpół martwi, szkielety, żywe trupy, westchnienia, wrzaski, nieprzytomne spojrzenia i jakieś bezszelestne cienie ludzi, co niczem upiory wałęsają się niedosłyszalnie, bezsilnie, potykają się, wyciągają przeraźliwie chude, wydłużone ramiona o palcach skurczonych i powykręcanych, niby jakieś cudaczne korzenie żądne ziemi, by wpić się w nią i wyssać z niej ostatnie soki żywotne.

Rozgląda się Rika dokoła. Chce sprawdzić, czy to wszystko jest snem, brzydkim, dręczącym snem i pierwsze spojrzenie jej pada na zbója w czarnym ubiorze, wysokich butach, w pasie na biodrach z rzemieniem przerzuconym przez ramię, z groźnym parabellum zwisającym u boku i granatami przy pasie.

Ścierpła i powoli dla niepoznaki — bo biada, gdyby spostrzegł! — zwróciła oczy w inną stronę. O, gdyby mogła teraz plunąć raz, dwa, trzy razy! O, gdyby mogła zawołać Danilo, Miriano, chwyćcie mnie za ręce, uprowadźcie mnie stąd! Zabierzcie mnie, biegnijmy, lećmy! Zaklinam was na ptaki niebieskie!

Krzyk ten rozlega się hen, daleko po okolicy. Ona go słyszy i wsłuchuje się w niego, choć wie, że pozostał w niej zduszony.

Od dnia tego marzenia Riki snuły się dookoła wsi, gruszy, gniazda i piskląt. Śniła na jawie. Spostrzegłszy gdziekolwiek bądź ptaka, powoli zakradała się do niego, by mu się lepiej przyjrzeć, rozpoznać, czy to nie jest przypadkiem ptak z tamtego drzewa. — Tak, to ptak z tego gniazdka (chociaż go wtedy nie widziała) — mawiała sama do siebie, — o, jakie ma błyszczące oczki, jak wesoło szczebiocze, patrz, jak się czepia okapu, jak kuje dziobkiem, jak z miejsca na miejsce zlatuje.

Skrzydła! Wolności trzeba skrzydeł! — błysnęła jej myśl. Wydała się jej czymś wielkim, niezwykłym, czymś co ma przynieść ratunek jej, wszystkim tym nieszczęśnikom, co tu w mękach okrutnych umierają sto razy na dzień, bo każdy umiera za każdym razem z każdą ofiarą Jasenowca, każdy skręca się w skurczach swych współtowarzyszy niedoli, bo każdego czeka to samo — dziś, jutro, pojutrze.

Nie, nie. Czekajcie, nie umrzecie, nie będą was żywcem wrzucać w jamy, nie będą was zarzynać niczem kurczęta, nie będą was męczyć... nie pozwolę.. ja, Rika, Żydóweczka znad Driny. Skrzydła mi urosną! Skrzydła i mnie i wam, duże, mocarne i my wszyscy, wszyscy aż do ostatniego wyfruniemy jednego dnia, w nocy, gdy nie będzie poświaty księżyca, cicho odlecimy z tych baraków, z tego miejsca kaźni, z tego piekła. I lecieć będziemy długo, noc całą, śmigać będziemy niczem jaskółki i o świtaniu, gdy słońce pojawi się na widnokręgu opadniemy tam, nad Driną, tam, gdzie żyje Danilo z Mirianą, hen, gdzie wolność jest... wolność...

Może takie myśli snują się po główce tej dziewczynki znad Driny. Lecz wypadki dalej się toczą.

— Jak śliczna!

— Wygląda jak łania. Wydobrzała u nas.

— Słodka jak miód!

— Co za spojrzenie!

— W istocie, piękne ma oczy!

— Tak, tak. Piękne są te oczy, jakgdyby spływały na nie strumienie krwi rumianej, co dymi się jeszcze z gorącości!

Taka to szła pogwarka wśród zbirów o Rice, Żydóweczce znad Driny.

A jak gawędziły długie, niekończące się baraki o niej?

Każdy z nas przypatrywał się temu miłemu dziecku od pierwszej chwili, gdy znalazła się na dnie tej nędzy. Od dnia adoptacji przez zbirów dłużej i uważniej zaglądano w jej oczy. Lecz pozostały one czyste, jak łza, żeś do dna duszy mógł zajrzeć.

Jasne, nie zbeszcześcili jej. Nie ulegało żadnej wątpliwości. Ale im bardziej to było oczywiste, tym dziwniejsze.

Natrętna myśl nie dawała nam spokoju: czemuż to na nią tak chuchają?

Było to wprost nie do wiary. Czyżby i na nich oddziaływało to coś cudownego i pięknego, co biło od tej dziewczynki? Czyżby było coś ludzkiego w tych zbrodniarzach?

Tego wieczoru świątecznego, o którym mowa, Rika biegała między stołem zastawionym w sadzie a kuchnią. Była wesoła. Nigdy jej takiej nie widzieli.

Cóż to? Po cóż ta zmarszczka na czole? Wszak męczennicy ci też mieli prawo do radości. Toteż cieszyli się. Trzeba wam wiedzieć, że radości są rozsiane wszędzie po ziemi niczem drobne kamyczki. Zawsze były i wszędzie, więc i w tych latach, a więc nawet i tu. Trzeba je tylko umieć poszukać. Ci więźniowie zaś w piekle jasenowackim umieli je szukać i znajdować. Żebyście widzieli, ile radości zapalało się w ich oczach na widok obgryzionej kości lub zgniłego ziemniaka. Jakaż błogość rozlałaby się po żółtej, wycieńczonej twarzy na wieść, że komuś udało się rzucić pod pociąg. Z jakimż entuzjazmem biegli, by rzucić się na szyny niczem w ramiona matczyne. W zapale wielkim zapominali, jak się trzeba ułożyć, by żelazny kolos nie odrąbał nóg pozostawiając resztę na pastwę straszliwych męczarni?

Tak, moi drodzy. Mieszkańcy Jasenowca miewali swe radości. Toteż i nie dziw, że Rika tak bardzo cieszyła się dnia tego.

Zresztą miała wiele powodów ku radości.

Podczas nakrywania stołu białym obrusem w sadzie kreatura niemiecka rzekła:

— No, zobaczymy, jak się dzisiaj spiszesz. Bo dziś jest wielka uroczystość. Widzisz, daliśmy ci biały fartuszek, dostaniesz też i ciastek, ile tylko zechcesz. I sprawimy ci jeszcze inną radość. Słuchaj!

Rika wytęża słuch. Po głosie poznaje, że istotnie zamierza powiedzieć jej coś miłego. Nie omyliła się. Podeszła bliżej, a kreatura ciągnie dalej, wyliczając na rozstawionych palcach, akcentując każde słowo:

— Damy ci zupy, mięsiwa, pierogów, ciasteczek i owoców przeróżnych. Będziesz mogła podzielić się tym z kimkolwiek zechcesz z obozu.

Rika słuchała patrząc bez przerwy w oczy zbira. Czy przypadkiem nie kłamie? Bo oni są do wszystkiego zdolni. Ale wytrzymał spojrzenie jej oczu i łagodnie, nieomal pieszczotliwie ciągnął:

— I każdemu będzie wolno wziąć od ciebie i zjeść. Słyszysz?

Rika stała jak wryta. Jakieś ciepłe prądy przechodziły po niej, a ostatnie słowa zamieniły się w najcudowniejszą pieśń:

„Każdemu wolno będzie wziąć od ciebie... Słyszysz, Riko?...“

O, słyszała! Jakżeż by nie słyszała! Słyszała i rozumiała. Od razu wyobraziła sobie duży garnek stojący na blasze, z którego dymił rosół kurzy. Nawet poczuła zapach rozgotowanej wątróbki, a poprzez gęstą, pachnącą parę, ujrzała jakiegoś starca, któremu zabrano okulary. Na jej nawoływania i widok podsuniętego talerza ocknie się, jakżeż zaczną mu się nozdrza rozdymać podrażnione zapachem rosołu. Pewnie zdawać mu się będzie, że śni, ale ona mu powie: „To ja jestem dziaduniu, podaj mi rękę. Ot, zaczerpnij kilka łyżek. To cię wzmocni. Dobry jest, gorący i niezbyt tłusty. O, tu jest łyżka, tu“.

Tak będzie mówić do niego, a dłoń starca zrobi ruch, by wziąć zawisłą w powietrzu łyżkę, podczas gdy broda będzie mu drżeć ze wzruszenia.

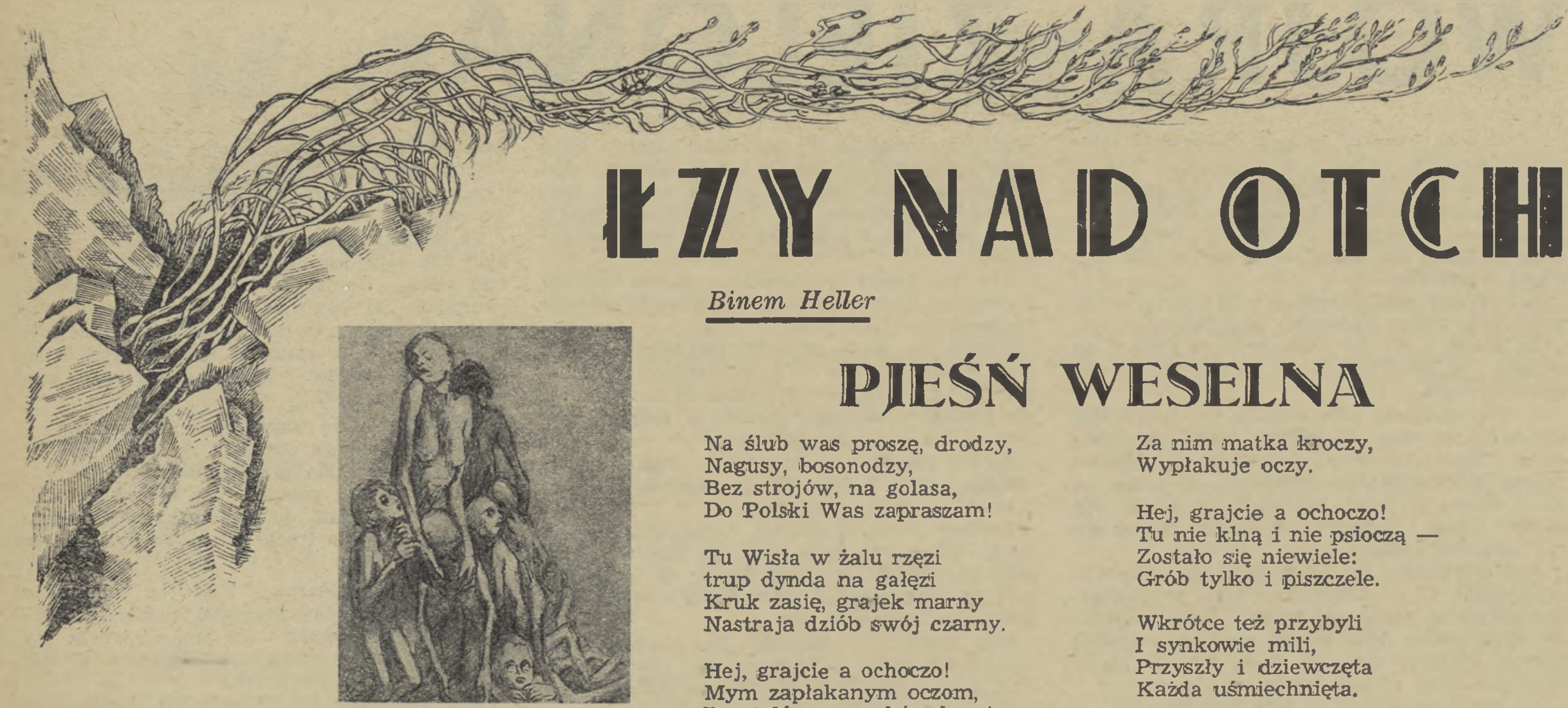
Chwilami napływały jej łzy do oczu, jak to będzie pięknie, gdy roznosić będzie talerze od baraku do baraku.

Powiadam wam, dnia tego Rika usługiwała jak nigdy dotąd. Biegała tam i z powrotem, cała zamieniona w ruch i radość. Policzki jej rumieniły się niczem dwa jabłuszka, oczy błyszczały niczem dwa żywe ogniki. Idzie, podskakuje, dokoła ust błądzi uśmiech szczęścia, co pod białym fartuchem rozpiera jej młode, dziewczęce serduszko, bo — po tej biesiadzie inkwizytorów, siepaczy i zbójów — przyjdzie kolej na jej ucztę, ucztę męczenników. Ona nieść będzie misę oburącz, ostrożnie, by ani kropli nie uronić, szukać będzie najbiedniejszych, najnieszczęśliwszych, da im po kilka łyżek tego wspaniałego, pachnącego rosołu, innym po kawałku pieczeni lub słodkiego albo słonego pieroga, a komuś innemu wetknie do ręki gruszkę, brzoskwinię, lub jabłko. Ze wszystkich stron będą wpatrywać się w nią oczy pełne wdzięczności.

Tak marzyło się tego wieczoru Rice, Żydóweczce znad Driny, gdy tak biegała do kuchni i z kuchni, przynosząc talerze ze stosami białych kromek chleba, garnki pełne rosołu, rondle pieczeni, salaterki jarzyn i sałaty, tace pełne pierogów i ciastek, kosze — wszelakich owoców.

Przynosiła butelki chłodzonego piwa i śliwowicy i flaszki, w których złocił się koniak, roznosiła wino w dzbanach. A gdy wyszła z

(Dalszy ciąg na str. 21-ej)



Z. Tołkaczew: „Bez liku“

ŁZY NAD OTCHŁANIĄ...

Abraham Zak

Nalewki

Ulica jest pusta i głucha,
Martwotą przeraża Cię bruk.
Krew Żydów i łzy zmyły ślady
Zmęczonych, wlokących się nóg.

Spoglądam na bliskie pagórki
— widziały jak toczył się bój —
I każda cegiełka wie o czymś
I zda się, że szepcze Ci: Stój!

I łazisz samotny wśród cegieł —
Ot, krzak przyozdobił się w kwiat —
Pod krzakiem tym wieczny spoczynek
Napewno znalazł Twój Brat

Tam dalej się wala po Żydach
Ostatni ślad — Bóg wie skąd? —
Tu miska, tam kartka chumaszu,
Karafka od sobót i świąt.

I wózek dziecinny bez kółek,
— od lat stracił sens swój i treść —
A dziecku sądzono, zapewne,
W płomieniach do nieba się wznieść.

Nalewki dziś straszą Cię pustką,
Martwotą przeraża Cię bruk.
Krew Żydów i łzy zmyły ślady,
Zmęczonych, wlokących się nóg.

Przekład **Natana Grossa**

Lejb Kuperszmid

Pościel na bazarze

Pościele łóżek, przesiąknięte młodzieńczych westchnień żarem i snami dziewcząt
— Każde puchowe piórko srebrzyste ich bujną wiosną przeszło.
Modlitw babuni szeptem do wszechwiedzącego Pana niebiosów i stróża.
O powodzenie i szczęście dla wnuczek, co wzrosły kwitnące jak róże.
— Ten puch, jak gwiazdki, na dziadków ciemno aksamitnych czapkach świecił
Wchłaniając w siebie wzrok zdziwiony rankiem rozespanych dzieci.
O, ileż żalów i wdzięcznych poświęceń — ileż dziewczęcych zachwytów —
Chłonęły w siebie poduszki, pierzyny namiętnie, do przesytu,
Dziś żarzą się na targu — krwią zachodzi słońce —
Moje poduszki - sieroty, tłamszone przez grube, spocone ręce.
Tanio sprzedam! — wrzeszczy jarmarczny przekupień pijany —
Mych ogni żagwie, modły, świętości me sprofanowane,
Sny dziewicze mych sióstr, dziadków ksiąg strzępy starych —
Krwawią dziś, zbezczeszczone, na placach i bazarach.

Przekład **Natana Grossa**

Rajzel Żychlińska

I Bóg zakrył swoje oblicze

Wszystkie drogi wiodły nas na śmierć —
Wszystkie drogi...
Wszystkie wichry wkrąg dyszały zdradą —
Wszystkie wichry...
U wszystkich progów szczekały złe psy —
U wszystkich progów...
Wszystkie wody śmiały się z nas w głos —
Wszystkie wody...
Wszystkie noce nasycił nasz strach —
Wszystkie noce...
A nieba były nagie i puste —
Wszystkie nieba...
I Bóg zakrył swoje oblicze.

Przekład **Natana Grossa**

Binem Heller

PIEŚŃ WESELNA

Na ślub was proszę, drodzy,
Nagusy, bosonodzy,
Bez strojów, na golasa,
Do Polski Was zapraszam!

Tu Wisła w żalu rzęzi
trup dynda na gałęzi
Kruk zasię, grajek marny
Nastraja dziób swój czarny.

Hej, grajcie a ochoczo!
Mym zapłakanym oczom,
Do stołów — grobów braci —
Biedacy i bogaci!

Stara babka drepce
W swej zielonej szubce,
Przyszedł dziadziuś stary
Tańczy z nią do pary.

Hej, grajcie a ochoczo!
Niech czarty w tan podskoczą!
Trup grajka na topoli
Na skrzypkach wciąż rzępoli.

Przygarbiony tato
Wchodzi z żółtą łatą,
Za nim matka kroczy,
Wypłakuje oczy.

Hej, grajcie a ochoczo!
Tu nie klną i nie psioczą —
Zostało się niewiele:
Grób tylko i piszczele.

Wkrótce też przybyli
I synkowie mili,
Przyszły i dziewczęta
Każda uśmiechnięta.

Kpy! poco było chodzić?
A gdzież są państwo młodzi?
Dziś Niemiec na tym miejscu,
Zastrzelił oblubieńców.

Hej, grajcie a ochoczo!
Cóż z takim światem począć?
Ot, niebo — czarna chupa
A goście — trupów kupa.

W krąg spogląda babka
Obejmuje dziadka
I wedle zwyczaju
wiedzie go do raju.

Przekład **Natana Grossa**

Natan Gross

Ballada o żydowskim orderze

Na rozstaju dwóch światów tłum potężny się zbiera —
Wielkie święto poległych! — wydarzenie wiekowe! —
Bowiem dziś Pan Zastępów i Najwyższy Generał,
Sam rozdziela ordery bojowe.

Nocny apel poległych. Bohaterów parada:
Z wszystkich lasów i frontów bohaterscy żołnierze!
Błyszczy broń. Błyszczą szlify. W górze niebo jak sztandar — —
W dole szarfy, mundury, i medale i krzyże.

Przed szeregiem, bez czapki, w potarganej koszuli
Stoi chłopiec żydowski, blada nędza gettowa,
A przed chłopcem żydowskim sam najwyższy generał —
W te do niego odzywa się słowa:

Gdzież ci znajdę prastare odznaczenie żydowskie,
Za katusze, tortury, poniewierkę i mękę,
Za te druty osnute krwi niewinnej porostem,
Jakiż order mam ci przypiąć, jakąż wstęgę?

Iżeś rozpacz zamienił w radość boju i wiarę,
Gdyś w pożarze Nalewek biegł bosymi stopami,
Iżeś blask wrócił gwiazdom przesłoniętym oparem
Krwi i łez — i zasnutym trującymi gazami.

Jakże mam Cię nagrodzić za odwagę i męstwo,
Za Twą miłość złożoną narodowi w ofierze,
Za Twą klęskę za życia i pośmiertne zwycięstwo,
Jaką wstęgę — jaki medal, bohaterze?!

Na to chłopiec: medale? Nie znam ich, generale!
Nie nosili orderów nasi chłopcy, dziewczęta,
Nie pamiętam, by nasi praojcowie nosili...
Ni Makabi... ni Bar Kochba — nie pamiętam...

Ani potem, gdy chaluc życie wracał pustyniom,
Kiedy z ziemią się ścierał, kiedy zmagał się z światem...
Nie pamiętam... dalibóg... pozwól więc, że zatrzymam
Ten mój order — ten, co noszę — żółtą łatę.

Była kiedyś przeklętą — dziś, relikwią jest świętą,
— Gdy przekleństwo przemija, wtedy sens się odmienia! —
Jakiż order wymyślisz za Majdanek, Oświęcim,
Za te piece, za te druty, za cierpienia?

Ona ze mną bywała w różnych biedach i troskach,
Tak ją kocham, jak kiedyś nienawidzić umiałem!
Już nie ciąży mi więcej żółta łata żydowska —
Tyle za nią przecierpiałem — — niech zostanie...

— — — — — — — —
— — — — — — — —
— — — — — — — —

Tłumy, tłumy szaleją! Armia kroczy ku gwiazdom.
Noc wyłania i wchłania coraz nowe oddziały,
Idzie szlakiem na wieczność bohaterów rząd długi
A pod nimi, na klęczkach, hołd im składa świat cały!

Idą, idą wybrani, aby życie tchnąć w niebyt —
Tak odchodzą, by trwać wciąż w blasku sławy i glorii.
Świat pamięta czym byli, kiedy świat niczym nie był,
Kiedy krwią napisali nowy rozdział historii.

Race, wianki, rakiety! — dniem jest noc w takie święto! —
A na piersi medale niczym słońca się żarzą.
A na piersi ordery — Restituty, Virtuty,
Za ojczyznę, za Naszą i Waszą...

Równym krokiem, wraz z nimi, idzie chłopiec beztroski,
Tłum pod nogi mu rzuca swoje serca i kwiaty.
A na piersi mu błyszczy pierwszy order żydowski:
Święty order — pierwszy **Order Żółtej Łaty.**

Natan Gross

Chłopiec z Pomnika

I Ciebie kiedyś odkryją,
bohaterze z pomnika...
Przyjdzie historyk
i zdejmie ciężką bronzową maskę.
Zdziwią się: chłopiec... ciekawe!
— zwyczajny, prosty chłopiec,
Tyle tylko, że żydowski
i że mieszkał
w Warszawie,
na Pawiej.

Tyle tylko, że znał ulicę Nalewki
tak dobrze, jak inny
Marszałkowską.
Twarz miał zwykłą —
nie do bronzu, ni marmuru —
żydowską — —
Nos nieco przydługi,
Wargi zbyt grube,
a oczy...
oczy w rzeźbach są martwe — —
Więc wzięli innego,
pięknego,
symbolicznego,
niech stoi
i uczy jakim być winien naprawdę...
Nikt go nie znał — i nagle —
tłumy!
wieńce, medale!
Akademie i uroczystości.
Dla żydowskiego chłopca,
syna krawca, czy szewca,
naraz
tyle, tyle miłości!

Przychodzą pod pomnik.
Wygłaszają mowy. Są wzruszeni.
Składają kwiaty.
Stoisz zakuty w bronz,
a w ręku sztylet —
Czym jesteś dziś?
Nawet nie tworem poety!
Nazwiskiem...
A może nawet nie tyle.

Kochają Cię, tak bardzo wszyscy Cię kochają!
Stawiałeś czoło — za nich — walczyłeś!
Za nich stokrotnie ginąłeś — wiedzą!
Przyjdą. Położą wieniec. Popatrzą.

No cóż... nie potrafią tak kochać
jak Twoja matka:
— — Josek! przewiąż szyję!
jeszcze chłodno — — kwiecień!
Przeziębisz się, niedaj Boże!
— wieczne utrapienie z tym synem!

Nic Ci już nie będzie...
Stoisz nagi na dżdżu i wietrze —
dokoła pusto, ruina...
Przychodzi jedna matka,
przychodzi druga matka
i mówi do syna:
— Patrz! walczył za naród!
za honor!
i właśnie, widzisz, ten pomnik mu wystawiono,
żeby to, właśnie, przypominał.
— A jak urośniesz i będziesz grzeczny...

— — — — — — — —

Co dzień ludzie przychodzą,
Kwiaty przynoszą.
W ciszy oczy unoszą,
patrzą na ciebie ciekawie.
A to nie Ty jesteś! wcale nie Ty,
chłopak z ulicy Pawiej,
który nie słuchał matki
i kaszląc biegł przez ulicę
z krzykiem:
sukinsynów nauczę,
niech tylko w ręce mi wpadną!!!

Leżysz gdzieś — tam.
chyba nikt nie wie gdzie...
Kopią w powietrzu grób
granaty...
A dziś pod pomnik —
ludzie... ludzie...
delegacje — —
szarfy i kwiaty.

Przemawiają, wzywają,
opiewają w zachwycie.
Gdybyś to mógł usłyszeć,
Josek!
chłopcze z Pawiej!!!
Och, wiem co byś powiedział...

— — — — — — — —

Bronz mówi inaczej niż życie.

Zofia Nałkowska

DWOJRA ZIELONA

Nieduża kobieta z czarną przepaską na oku stanęła przy ladzie. Jej równie drobny i cokolwiek dziwny towarzysz z czarnymi wąsikami zażądał dla niej okularów.

— Przez parę lat ta pani nie nosiła okularów — powiedział znacząco i życzliwie.

— Dlaczego?

— Dlatego, że była w obozie.

Co do oka, to okazało się, że jest nieodpowiednie. Jest za duże i nie chce wejść. A po okulary trzeba jeszcze przyjść nazajutrz.

— Czy nie zechciałaby pani ze mną porozmawiać. Moglibyśmy wstąpić tu obok do cukierni.

Zdziwiła się. Nie mogła iść do cukierni. Była zajęta. Musiała wracać do mieszkania, gdyż jest zamknięte, a klucz ma ona ze sobą. Do mieszkania, gdzie właśnie od dwóch dni znalazła zajęcie.

Idziemy tedy razem przez szeroką ulicę Pragi i ciemną bramą przenikamy w podwórze wielkiej rudery o brudnych, poczerniałych ścianach z poodbijanym tynkiem. Głęboko w rogu, za oblazłymi z brunatnej farby drzwiami, zaczyna się mroczna sień.

— To jest na trzecim piętrze.

Drewniane schody idą pod górę nieprzerwanym ciągiem w ciemności. Trzeba się trzymać poręczy, uważnie macać podeszwami wyrwy w deskach, by nie upaść. Dopiero na pierwszym piętrze załamuje się ich ciągły bieg. Równy pomost podłogi wiedzie z powrotem do miejsca, w którym zaczynają się ponad tamtymi nowe schody i znowu jednym długim tchem sięgają piętra drugiego.

U wejścia na trzecią kondygnację stoimy chwilę przy oknie. Patrzymy w wielkie, odrapane, ciemne i brudne podwórze.

— Jakie pani ma zajęcie?

— Sprzątam i pilnuje mieszkania. Bo w tym mieszkaniu będzie żydowskie ambulatorium.

— Więc znalazła pani swoich ludzi? Ma pani opiekę i przyjaciół?

— Jestem sama — odpowiada spiesznie. — Jestem sama — powtarza jeszcze raz.

— Jednak ten pan, który odszedł kupował dla pani okulary. I oko.

Na to z trudem przystanęła.

— Owszem, kupią mi oko. I nawet chcą wprawić zęby. — Zawahała się i ciężko wyznała: — Ale to nie jest rodzina.

Idziemy już ostatnią kondygnacją i znów wracamy równym pomostem, obwiedzionym drewnianą poręczą. W miejscu, gdzie na niższych piętrach są okna, na trzecim otwierają się wypełzłe, chwiejne drzwi oszklone. Wychodzą na napowietrzny ganek drewniany z poręczą, uczepiony muru i trzeszczący nad próżnią.

Zatrzymujemy się przy trzecich z kolei drzwiach, zamkniętych jak gdyby na okiennice.

— To tutaj — powiada.

Wyjmuje klucz i otwiera wetkniętą w skoble olbrzymią kłódkę. Drzwi otwierają się na rozległe, puste mieszkanie. Jeden pusty, ponury pokój, z umytą podłogą, drugi też wysprzątany, z niskim pod ścianą legowiskiem. W trzecim stół pod ścianą jedno i drugie krzesło.

— O, tutaj możemy rozmawiać. Niech pani siądzie.

Siadamy naprzeciwko siebie przy rogu tego stołu.

— Oni są dobrzy. Ale to nie jest rodzina — powtarza. — Nie ma nikogo. Mój mąż jest zabity w roku 43 na stacji Małaszewicze, osiem kilometrów pod Brześciem Litewskim. W lagrze. Zabitych było tysiące, bo zabijali tak co dziesiątego, zabijali co parę dni. Nie, sama tego nie widziałam, ale o tym słyszałam. Bo tam nie byłam, byłam w Międzyrzecu. I jedno wiem, że w 42 roku mój mąż był jeszcze żywy. Bo wtedy lotnik niemiecki wziął list do męża i była na ten list odpowiedź, że mój mąż się kłania. A później dowiedziałam się, że jest zabity.

Wstała i wpuściła ludzi, którzy przyszli naprawiać w kuchni zlew.

— Mam trzydzieści pięć lat, tylko że tak wyglądam. Nie mam zębów, nie mam oka...

Wyszła za mąż mając dwadzieścia trzy lata. Mieszkali w Warszawie przy ulicy Stawki, Ona pracowała w fabryce, robiła na maszynie wełniane rękawiczki, on był szewcem. Naprzód też pracował w fabryce, później robił buty w domu. Owszem, było im dosyć ciężko. — Dzieci nie mieli.

— Mąż się nazywał Rajszer, ale ja się nazywam Zielona. Bo nie miałam papierów i zapisali mi nazwisko ojca.

Po chwili zastanowienia dodała jeszcze:

— A na imię mam Dwojra.

W roku 39 bomby rozwaliły dom na Stawkach. Stracili wszystko — rzeczy, ubranie. I przenieśli się do Janowa Podlaskiego.

Westchnęła.

— Tam już nosiliśmy żółty trójkąt, osiem takich szpicy, palestyński znak. A dopiero później nosiliśmy opaski. Oboje.

W październiku 42 roku już męża nie było, bo pracował w tym lagrze Małaszewicze. Wtedy całe miasto Janów Podlaski wysiedlili do Międzyrzeca. To był taki JUDENSTADT, tam byli wszyscy żydzi z lubelskiego województwa. Co dwa tygodnie wywozili ludzi do Treblinki koleją. Ta reszta, co została, była zamknięta w getcie. Inni ginęli, ona nie.

— Jak była akcja, to ja się zawsze schowałam. Siedziałam na strychu.

Rozpostartymi palcami obu rąk przesłoniła swą twarz. I patrzyła chwilę jednym okiem przez szpary między palcami.

— Czy to znaczy, że pani zakrywała sobie twarz rękami?

Uśmiechnęła się. — Gdzie tam. Ja tylko pokazuję pani, że się tak zawsze chowałam.

Siedziała na strychu i myślała: „Teraz żyję, a za godzinę, nie wiem co będzie“. Ale inni ginęli a ona nie.

— Raz się tak chowałam, jak była akcja, przez całe cztery tygodnie. Bez jedzenia.

To także, jak te rozczapierzone palce na twarzy, należało rozumieć w pewnym sensie metaforycznie.

— No, wzięłam parę cebulki i miałam tam manne kasze, więc to jadłam. Nie, nie gotowane. Skąd! Nie było przecież wody. Miałam trochę kawy mielonej, zbożowej, to także jadłam surową tę kawę. Nic mnie nie bolało. Myślałam: umrę. Byłam taka osłabła. Byłam sama jedna na świecie.

Raz usłyszałam, że był ruch na ulicy. Było to w grudniu 42 r. Usłyszałam ruch, to wiedziałam że już placówki nie pilnują. Więc zeszłam. Po akcji można było znowu chodzić w środku między drutami. Owszem, była jeszcze gmina żydowska. Oni dawali trochę chleba.

Ale nie było ważne to całe życie nasze...

Miałam kilka koszuli, to sprzedawałam i kupiłam sobie chleb na jutro, na pojutrze.

Oko straciłam pierwszego stycznie 43 roku. Była taka zabawa u Niemców. Oni się bawili w Sylwestra. Zastrzelili sześćdziesiąt pięć ludzi. Z mojego domu to ja jedna zostałam, że jeszcze żyję. Strzelali na ulicy, na śniegu, o szóstej rano. Wchodzili do mieszkań. To ja chciałam uciekać, wyskoczyłam przez okno. Myślałam, że się zabiłam. I dostałam strzał w oko.

Jak do mnie strzelali, to tak czułam: „a może jeszcze żyję“...

Zniżyła głos, mówiła poufnie:

— Pani powiem: ja chciałam żyć. Nie wiem, bo nie miałam męża ani rodziny, ani nikogo, i chciałam żyć. Oka nie miałam, byłam głodna i chłodna — i chciałam żyć. Dlaczego? To pani powiem: po to, żeby powiedzieć wszystko tak, jak pani teraz mówię. Niech świat o tym wie, co oni robili.

Myślałam, że będę żyła tylko ja jedna. Myślałam, że nie będzie na świecie ani jednego Żyda.

Zabrali mnie do szpitala. W oku nic nie czułam, tylko mnie więcej bolało tutaj: krzyż i nogi. Od stłuczenia. To mówiłam: „Dajcie mnie noża“. Bo chciałam zrobić z sobą koniec. Już nie mogłam żyć. Oka nie miałam, nic nie miałam. Oko wypłynęło całe. Na uchu też miałam ranę. Mieli mnie prześwietlić. Ale samo się zagoiło.

Jak już resztę nas zabrali, to już się nie chowałam. I sama poszłam za naszymi do tego Majdanka.

Grosza nie mam, jedzenia nie mam, oka nie mam. Żydów nie ma — to co miałam robić sama na tym strychu? Kawałek chleba już też nie miałam. Jak mam umrzeć, to wolałam umrzeć razem z nimi, nie sama.

No to poszłam do Majdanka. Tam dawali chleba bardzo mało. Tylko czterdzieści deka. I trochę zupy o dwunastej.

Czyśmy sobie wzajemnie pomagali? Bo ja wiem. Trochęśmy pomagali. Ale niedużo. Ach, pani wie ,każdy ma swój kłopot: co może zrobić? Co dwa tygodnie była selekcja, taka przebierka. Co można zrobić?

Czy mnie bili. Owszem: raz w Majdanku esmanka Brygida — to ona mnie zbiła. Czym? Kija miała. Dostałam od niej po głowie. A za co?

śmieje się z politowaniem.

— Bo ona tak chciała, nic więcej.

Wszystkie wtedy dostały. Bo jedna kapowa, taka furabtarina, powiedziała o jednej z nas, że ona robi geszeft. Że coś kupuje I za tę jedną wszystkie dostały. Ale czy ona robiła geszeft? Ja nie wiem.

Uciec nie można było. Jedna panienka uciekła. To ją złapali i powiesili. Taki tam stał słup i hak... Było nas z dziesięć tysięcy na placu i musieliśmy wszystkie na to patrzeć.

Była spokojna, bardzo spokojna — esman spytał się, co ona chce przed śmiercią. A ona powiedziała: „Nic, nic, prędzej zrób co chcesz“. Dwadzieścia lat miała, była delikatna.

Byli też dwaj bracia. Oni się później sami powiesili.

Wstała, żeby wypuścić robotników którzy już skończyli swoją pracę. Ale wróciła zaraz i usiadła na swym miejscu.

— Raz przyszedł esman ze Skarżyska - Kamienna, szef Imfling. Powiedział: „Kto chce pracować, to pojedzie do pracy“. Umiałam pracować, to pojechałam. To była fabryka amunicji.

Tam nie dostałam bicia ani razu. Ale tam też co raz była selekcja, jak już kto raz był w szpitalu, to go zabili. Kto miał zwolnienie z pracy, choćby parę dni przestał robić — już go zabili. .

Ja miałam tylko jedno oko i zrobił mi się na tym oku taki jęczmień jak wrzód. No to byłam ślepa. Ale pracowałam, żadnego dnia nie opuściłam, po dwanaście godzin. Tydzień przez dzień, tydzień przez noc. I widzi pani, nie uwolniłam się, nie poszłam do doktora. Bałam się. Bo to była śmierć. Myślałam, że może przeżyję i tak, a może...

Uśmiechnęła się wstydliwie i nieśmiało.

— Widać znowu chciałam żyć.

Jeszcze coś sobie przypomniała.

— Teraz pani powiem, jak było z zębami.

Kiedy przyszłam do Skarżyska - Kamienna, tam dawali tylko trochę zupy. To byłam strasznie głodna.

Można było jedzenie kupić od robotników, którzy przychodzili pracować z miasta. Czasami sami coś dawali, ale prędzej trzeba było kupić. A ja nie miałam pieniędzy. To sama wyrwałam sobie złote zęby.

Czy wyrwałam sznurkiem? Nie. Tylko przez kilka dni ruszałam, ruszałam. Jak się dobrze ruszał, to już łatwo dał się wyrwać. Sam wyszedł. Za jeden ząb dostałam osiemdziesiąt albo osiemdziesiąt pięć złotych. I kupiłam sobie dosyć chleba.

Trzynaście miesięcy tak robiłam w Skarżysku. Jak się Ruski przybliżył do Skarżyska, to Niemcy całą fabrykę z nami przenieśli do Częstochowy. I tam była znowu taka robota.

Siedemnastego stycznia przyszli Sowieci. Esmani uciekli szesnastego. W Częstochowie było piętnaście tysięcy żydów. Zostało pięć tysięcy, resztę powieźli do Niemiec, kolejami. Nic na to nie można było zrobić. Były takie zapisy. Majster zapisywał i ludzi według zapisu brali.

Majstrzy nas pilnowali. żeby jeszcze parę godzin Sowieci nie przyszli, byłoby po nas.

Byliśmy już ustawieni na ulicy. Ale Sowieci przyszli i majstrzy uciekli.

Czyśmy się ucieszyli jak przyszli? Tak cieszyliśmy się bardzo. Bośmy już nie byli za drutami, bośmy byli wolni. Witaliśmy ich aleśmy nie krzyczeli, ani nic.

Westchnęła.

— Nie mieliśmy siły...

Jerzy Broszkiewicz

Matkę zabrali...

Stefan odchodząc usłyszał głos Michalskiej:

— Co matka, to matka. Panie Boże...

Ktoś jeszcze zawołał raz i drugi:

— Panie! panie!

Stefan zaciskając pięści nie obrócił się. Szedł najprędzej jak mógł — co pewien czas zatrzymywał się u bram domów lub pod oknami i ludzie patrząc nań bez słowa pokazywali kierunek. Gdy mijał Słoneczną, prawie tak cichą i pustą jak wyludnione bocznice, od strony miasta nadbiegło uderzenie zegara. Wtedy także ciekawy i gadatliwy mężczyzna poinformował go, że widział już kilka takich grup i że ostatnia z nich przechodziła Słoneczną przed kilkoma zaledwie minutami. Wchodząc w Zachodnią Stefan dostał się w tłum — tutaj było już miasto nieograniczone opaską ani zasiekami, a więc auta, tramwaje, dziewczęta idące pod rękę z mówiącymi dowcipy chłopcami, kilku elegantów, mundury, o które w tej chwili nie dbał, i wszyscy inni: dzieci, dorośli i starzy ludzie przeważnie zmęczeni upałem i krzywiący twarze pod skośne słońce, ubrani biało, szaro, żółto, czerwono i niebiesko. Wesoła wycieczka rowerzystów wyminęła go łatwo. Stefan zaczepił starszego jegomościa pytając, czy nie widział. Tamten przytknął do ucha dłoń zwiniętą w trąbkę i skrzywił się podejrzliwie. Miał wyblakłe oczy i skórę ciemną od opalenizny, pociętą w grube zmarszczki na policzkach i czole, a drobne w kątach warg, oczu i u nasady nosa. Głowa trzęsła mu się lekko.

— Co? — spytał nieufnie — co?

Stefan pobiegł dalej, a tamten obrócił się za nim pełen oburzenia. Młoda dziewczyna patrząc ciekawie w oczy Stefana szybko skinęła głową i wyciągnęła rękę ku górze ulicy:

— Tak, tak — mówiła — tak, tak.

Na najbliższej z wież zegar wydzwonił godzinę w pół do siódmej, gdy Stefan minął ostatni zakręt Zachodniej i ujrzał przed sobą długą perspektywę ulicy, zwężającą się u samego końca do szerokości dłoni. Słońce świeciło prosto w oczy. Teraz już wiedział, że powinien był usłuchać Berga. Ludzie oglądali się za nim. Tu w pogodny wieczór i niedaleko podmiejskich lasków widziało się przede wszystkim wesołą, chodzącą parami, trójkami i czwórkami pod ręce młodzież. Czasem czytał w spojrzeniach ironię i złośliwość, było to już jednak lepsze niż litość lub wyraźnie skrywane współczucie. Nagle przyśpieszył kroku — w połowie drogi pomiędzy zakrętem a końcem ulicy wąskim na szerokość dłoni ujrzał idącą środkiem jezdni grupę ludzi. Z tej odległości przypominało to jeszcze pełznącego niezdarnie owada. Przechodnie, których teraz mijał, oglądali się za owym owadem, wielu stało na krawężnikach chodnika rozmawiając przyciszonymi głosami. Gdy Stefan przechodził, podnosili brwi ze zdumieniem — widocznie tego dnia i w miejscu tak odległym od dzielnicy północnej nie spodziewano się spotkać samotnie idącego człowieka w opasce. Owad powoli a niespostrzeżenie przemienił się w grupę ludzi, widać już było sylwetki konwojentów i dokładny rysunek ostatnich szeregów. Teraz Stefan powrócił do kroku bliskiego biegowi — wydało się mu, że dostrzega czarną suknię matki a tuż obok idące dziecko. Odlegli już byli nie więcej jak o dwieście, może nawet sto pięćdziesiąt metrów — przez chwilę przesłonił ową grupę tramwaj i kilka aut. Gdy ujrzał ich na nowo, przystanęli. Osłonił oczy dłonią od słońca — oto ruszają w dalszą drogę: szeregi złamał krzyk konwojentów, dolatywał aż tutaj, nagle ukazały się pierwsze z szeregów profilem, wchodziły za sylwetkę wysokiej wieży zbudowanej z nie pociemniałych jeszcze belek i desek. W miejscu, gdzie niedawno kończyła się ulica wstążeczką horyzontu, wyrosły teraz wzgórza porosłe młodym lasem. Szeregi prowadzonych znikły już za bramą, więc Stefan zatrzymał się, od owej wieży dzieliło go już niewiele kroków. Otarł pot rękawem i dopiero teraz poczuł, jak bardzo jest zmęczony — wśród ludzi, których widział z bliska, nie było matki ani Romka. Tak — należało usłuchać rady Berga. Minął go niski kolejarz mrucząc głośno:

— Czy pan tu... guza szukasz?

Stefan spojrzał nań bezradnie, lecz znowu postąpił kilka kroków naprzód, potem powoli przeszedł na drugą stronę ulicy i znów przystanął.

Kilka kroków od niego stał mężczyzna średniego wzrostu w mundurze S. S. i z wysokimi dystynkcjami na kołnierzu. Twarz miał szczupłą, dość starą, pełną drobnych, gęsto związanych zmarszczek, wąskie wargi pod wydatnym, nieforemnym nosem wysunął nieco w przód, jak do gwizdania, na oczy, w których widać było pewną ciekawość i nieomal badawcze zainteresowanie, padał cień od daszka wysokiej czapki — nie była to twarz wojskowa, zdawać by się mogło, że powinien ją mieć raczej małomiasteczkowy krawiec, drobny urzędnik, agent handlowy lub kelner byle jakiej knajpki, niż wysoki oficer. Przypatrując się Stefanowi, przekrzywił głowę nieco na ramię — był to jak gdyby gest dość uprzejmej ciekawości poparty towarzyskim a bezmyślnym ruchem przybranych w białe rękawice dłoni: bawił się krótką smyczą na psy. Istotnie — tuż przy lśniącym bucie oficera usiadł piękny wilczur o czarnym grzbiecie, podpalanym gardle i brzuchu. Pies mrużył brązowe oczy przed słońcem, a w końcu ziewnął powoli i szeroko. Wtedy Niemiec zapytał:

— Was suchst du hier?

Stefan zaczął pośpiesznie tłumaczyć — oficer wysłuchał — można by rzec — życzliwie i z tym samym co przedtem zainteresowaniem w spojrzeniu. Skinął głową.

— So — powiedział z namysłem, potem wyciągnął rękę. Pies podniósł się sprężystym ruchem przekrzywiając piękną głowę na bok, zaś jego pan dodał pogodnie.

— Ausweis.

Stefan podał swoją legitymację, a tamten przedarł ją spokojnie na pół, złożywszy uważnie połówki, przedarł je na ćwiartki, na ósemki, potem, chcąc widocznie pracę zakończyć z należytą pedanterią, zdjął rękawiczki, by dojść do szesnastek, wreszcie spojrzał z intensywniejszym już zaciekawieniem na Stefana i wypuścił skrawki papieru z palców. Lekki wiatr zakołysał nimi jak śniegiem, a pies kłapnął zębami na jedną z białych much bez żadnego jednak przekonania. Wtedy oficer uśmiechnął się do Stefana, zmrużył porozumiewawczo powiekę i skinął na jednego z askarów. Żołnierz podbiegł. Oficer zwrócił się z humorem:

Der — wskazał na Stefana — will seine Mutti im Lager suchen.

Żołnierz wyprostował się, potem pchnął Stefana ku bramie. Oficer odszedł swoją drogą, zaś pies towarzyszył mu stąpając z nie dającą się opisać gracją i godnością. Stefan wchodząc w bramę spojrzał w lewo, ku zachodowi — oto niskie, wielkie, czerwieniejące już słońce oparło swój krąg o młode drzewa pobliskich wzgórz, stojących w jego świetle, jak w ogniu.

Józef Rebhun

W LASACH BIAŁORUSI



Z. Tołkaczew: „Cyklon B."

Weszła. Na środku wbite były w ziemię cztery silne kije, a na nich naciągnięta biała płachta Obok w białym fartuchu stał doktór Cyrkin z nożycami chirurgicznymi i lancetem w ręku. Wyciągnął je dopiero co z kociołka gotującej się wody. Lina i Riabcew przystąpili do pierwszego z brzegu rannego, aby go wziąść na ręce i przenieść na stół operacyjny. Ale ten obruszył się i zaśmiał: — Co, chcecie mnie nosić? Niemców noście, których wczoraj powybijałem.. —

Sam wstał i położył się przed lekarzem. Ten skinął Zinie tylko głową i podał jej instrumenty. Sam zaczął zdejmować bandaż.

— Słuchaj Sława, tu nic się nie da zrobić. Ręka przepadła aż do przegubu. Muszę ją uciąć. Czy chcesz teraz? —

— Przeklęte fryce! Ale to nic. To lewa. Prawa odpłaci im jeszcze. Jak ciąć, to zaraz, towarzyszu doktorze. —

— Niema narkozy, tylko miejscowe znieczulenie. —

— Niech będzie.

Jak się Zina później dowiedziała, rannym był moskwiczanin Sława Palcew, z zawodu architekt, który odznaczał się szaloną odwagą. Sam jeden szedł często przeciw niemieckiej drużynie. Był rubaszny i wesoły tak, że mimo swojej głębokiej inteligencji i lat dwudziestu sześciu, sprawiał wrażenie wyrostka z kołchozu.

— Rżnij, rżnij, doktorze, moją biedną lewicę.

Lina jedną ręką przytrzymywała rękę Sławy, drugą w podstawione naczynie zbierała kapiącą krew. Cyrkin ciął. Ranny ścisnął zęby i za chwilę zaczął śpiewać „Zemlankę".

Wiotsa w tiesnoj pieczurkie agoń,
Na palenach smoła kak sleza
I pajot mnie w zemlankie garmoń
Pro ułybku twaju i głaza . . . . .

Już nie mógł wytrzymać bólu i krzyknął blady jak śnieg, który leżał na dworze: — Doktor, eto inkwizycja.

Ale już był właśnie koniec operacji. Obandażowano go i przeniesiono na narę. Teraz przyszła kolej na następnych rannych, wśród których pierwszymi byli dwaj Żydzi z Moskwy z roztrzaskanymi goleniami.

Cyrkin ocierał pot z czoła i skorzystał z przerwy, by podejść do Ziny.

— Przygotowałem dla ciebie nowe białe futro gronostajowe, sukienkę i buty, jakie nam Moskwa zrzuciła ostatnio . . .

Przerwał mu uzbrojony w automat bojec, który zameldował: — Towariszcz, Zina w sztab k'komandiru otriada!

Było to tak służbowo zakomunikowane, że Zina doznała uczucia, jakby ją aresztowano i oto prowadzą ją na gestapo. Przestraszona i zażenowana stanęła na progu jednego z licznych czumów. Od razu spostrzegła, że różni się on swym wewnętrznym urządzeniem od innych. Prycze zaścielone były lepszymi kocami, a ściany — zawieszone wzorzystymi kilimami. Po środku czumu, za stołem, na dużym skórzanym siedzeniu jak gdyby król siedział mężczyzna w sile wieku, a obok niego inni, z którymi potem spotykała się codziennie. Był to sztab. A więc komandir Świetłow, który nosił odznaki pułkownikowskie na kołnierzu, a na piersi order Lenina i „Dwudziestolecia Czerwonej Armi", wysoki zawsze wyprostowany, wysmukły i barczysty brunet o szarych oczach, w które uważnie trzeba było się wpatrywać, by poznać ich żydowskie pochodzenie. Obok niego w mundurach: major Szostakow, oficer polityczno-wychowawczy oddziału, jego adiutant Borotkin, kapitan Ezofowicz, Żyd, a dalej dwie Żydówki hiszpańskie, zrzucone niedawno na spadochronach, trzydziestopięcioletnia Zofia w randze majora i Mina, adiutant kapitana Romancewa, który obok niej siedział. Na końcu umieścił się kapitan Simon Iwanowicz, adiutant majora Szostakowa.

Na dalszym planie za plecami wszystkich siedział, jakby symbolicznie, mężczyzna, który spoglądał na Zinę, szczerząc białe, zdrowe zęby w szerokim uśmiechu Był to prawdziwy okaz Niemca, wysoki blondyn o rozkazodawczych jasno-niebieskich oczach i zdecydowanej męskiej twarzy. Był to Niemiec Piaksin, który, jak mówiono, sam więcej zdziałał niż cały oddział.

— Podejdź bliżej. Nie wstydź się. To jest sztab oddziału, do którego będziesz należała i twoje szczęście, żeś się tu dostała.

Gdy podeszła bliżej, zaczął ją szczegółowo wypytywać o personalia i dotychczasowe zajęcie i koleje losu. Skąd zna tak dobrze rosyjski język? Gdy Zina odpowiadała Świetłowowi, wszyscy z zainteresowaniem przyglądali się jej i słuchal. Po przesłuchaniu Świetłow powiedział, że będzie pracowała jako siostra, mówił o życiu, jakie ją tu czeka z nimi, o obowiązkach i ich wypełnianiu.

— U nas — zakończył Świetłow — instnieje wielka dyscyplina i nikt nam nie może być ciężarem, a przeciwnie, każdy musi dać maksimum wysiłku. Jeśli okażesz się potrzebna, pozostaniesz z nami. W przeciwnym razie . . . My dla nie podporządkowujących się naszym rozkazom mamy najsurowsze kary, łącznie z karą śmierci, jaka grozi za niewypełnienie niezwykle ciężkich i odpowiedzialnych zadań przysłanych z Moskwy. Wszyscy wzorowi partyzanci żyją z nami jak w rodzinie i wierzę, że ty też znajdziesz w nas rodzinę.

Zina ukłoniła się i wyszła. Była oficjalnie członkiem oddziału świetłowowców.

* * *

Zina tymczasem zapominała powoli o swej tragedii, oddana w zupełności od paru tygodni rannym, zatopiona w pracy dla nich całym sercem i całą duszą. Dotąd jeszcze nie ruszyła się z obozu.

Pewnego poranka przystąpił do niej przed pracą doktór Cyrkin i kazał przygotować się do drogi. Zaskoczona pytała niemo — dokąd? Ale cóż obchodzić może kogokolwiek spoza sztabu, dokąd się jedzie lub co się pocznie. Dostaniesz rozkaz, musisz go wykonać i basta. Wziął ją palcami za podbródek: — Nie ciekną ci buty?

— Nie, doktorze.

— Czeka cię niespodzianka. Pójdziesz po raz pierwszy na zadanie i to na niezwykle odpowiedzialne. Myślę, że nam wstydu nie przyniesiesz.

— Postaram się, towarzyszu doktorze.

Czuła się zupełnie swobodnie, jakby miała opatrzyć rannego.

Ranni i sztab umieścili się na furmankach. Reszta szła pieszo. Kompania saperska szła przodem i stanowiła trzon ekspedycji. Paru jeźdźców ich wyprzedzało. Zina i Cyrkin siedzieli na furmance obok rannych. Przed nimi jechał pułkownik Świetłow, Chruszczow, radiotelegrafista i porucznikowie: Iwanow i Bagrow. Około wieczora zaszli do polskiej wsi i tu postanowili zasięgnąć języka i dać odpoczynek koniom i ludziom. W jednej z chat, do której zaszli, dowiedzieli się, że o trzysta metrów od wioski stacjonują Niemcy a o pół kilometra w innym kierunku — banderowska kompania. Przez całą noc zasięgano informacji, sprawdzano je i rozważano w sztabie. Przed świtem ruszono w drogę... powrotną. Spieszono się. Około południa przybyli do obozu. Przez dwa dni odpoczywano i przygotowywano się do drogi. Teraz już wszystkim było wiadome, że opuszczają obóz na bardzo długo, jeśli nie na zawsze. Świetłow dobrał sobie po raz wtóry taką ilość ludzi, jak za pierwszym razem. Około połowy całego oddziału i to najlepsze siły poszły z nim, pozostali pod dowództwem kapitana Romancewa mieli pójść na Białoruś. Do nich przyłączył się też oddział podpułkownika Nowikowa, który znajdował się w okolicy.

Zina rozstała się z siostrą i szwagrem. Czuła się teraz trochę swobodniej, niż przed dwoma dniami, gdyż więcej kobiet z nimi jechało: trzy radiotelegrafistki, Zida, Marina i Anna oraz jej pomocnica — Luba. Wszyscy byli przygotowani na poważne zadanie, ale jechali bez obawy. Ubrani byli w ciepłe buty i futra. Co chwila ocierali spływający z czoła pot, gdyż luty był ciepły. Pachniał wiosną. Śnieg stopniał i gdzieniegdzie wyglądał spod niego mech i czarna ziemia. Kilku konnych wywiadowców utrzymywało bezustanny kontakt ze sztabem i żołnierzami, którzy musieli rozbić regularny szereg i przedzierać się wśród drzew. Szli dniem i nocą. Mieli przekroczyć linie kolejową i minąć stacyjkę Małyńsk, by móc posuwać się dalej wołyńskimi lasami. Już byli tylko parę kilometrów od toru, gdy dano znać, że Niemcy stacjonują w Małyńsku. Zachowywano daleko idącą ostrożność i unikano jakiegokolwiek hałasu. Noc i cisza. Tylko czasami uderzenie karabinu o drzewo, zderzenie się dwóch automatów lub zakołysanie wozu na wystającym korzeniu ją przerywało. Pozatym słychać było ciągle uderzanie kopyt o ziemię. Koniki biegały tam i spowrotem i jeźdźcy przekazywali rozkazy. — Peredajtie po kołonie! Szyryj szag! Wyrawniat' kołonu! — Szli dalej szybko i uważnie. Wywiadowcy doszli do skraju lasu i ujrzeli przed sobą o parę metrów stacje i straż niemiecką. Za nimi szumiał młody świerkowy las. Ciepły wiatr, który się niedawno zerwał i wilgotnym oddechem pieścił surowe rysy żołnierzy, przyniósł im nagle z oddali turkot pociągu. W lesie jeszcze go nie usłyszano. Znów jeździec na koniu przeleciał i rzucił: — Zadierżat' kołonu! Nabliudat' s lewej storony! — Byli prawie u skraju lasu. Nagle usłyszeli rozkaz: „padnij" i wszyscy rzucili się na ziemię. Pociąg w tej chwili ze świstem zajechał na stację. Padło kilka niemieckich głosów i z przedziałów wyskoczyło wielu niemieckich oficerów w galowych mundurach i białych rękawiczkach. Światło latarni wyraźnie ich oświetlało. Pociąg po kilkunastu minutach odjechał. Moskwiczanin, dowódca wywiadu, zdał raport komendantowi. Dokładnie zdołał obliczyć wysiadających. Było ich stu osiemdziesięciu pięciu. Zasalutował i poszedł po raz wtóry na sam skraj drzew. Wtym któryś nieostrożnie zawadził o ścięte, stojące drzewo, które powaliło się z trzaskiem łamiących gałęzi. Niemcy, jak zelektryzowani, natychmiast otworzyli ogień na las. Tymczasem blady świt zaczął się coraz bardziej rozjaśniać. Ale widok był przesłonięty. Dym i proch okropnie dusiły. Warkot karabinów maszynowych ogłuszał i stawał się wprost jakąś materialną substancją, zalewającą uszy i mózgi. Zina leżała obok doktora i Luby. — Niebezpieczna sytuacja. Trzymaj się stale mnie, — zdołał jej szepnąć, gdy komenda — naprzód — poderwała wszystkich. Rzucili się w bój z dzikim okrzykiem: Hurra! Za rodinu! Za Stalina! — Zina straciła Cyrkina z oczu. Runęli naprzód na szyny, na polane, na ziejące śmiercią karabiny maszynowe. Złamali linie Niemców, rozbili ją. Padł rozkaz: Strzelać! — Strzelano na odległość dwóch metrów z karabinów i pistoletów, rozstrzaskiwano pruskie czaszki w walce wręcz kolbami, rękami chwytano za gardła, by je za chwilę dusić butami i dobijać bagnetem. Niemcy stracili głowę. Ogarnęła ich okropna panika Wtym wśród tego piekła i kłębowiska broczących krwią ciał usłyszała Zina krzyk: Zina, Hose ranny! — Oderwała się od walczących i schowawszy pistolet, wróciła w kierunku lasu, skąd usłyszała jęki. Paru żołnierzy z oddziału Nowikowa w tej liczbie lekarz, pomogło jej dźwigać rannego w pierś Hiszpana. Z uszu i nosa ciekła mu krew. Zsunęli się wraz z nim ostrożnie z pagórka i weszli pomiędzy drzewa. Lekarz rozerwał mu szynel i zgrubsza opatrzył ranę. Potym Zina z żołnierzami przeniosła rannego do sztabu. Świetłow był zadowolony z niej, a jeszcze bardziej z przebiegu walki, która już nie pozostawiała żadnej wątpliwości, na czyją stronę przechyli się szala zwycięstwa. Poklepał ją po ramieniu, a gdy spytała, czy pozwoli jej iść naprzód w stronę walczących, odpowiedział ze śmiechem: — Horoszo! Tolko snimi etot biełyj płatoczek. — Rozbici Niemcy cofali się coraz bardziej. Z nieustającym: hurra! — pędzili ich żołnierze w zamykające polanę i oddzielające ją od przeciwległego lasu bagno, w które zapadali się i gdzie zostali wystrzelani do jednego.

(Dalszy ciąg na str. 20-ej)

M. Gildenman („Diadia Misza")

DAWID z JUREWICZ

— Swat nie brat! Mróz przenika każdą kostkę i żyłę, jak chrzan, który moja babcia Mina przygotowywała na każdą sobotę.

Mówiąc te słowa, Dawid oparł o drzewo swoją rosyjską wintówkę z nasadzonym ostrym bagnetem, wyciągnął sine, zmarznięte ręce i ogrzewał je nad białym partyzanckim ogniskiem. Z uśmiechniętym spojrzeniem przeliczył siedzących dookoła ogniska partyzantów i dodał rozkazującym tonem:

— Wszyscy są — możemy się szykować w drogę.

Do ogniska podszedł wysoki młodzieniec, obładowany paką szmat, z szyi zwisała miara krawiecka, a w klapach marynarki tkwiły dwie igły, jedna z długą białą nitką, a druga z czarną. Był to krawiec Abram z Witebska.

— Tak oto, wyjaśnię wam, jakie przed sobą macie zadanie — zwróciłem się do zebranych. Partyzanci dokładali stale suche wicie do ognia i przysunęli się bliżej do mnie.

— Towarzysze — rozpocząłem — otrzymaliśmy z Moskwy radiogram, że pociąg pancerny, składający się z 25-ciu wagonów, ma przyjechać do Kurska z grupą kilkuset niemieckich młodych lotników, którzy niedawno ukończyli szkołę lotniczą w Monachium. Obecnie jadą oni do Kurska celem przejęcia samolotów. Wczoraj rano pociąg przejechał przez Proskurów, w nocy przez Szepietówkę, a dziś po północy lub z rana przejedzie przez Siemigorod.

Na odcinku Siemigorod — Czoprowice pociąg musi naskoczyć na minę, którą wy podłożycie. Musicie wiedzieć, że podobny telegram otrzymał oddział partyzancki p. n. „25 lat Ukrainy". „Sitowcy", jak również i inne oddziały będą się znajdować w lasach wzdłuż linii kolejowej Szepietówka — Czernichów. Pociąg ten napewno nie dojdzie do frontu. Lecz nasza ambicja i nasz honor narodowy wymagają, aby tych kilkuset młodych niemieckich zbrodniarzy padło od miny, którą podłożą właśnie żydowscy partyzanci.

Partyzanci siedzieli z poważnymi minami i zapatrzeni na żarzący się ogień. W krótce zapadła zimowa noc. Niektórzy dorzucili do ognia kilka sosnowych gałęzi, które z trzaskiem rzucały jasne światło na stuletnie sosny, stojące dookoła z pochylonymi konarami, pokrytymi grubą warstwą śniegu.

Dawid z Jurewicz zakręcił papierosa w kawałku niemieckiej gazety, wyjął z ognia palącą się gałązkę i zapalił. Zaciągnął się, a na jego dotychczas poważnej twarzy ukazał się uśmiech.

Splunął w stronę i zwrócił się do towarzyszy:

— Czemu siedzicie, jak w rosole? Pamiętajcie, że dziś jest wigilia święta Purym. Czy któryś z was mógłby kiedyś pomyśleć, że Dawid z Jurewicz, Dawid „bałaguła", będzie w święto siedział w lesie, obwieszony granatami jak rozbójnik leśny, i szykować się będzie do wysadzenia pociągu z niemieckimi lotnikami.

Nagle sposępniał i patrząc się w jeden punkt, zaczął mówić jakby do siebie:

— Jak żywy, stoi teraz przede mną mój ojciec w atłasowej kapocie.

Wracamy obaj z Bat - Hamidraszu. W domu jest jasno i czysto, pachnie z każdego kąta. Stół nakryty śnieżno - białym obrusem, a na nim palą się świece w błyszczących mosiężnych świecznikach. Stół jest bogato zastawiony tradycyjnymi smakołykami, kołacz, karpie i pełna miska kompotu.

— Moja Sara, jak królewska córa, odziana w biały fartuszek i chustkę na głowie, z której wystawały jej czarne loki kędzieżawe... Oto siedzi ona przy stole, na moich kolanach siedzą moje kochane dzieciaki...

Tu Dawid zamilkł i westchnął głęboko.

— Wszystkich Niemcy wymordowali, wszystkich...

Przy tych słowach odrzuca niedopalony papieros do ognia i z zaciśniętymi pięściami woła:

— Zemsta! Żydzi — musimy się zemścić! Za każdą kroplę krwi żydowskiej — Zemsta!

Milczenie zapanowało dookoła. Słychać tylko było trzeszczenie suchych gałązek, a od czasu do czasu głuche wycie wilków.

— Ach, lepiej nie myśleć o tym — dodał Dawid po dłuższej przerwie. — Mówmy lepiej o weselszych sprawach... Idziemy więc wysadzić w powietrze pociąg pancerny. Wyobrażam sobie, jak w tych ciepłych wagonach siedzą sobie wypasione, czysto ogolone Niemczury, nawet wesz im nie dokucza. W uszach dźwięczą im jeszcze pożegnalne słowa ich protektorów. Jadą do Kurska przejąć samoloty... Oni, śmieli, odważni — wsiądą do stalowych ptaków, zaopatrzonych na ścianach czarnymi krzyżami, polecą na Moskwę i rzucą na nią grad bomb. Rozbiją „Rusa". Oni widzą już na swych mundurach odznaki. A potem rosyjska dziewoja, trofea wojenne — tak myślą sobie niemieccy lotnicy, siedzący w dekorowanych wagonach, popijając francuskie wino do ukraińskiej przekąski.

— Tu jest wysoki nasyp, pod tym torem podłożę minę — myśli sobie Dawid—woźnica, cały oblany potem po 30-to kilometrowym marszu z 12-kilogramową miną na plecach...

Jak kot Dawid wdrapuje się na nasyp, podkłada minę i po kilku minutach zczołgał się kilkaset metrów do tyłu i przywarł do sznura, którego drugi koniec przywiązany jest do bezpiecznika przy minie. Z bijącym sercem czeka na nadjeżdżający pociąg... Minuta to rok..: leży i duma::: i jest o czym :.. Szmat życia przeżył, ciężko harował, ale uczciwie zarabiał na chleb... Pięć lat przed wojną ożenił się. Urodziły mu się dzieciaki, jak aniołki... Starał się, żeby w domu był dostatek, nawet staremu ojcu nie pozwolił pracować. I tak przechodził rok za rokiem. Były radości, były też i kłopoty... Myślał o wychowaniu dzieci, o budowie nowej chaty, nowej stajni dla koni.... szmat życia przeżył, a potem okazało się, że wszystkie plany były niczym...

Dawid usłyszał wycie szyn, a po chwili ukazały się dalekie światełka lokomotywy, które z każdą sekundą zbliżają się i stają się wyraźniejsze.

Z zapartym tchem czeka na nadejście pociągu... Z nadwyrężenia czuje szum w skroniach, słyszy bicie własnego serca..: Pociąg już blisko, słychać już turkot kół i ciężkie sapanie lokomotywy...

Już jest na miejscu, gdzie podłożył minę... Dłużej czekać nie wolno. Dawid silnie pociąga za sznur... Nagle dał się słyszeć ogłuszający huk, który odbija się kilkakrotnym echem wzdłuż lasu. Odrazu po pierwszym huku słychać łomot wagonów, wpadających na siebie i roztrzaskujących się jak pudełka od zapałek. Raz po raz wybucha amunicja, znajdująca się w wagonach. Wali, trzaska pali się i strzela, przyjemność poprostu przysłuchiwać się tej symfonii. Lecz nie wolno pozostać tu dłużej — zaraz zacznie się ostrzeliwanie z lasu, a może i obława.

— Chewra — cofnąć się — rozkazuje Dawid.

Nazajutrz wieczorem przybył Dawid ze swoją grupą. Nikogo nie brakowało, wszyscy byli zdrowi. Dawid stanął przed Diadią Miszą i zaraportował:

— Zadanie wypełniłem: Pociąg pancerny wysadzony w powietrze, wagony zostały rozbite, 333-ch niemieckich lotników zginęło, a reszta została bez rąk i bez nóg. Linia została przerwana conajmniej na 10 dni.

Partyzanci tak byli przejęci sprawozdaniem Dawida, że jeszcze po ukończeniu opowiadania długo siedzieli w milczeniu. Poprzednia powaga znikła z ich twarzy, a w serca ich wstąpiła śmiałość, odwaga i nadzieja.

— Towarzysze, czas w drogę — nakazał Dawid.

Poczem wskazał ręką na skrzynkę z miną, która leżała u jego stóp i zwrócił się do Motka z Bereźnia:

— Przywiąż mi ten „Szlach munes" do pleców, tylko tak, aby mi się barki nie kaleczyły. Gotowe. możemy iść.

Partyzanci zaczęli się żegnać z pozostałymi towarzyszami.

— Idźcie zdrowo i wracajcie zdrowo.

Tymi słowami żegnał się Dawid z grupą towarzyszy którzy ruszyli w innym kierunku, aby mścić honor narodu żydowskiego. Pojedyńczo, jak cienie, posuwali się wzdłuż ścieżki i szybko zniknęli, jakby wsiąkli w ciemność nocy.

Bitwa, którą stoczył nasz lud...

Nie nadszedł jeszcze czas dla opowiedzenia pełnej historii bitwy o Jerozolimę. Z dwóch względów. Pokój jeszcze nie został zawarty, a władze wojskowe nalegają, aby niektóre fakty pozostały jeszcze wciąż nieujawnione — powiedział nam aluf (pułkownik) Dawid Szaltiel, który dowodził obroną Jerozolimy w okresie od lutego do sierpnia.

Rzeczą nader ważną, a mało dotychczas znaną jest fakt, że bitwa była toczona nie tylko o Jerozolimę i w Jerozolimie, lecz również przez ludność Jerozolimy.

„Świat wie, jak mężnie ludność cywilna Jerozolimy znosiła trudności i wyrzeczenia w czasie obrony. Mało komu znany jest natomiast fakt, że lwią część walczących stanowili sami Jerozolimczycy, począwszy od dziewcząt i chłopców — dzieci prawie jeszcze — a kończąc na mężczyznach, którzy już dawno przekroczyli normalny wiek przydatności do służby wojskowej.

„Rzeczywiście — dowództwo wojskowe Jerozolimy musiało zlekceważyć jedno z kardynalnych praw psychologicznych wojny, że żołnierze nie powinni walczyć u progów własnych domostw“.

„Nie było żadnej możliwości zastąpienia mężczyzn z Jerozolimy żołnierzami z innych części kraju. We wielu wypadkach musieliśmy wzywać ich z ich domów i stawiać na pozycjach, z których wystrzały docierały do uszu ich żon i dzieci. Rodziny wiedziały o tym, a co gorsze, oni wiedzieli, że rodziny o tym wiedzą. Było chyba dość strasznym dla żon przysłuchiwać się wrzawie pobliskiego frontu, na którym, jak wiedziały, walczyli ich mężowie i synowie. Lecz niewymownie okropniejszym było dla mężczyzn na froncie słuchać huku pocisków, wybuchających koło ich domów, i pozostawać na pozycji, gdy każdy nerw targał ich i wzywał do śpieszenia z pomocą zagrożonej rodzinie.

JEROZOLIMA BRONIŁA SIĘ OSAMOTNIONA

— Jaki był najkrytyczniejszy okres pańskiego dowództwa?

— Okres, poprzedzający rozpoczęcie faktycznych walk. Gdy powierzono mi obronę Jerozolimy, miałem 90 dni — do 15 maja — dla przygotowania obrony. Mieliśmy jednak pod sobą prawie stutysięczną ludność. Trzeba było w gorączkowym pośpiechu prostować i zmieniać plany strategiczne, aby zapewnić ochronę życia ludności. Zaopatrzenie jej w żywność i schrony musiało zostać włączone do rozważań wojskowych. Musieliśmy wszystkie nasze przygotowania czynić w ukryciu.

„Walki o Jerozolimę nie czekały na swój początek do 15 maja. Wybuchły one już 30 listopada 1947, kiedy to motłoch arabski rozpoczął burzycielską akcję na Princess Mary Avenue. Z biegiem czasu przybierała ona ciągle na sile. Nawet akcję na większą skalę, jak zdobycie Katomonu, poprzedził już pełny bieg wydarzeń.

„Ułożyliśmy nasze plany i zaraportowaliśmy nasze zapotrzebowanie w ludziach, broni i amunicji kompetentnym władzom w Tel-Awiwie. Dysponowano wówczas zaledwie małym odsetkiem tego, co dla nas było konieczne. Nie było nawet z czym wystąpić. Lecz nawet z tych znikomych zasobów, które nam wydzielono, tylko część doszła do Jerozolimy, ponieważ komunikacja z wybrzeża do miasta stawała się z każdym dniem niebezpieczniejsza.

„Do największych trudności należała dostawa żywności. Na początku marca stwierdziliśmy, że zapasy żywności w mieście mogą wystarczyć wszystkiego na trzy tygodnie. Chcąc sprowadzić żywność, na trzy miesiące, trzeba by było dwóch pełnych miesięcy, jeżelibyśmy przywozili codziennie po 80 wozów. Nie mieliśmy wówczas do naszej dyspozycji 80 wozów, a nawet gdybyśmy je mieli, konwoje przestały dochodzić do Jerozolimy już długo przed 15 maja.

„To samo działo się z dostawami wojskowymi. W pewnym czasie 30 dział ostrzeliwało żydowską część Jerozolimy. Wiadomo było, jakie mieliśmy gatunki broni dla „uspokojenia“ tych dział. Eksperci wojskowi z całego świata uśmieliby się, gdybyśmy im teraz powiedzieli, jakimi środkami musieliśmy to czynić.

Nieliczne działa, którymi dysponowaliśmy, były ciągle przenoszone z jednego miejsca największego zagrożenia do drugiego, przerzucane dla wypełnienia najbardziej palących zadań. Gdy nie dążyły jeszcze sprawić się należycie na jednym punkcie, już nadchodziły naglące wezwania skądinąd.

„W czym odczuwało się większy brak: w zaopatrzeniu, czy w ludziach?

„Brak obydwu dawał się bardzo dotkliwie we znaki, lecz problem ludzi był najbardziej palący. Hagana nie była zbyt silna w Jerozolimie. Była poza tym bardzo słaba więź pomiędzy różnymi odłamami ludności.

Gdy 1 maja wydałem pierwszy rozkaz o generalnej mobilizacji, oskarżono mnie o zbyt raptowne poderwanie życia ekonomicznego miasta i sianie zamętu. Gdy dr Joseph umotywował ten krok jako przewodniczący Komitetu Specjalnego, sprawa przyjęła inny bieg.

„Pierwsze pociski, które eksplodowały na ulicach Jerozolimy, rozbudziły czujność ludności i uświadomiły ją o niebezpieczeństwie. Wówczas też zmieniła się jej postawa. Jerozolima stała się miastem bojowników, których bronią były nieraz jedynie gołe ręce. Przybywali oni z ulicy, z biur, z placówek pracy, w końcu nawet z jeszybotów. Wstępowali do oddziałów „Hagany“ i do „Miszmar Haam“ (Straż Obywatelska). Pomoc, jaką „Miszmar Haam“ okazał siłom wojskowym, była olbrzymia, szczególnie jeżeli chodzi o utrzymanie porządku w mieście i organizowanie robót fortyfikacyjnych.

PLANY STRATEGICZNE

Pytamy się alufa Szaltiela, jakie były główne strategiczne punkty obrony miasta.

„Aż do chwili zawieszenia broni mieliśmy trzy główne cele strategiczne. Mieliśmy zająć strefy brytyjskie, włączając „Bevingrad“ w centrze miasta, w chwili, gdy opuszczą je Brytyjczycy. Musieliśmy nawiązać łączność z Żydami, znajdującymi się w Starym Mieście. Przede wszystkim musieliśmy zabezpieczyć żydowską Jerozolimę przed arabską inwazją z północy i południa. W dodatku mieliśmy wciągnąć w akcję Legion Arabski, aby odciążyć pozostałe odcinki frontu w kraju.

„Gdyby „Bevingrad“ lub jakaś inna ze stref angielskich wpadła w ręce Arabów, sytuacja stałaby się krytyczna. Śledziliśmy bardzo czujnie choć potajemnie każde poruszenie Anglików i specjalne oddziały były utrzymywane w ciągłej gotowości do natychmiastowego zajęcia tych obszarów, gdy nadarzy się pierwsza odpowiednia chwila. Okupacja ich okazała się o wiele łatwiejsza, aniżeli to się nam wydawało. Usiłowania arabów przeniknięcia do tej części miasta były bardzo słabe. W tej operacji zdobyte zostało Szcik Dżarra, które niestety później musieliśmy opuścić wraz z Uniwersytetem Hebrajskim i szpitalem Hadasa, które były izolowanymi żydowskimi pozycjami wśród zajętego przez Arabów terytorium.

HEROICZNA OBRONA ETZIONU

Aby jak najdłużej powstrzymywać falę nacierających z południa i północy Arabów i nie dopuścić do połączenia się ich sił, postanowiono utrzymywać wysunięte przedpolne pozycje Nwej-Jaakow w Atarot, na drodze z Jerozolimy do Ramalli i Kfar Etzion na drodze do Hebronu. Jasnym było od pierwszej chwili, że było to przedsięwzięcie desperackie, lecz konieczne. Każda godzina, każdy dzień ich oporu miały decydującą wagę, dając nam więcej czasu na rozbudowę obrony w mieście.

„Bohaterska obrona Etzionu przeszła do historii. Żadna pochwała nie będzie dostateczna dla walorów duchowych ludności tych czterech osiedli, która wespół z towarzyszami z Hagany i Palmachu pod dowództwem niezapomnianego „Mosz“ walczyła do ostatniej chwili z niewiarygodnie przewyższającymi ją liczebnie masami. Wielu wśród obrońców, w tej liczbie i Mosz, oddali w tej nierównej walce życie. Opór, stawiany przez Kfar Etzion, przyczynił się najbardziej do obrony Jerozolimy“.

STARE MIASTO

Przechodząc do omówienia bojów o Stare Miasto, aluf Szaltiel przypomina, że na początku działań nieprzyjacielskich wpłynęła ze strony Arabów propozycja popierana przez Brytyjczyków, w myśl której bezpieczeństwo ludności żydowskiej w Starym Mieście miało być zagwarantowane pod warunkiem, że oddziały Hagany zostaną wycofane.

Propozycję tę odrzucono. Abstrahując już od tego, że nie można było zbytnio ufać arabsko-brytyjskim obietnicom tego rodzaju, nie mogliśmy zrezygnować z naszych pozycji w Starym Mieście. Była dość poważna szansa zajęcia pozycji, utrzymywanych przez Arabów pomiędzy Nowym a Starym Miastem i włączenia ich do naszego obszaru władania. Sukces natarcia na bramę Syjońską dowiódł, że nie był to czczy optymizm. Siły Hagany były zdolne do otwarcia wrót, wtargnięcia do tej dzielnicy i wprowadzenia zarówno posiłków jak i żywności. Nie mogliśmy się długo opierać, ponieważ siłami Palmachu, przydzielonymi do tej operacji, mogliśmy dysponować tylko przez ograniczony czas. Po ich wycofaniu się dzielnica Starego Miasta pozostała nadal izolowana, gdyż nasze siły nie były wystarczające dla zajęcia pozycji arabskich między bramą Syjońską a dzielnicą żydowską.

„Stare miasto było heroicznie bronione i prawie wyłącznie przez ludność jerozolimską. Posiłki, wprowadzone do boju przez bramę Syjońską, składały się z bardzo młodych chłopców i mężczyzn w średnim wieku, nie mających żadnego wyszkolenia wojskowego. Ci ostatni walczyli dobrze dopóty, dopóki stało ludzi i amunicji. Obrona Starego Miasta jest jednym z najchwalebniejszych rozdziałów w historii tej wojny.

REASUMCJA

„Nie mogliśmy osiągnąć wszystkich wytkniętych przez nas celów — konkluduje aluf Szaltiel — lecz osiągnęliśmy najważniejszy. Atakowana przez wielokrotnie przewyższające ją liczebnie i technicznie siły nieprzyjacielskie, wspomagane przez ciężką artylerię, której my w fazie początkowej zupełnie nie mieliśmy, broniąc miasta, które było odosobnioną wyspą wśród morza terytorium nieprzyjacielskiego, ludność Jerozolimy utrzymała nieugięcie swoją pozycję. Przemogła głód i brak wody. Walczyła, będąc pozbawiona elektryczności i opału. Była odcięta od reszty kraju i świata. Na nic się zdało bombardowanie, które nie miało żadnego uzasadnienia taktycznego, a przez które wróg zamierzał jedynie załamać morale ludności. Jeżeli wróg miał jakieś nadzieje na zajęcie żydowskiej Jerozolimy, gorzko się rozczarował. Gdy drugi rozkaz Organizacji Narodów Zjednoczonych o zawieszeniu broni położył koniec walkom, nasz obszar posiadania wzrósł znacznie, obejmując już wszystkie peryferie miasta i mogliśmy już zażegnać niebezpieczeństwo ponownej napaści“.

Pamięci Cwi Mangla

Kiedyś w wieczór sederowy Cwi zadawał ojcu „arba kaszot“. Śpiewał pięknym, chłopięcym głosem „hadgadje“, kończąc z nabożeństwem: „B'szana haba b'Jeruszalajim“!

Stół nakrywano tradycyjnie, paliły się świece nadziei odwiecznej w rzeźbionych świecznikach, migocząc odblaskami srebra w oczach wszystkich. Potem spano tak smacznie! sny były piękne i dobre: o Elijachu proroku, co błogosławi żydowskim dzieciom, o plackach świątecznych, o wiośnie... Ale to było bardzo dawno. Widzisz, zmieniło się nagle wszystko. I w nas i dokoła.

— To z Izraela powiał wiatr żałoby...

Cwi nie będzie zadawał więcej swoich kaszot i nie jest już takim małym chłopczykiem, jak kiedyś.

A ja uparcie widzę Go wciąż takim. Może jest to psychoza świąt i wspomnień. Był pięknym dzieckiem o włosach koloru starego złota. Przepadał za końmi i chciał „koniecznie mieć właśnie konia“.

Wojna łączy z Jego chłopięcą, tak bardzo drogą postacią ogromnie dużo. Przeżyte dobro i zło wspólnie nas hartowało.

W ciszy wieczoru zrobionego z modlitwy i drgających cieni, rozsrebrza się kaskadą radości, tyle pieśni rosyjskich ile pomieścić może w sobie beztroskość i młodość. Cwi śpiewał!

Dziwnie jak wrosłam mocno w mą upartą wiarę, że Cwi wie o wszystkim co się u nas dzieje. Że On właśnie jest niewidzialnym stróżem naszych nocy i dni... Zaczerwienione są powieki matki i niemy ból czai się w jej oczach. Tyle życia i radości było w Tobie!

Ojciec Twój chciałby Cię chłopcze odwiedzić, ciężko mu i smutno, bez Ciebie. Choć tak daleko do Twojej ciszy i świata milczenia w Rechowot — on tam przybędzie.

A może Tam spełniły się Twoje dziecięce marzenia i dobry Bóg dał Ci pięknego konia, byś jeździł po niebie. Więc widzisz jak sen i marzenia prześnione za życia zmieniły w prawdę to coś nad życie ukochał! A może krew serdeczna, którą zrosiłeś gdzieś piaski Negewu wypisała słowa: To Jest Wartość Szczęścia!?

Chłopcze, coś jaśniej słońca w piersiach serce nosił, coś młot zamienił na stal karabinu, przybądź o szarej wieczornej godzinie i przychyl ciszy zbolałym powiekom.

Cwi Mangel liczył dwadzieścia dwa lata gdy padł w Negewie 10. XI. 48 roku. Pochodził ze starej, ortodoksyjnej rodziny. Był w prostej linii potomkiem czcigodnego rab. Hsam-Sofera, Schreibera, Kornitzera. Szedł w życiu prostą drogą, w piersi Jego biło prawdziwe żydowskie serce: mocne i sprawiedliwe. Nie szukał chwały ani kariery. Obowiązki nakładane nań wypełniał zawsze sumiennie. W rodzie swoim był pierwszym chalucem-żołnierzem, który walczył w Izraelu o wolność i honor narodu.

Drogowskazem nam będzie bezcenna ofiara życia Jego, złożona ojczyźnie.

W LASACH BIAŁORUSI

(Dokończenie ze str. 19-ej)

Po drodze Zina spotkała Cyrkina, prowadzącego rannego Bagrowa. Zina zaopiekowała się porucznikiem. Miał odcięte dwa palce przez kule dum-dum i krew z nich ciekła. Przewiązała mu ranę i oddawszy Riabcewowi, sama wróciła na plac boju. Ranni Niemcy kurczyli się w boleściach agonii, kopiąc i wpijając palce w wystającą spod śniegu ziemię. Jeden z nich zwinięty w kabłąk, wlókł za sobą swe własne trzewia, które pozostawiały na śniegu krwawe pasy. Drugi rzucał się obok żółtej masy mózgu, który mu wypłynął. Zielone mundury, zalane krwią i potratowane, zachowały tylko gdzieniegdzie czyste plamki. Zina, poślizgując się na szpiku kostnym i jelitach, schylała się do każdego i odbierała mu broń, medale i dokumenty. Jednej pomocy prosiliby może, gdyby mówić mogli... by ich podobijać. Zaniosła dokumenty i broń do sztabu. Bardzo się to spodobało komendantowi. Cyrkin spocony przewijał rany Hosemu i wychwalał cudowne wprost zwycięstwo i męstwo chłopców. Za zupełne wyniszczenie grupy Niemców zapłacili swietłowowcy dwoma rannymi i jednym zabitym. Ale nie było czasu na odpoczynek. Natychmiast ruszyli naprzód. Niektórzy nie zdążyli nawet obmyć rąk z krwi. Na drugi dzień, jak rój zwariowanych os, posypały się niemieckie samoloty nad Małyńsk. A tymczasem partyzanci wiele kilometrów już oddaleni wieźli zdobytą broń, amunicję i furmanki, pełne żywności, wymknąwszy się z zagrożonego przez mruczące bombowce koła. Ludzie byli śmiertelnie znużeni, szli drzemiąc. Marzyli o tym, by im pozwolono położyć się na topniejący śnieg, na błoto i wypocząć, ale maszerowali dalej. Nadomiar tego, zaczęło lać jak z cebra. Sprobuj maszerować w taką ulewę i z trudem wyciągać nogi z kitu glinianego błota.

Zina chowając głowę pod płachtę siedziała zmęczona obok rannych z Cyrkinem. Deszcz tymczasem przenikał wstrętną, lepką wilgocią; ciało krępowała przylepiająca się doń bielizna. Plusk padających kropel deszczu na liście drzew działał nasennie i nie zaprzestawał ani na chwilę swej melodii. Wtym nagle przygalopowali wywiadowcy i złożyli meldunek, że o półtora kilometra stąd rozbity jest drugi obóz, pośrodku którego stoją trzy polowe kuchnie i powiewa ukraińska chorągiew ze swastyką. Nie było wątpliwości, kogo mają przed sobą. Trudno było ocenić siły przeciwnika. Ledwo skończyli sprawozdanie, gdy skierowano na nich ogień z karabinów maszynowych. Widocznie dostrzegły ich czujki ukraińskie. Wszystkie wozy skręciły w prawo za drzewa, a żołnierze przylgnęli do ziemi. Tymczasem ukraińska bandla pluła na oślep ze swojej gajówki z automatów i kulomiotów. Deszcz i parujący las, zasłaniały partyzantów. W ciszy przebiegli las, starłszy po drodze strzelających wartowników i siłą impetu wpadli z krzykiem — hurra! — na placówkę ukraińską. Zina zostawiła ciężko rannego Hosego pod opieką Luby, a sama z Cyrkinem pobiegła jak i inni w bój. Każdy miał oprócz broni palnej w ręku wiązankę granatów, które były uwiązane u pasa. Pociemniało od dymu i bębenki uszu omal nie popękały od huku rozrywających się granatów. Zadyszani biegiem partyzanci, uniesieni tempem własnego pulsu, rzucili się do walk wręcz. Pierwszy wdarł się i szerzył spustoszenie młody Żyd z Moskwy, Grisza Lejbowicz. Zauważyli to Ukraińcy i otoczyli go kołem i już go mieli w ręku, gdy przyskoczył Sława i gwałtownym młynkiem automatu porozbijał im głowy. — Suka twoja mat', chachłak, ty nam Griszu ubit' chotieł? — I dobijał probujących wstać. Zaraz we dwójkę zabrali się ze wzmożoną wściekłością wykurzać zabarykadowanych w szałasach banderowców. Przyniesiono benzynę a gdy okazało się, że mało, dodali spirytusu i oblawszy nimi trzy sadyby, podpalili je. Widząc, co się dzieje, pozostali Ukraińcy powybiegali i ostrzeliwując się, zaczęli uciekać. Walczyli z zaciekłością, bo wiedzieli, jaki koniec ich czeka, gdy dostaną się w ręce sowieckie. Jeden z nich z przestrzeloną nogą widząc, że nie zdoła już zbiec, ostrzeliwał się, jak długo mógł. Gdy mu zabrakło kul, sam sobie poderżnął nożem gardło. Pędzono tych, co pozostali, pięć kilometrów od placu boju. Na miejscu wyłożono sto dwadzieścia trupów, z których każdy był uzbrojony po zęby i wypasły jak wieprz miał fioletowy fałd tłustego karku. Zina uwijała się koło pięciu rannych, z których młodemu moskwiczaninowi Koli Fiedejewowi należało natychmiast amputować nogę. Przy operacji asystował cały sztab wraz z Swietłowem. Gdy go uspokojono, tnąc bez narkozy wśród krzyków, poprosił, by go przyjąć na członka partii. Żołnierze tymczasem przetrząsnęli obóz i bogacili się zdobytym łupem. Na dwadzieścia pięć wozów załadowano drób, amunicję i broń wyciągniętą z osobno wybudowanego składu, a krowy i konie popędzono naprzód. Dopiero po ujściu paru kilometrów urządzono postój, zabezpieczywszy śpiących silną wartą. Spali jak nieżywi. Ni śnieg, ni mokre ubrania, ni mróz nocny, ni niezaspokojony z braku czasu głód nie mógł przezwyciężyć snu. Sen wrócił w swoje prawo i żołnierze korzystali z niego tak długo, jak długo im pozwolono.

Józef Rebhun

Moszeh Mazhir

We krwi zdobędziesz życie...




Z. Tołkaczew: „Napiętnowane"

„Przeszedłem obok ciebie, i ujrzałem cię, jak broczysz krwią..." — te słowa wyrzekł wielki prorok Jechezkiel do narodu izraelskiego. W rytuale żydowskim, który, z powodu bardzo wielu cenzur pradawnych pogromców Izraela, zachował liczne tradycje narodowe w zamaskowanej postaci, te słowa odnajdują się — akurat w Hagadzie, literackim tekście święta Pesach. Dramatyczne światło, bijące z tych słów, stawia przed oczy kilka zapomnianych prawd o starym znaczeniu Pesach i jego ceremonii w dziejach żydowskich.

I oto teraz znów przyszedł Nisan, miesiąc wiosny, ongi pierwszy miesiąc w roku żydowskim, miesiąc święta Pesach, które stanowiło wielokrotnie w naszych dziejach punkt wyjścia dla liczenia nowej ery. Jest teraz czternasty dzień miesiąca Nisan, drugiego roku od odrodzenia Państwa Izrael, szóstego roku od powstania w Warszawskim Getcie, 1818 roku od powstania Bar-Kochby, 1877 roku od upadku Masady i, jak liczy tradycja żydowska, 3401 roku od wyjścia Żydów z Egiptu. Te kilka dat i wiele innych, znaczących krwawy ślad długiej historii żydowskiej, połączone są ze sobą dziwnym łańcuchem bohaterstwa i pędu do wolności, który aż nadto usprawiedliwia hebrajską nazwę święta Pesach: „Zman Cheirutenu" — Święto Wyzwolenia. Ciągłość tego łańcucha była upamiętniona znamiennym zwyczajem Pesachowym. Za czasów starej niepodległości Państwa Izrael, Pesach był święcony na wolnym powietrzu, w nastroju jakiegoś stopu radości i namaszczenia, wesela i powagi. Z chwilą przejścia żydowskiej narodowej tradycji w podziemie galuthowego rytuału religijnego, wolny Pesach pasterskiego ludu zamienił się w Seder, uroczystą ceremonialną kolację z tekstem historyczno-artystycznym. Seder Pesachowy, po krótkim czasie zaczął tak bardzo odbijać od powszednich zwyczajów życia żydowskiego, że echa tej odrębności przedostały się do samej „Hagady" w postaci uwiecznionych zapytań dzieci, zdziwionych niezwykłością ceremonij.

Nikt z nas, obecnie dojrzałych ludzi, wracając myślą do dawnego Sederu, nie potrafi oprzeć się nawale przepięknych wspomnień dziecięcych, roztaczających przed stęsknioną fantazją ludzi zbolałych po klęsce lat wojny, czarowną wizję tych dawnych momentów...

...Stół był wielki, nakryty lśniąco białym obrusem i przyozdobiony świecami jarzącymi się w srebrnych świecznikach i szerokich kandelabrach. U góry stołu, przyodziany w powłóczystą białą szatę, spoczywał wpółsiedząco szeroko na łożu, ojciec, pełen dobrotliwej, świątecznej powagi.

Stremowany powagą chwili, z oczyma utkwionymi w mądre oblicze ojca, zaczynał dzieciak drżącym głosikiem: „Ma nisztana" — Dlaczego ta wieczerza jest tak inna od wszystkich innych wieczorów, że zawsze jakiekolwiek jemy pieczywo, a dziś tylko macę; że zawsze siedzimy jakbądź, a dziś rozparci, w pozycji leżącej... że dziś ta cała kolacja odbywa się z jakimś dziwnym ceremoniałem? A po zwyczajowych czterech pytaniach, zawisło w powietrzu jeszcze jedno: dlaczego nazywa się ten dzień „Świętem Wolności" i jaki związek ma ta nazwa z tym dziwnym ceremoniałem. Ale to pytanie nie widniało w tekście. Dowodem jednak, że musiało kiedyś istnieć i zostało pochłonięte przez jakieś dawne hamulce historii, było to że na nie przede wszystkim padała odpowiedź: „Awadim hajinu" — Byliśmy niewolnikami, ciemiężeni przez Faraonów, gdy wybiła dla nas godzina wolności, i w Pesach został zainaugurowany zryw narodu do wyzwolenia się z pęt niewoli, do zamienienia się z gromady niewolników w dumny naród wolnych ludzi.

A gdy byliśmy przed wiekami wolnymi synami narodu cieszącego się swobodą, stanowiliśmy naród starożytny o kulturze i obyczajowości wschodniej.

W owych czasach, uczty wyglądały inaczej niż dzisiejsze. Uczta ówczesna to nie było tylko zebranie ludzi jedzących i klepiących konwersację, ale ceremoniał towarzyski o bogatym scenariuszu literacko-artystycznym. Było to w owym czasie, gdy nie było jeszcze na świecie teatrów i filharmonii, filmów ani zwyczaju współczesnych akademii. Wówczas gdy nie było jeszcze krzeseł, tylko łoża, na których spoczywali ucztujący, nie było jeszcze herbaty i kawy, a starożytni wolni ludzie czcili okazję uczty za pomocą południowego trunku, wina. Zwyczaj biesiad literackich, o programie naukowo artystycznym był zresztą rozpowszechniony w całym starożytnym świecie. Poważny pomnik tego czcigodnego i pięknego zwyczaju starożytności, przekazał nam wielki filozof grecki Platon w swoim utworze: „Sympozjon" — „Uczta", opisie takiej uczty połączonej z dyskusją naukową i występami artystycznymi. Obecny żydowski Seder stanowi więc nic innego, jak utrwalony i zachowany scenariusz takiej uczty-akademii, poświęconej specjalnej okazji odrodzenia narodowego w momencie wyjścia Żydów z Egiptu.

Otóż, to jest ta właściwa odpowiedź na zapytania malca: „Dlaczego tak różny jest dzisiejszy wieczór od wszystkich pozostałych"?. — W oddaleniu od ojczyzny, najpierw w starożytności, potym w ciemnej nocy średniowiecza, wreszcie w rozrzuceniu galutowym czasów nowożytnych, Żydzi, pod naciskiem życia, przybierali wszędzie zwyczaje narodów okolicznych i, poza kręgiem ceremoniałów religijnych, nie śmieli okazywać zanadto swojej odrębności narodowej. Ale raz do roku w dzień Święta Wolności, zrzucali z siebie narzuconą szatę wieków i oddalenia, i przybierali postacie swoich dalekich przodków. Przy stołach sederowych stały zamiast krzeseł, łoża; modną odzież przykrywała powłóczysta biała szata, a uczta, z gromadnej kolacji europejskiej, przeistaczała się z powrotem w żywą rekonstrukcję starożytnego zwyczaju, włącznie z wyparciem zwykłego chleba, przez najstarożytniejszy chleb żydowski — macę, z piciem conajmniej czterech kielichów wina, jak przystało dla narodu południowego.

W atmosferze wyzwolenia z naleciałości wieków czczono dawny zwyczaj Sederem, czyli ucztą-akademią, poświęconą idei wyzwolenia narodowego, przyczym za kanwę literacką programu służył tekst Hagady.

Tekst literacki żydowskiego Sederu odprawianego obecnie w Izraelu, jest różny w każdym roku i w rozmaitych miejscowościach. Jest aktualizowany i pełen treści współczesnej. Dokładne badania historyczne wskazują, że i w starożytności Hagada stanowiła tylko ramy w które wplatało się aktualia. Niestety, z powodu nacisku dawnych okupacyjnych rzeczywistości, cenzurujących surowo wszelką śmielszą myśl, niektóre fragmenty tekstu Hagady pojawiły się w postaci zamaskowanej, kryjącej prawdziwą treść polityczną pod niewinną postacią religijnej anegdoty. Według tradycji przekazanej przez Talmud, dawny tekst Hagady rozpoczynał się od wspomnienia, poświęconego zrywowi wyzwolenia z Egiptu które nastąpiło, jak podaje Hagada: „mocarną dłonią, wzniesionym ramieniem". Jak widać został wyraźnie zaznaczony akcent walki. Tuż potym miało nastąpić wspomnienie początków narodu, za czasów patriarchy Abrahama. I tu niespodzianie znajdujemy w Hagadzie nagle wtrącony fragment, napozór rozrywający ciągłość i jednolitość tekstu.

— „Zdarzyło się, że w Bnei-Brak zebrali się Rabi Eliezer, Rabi Jehoszua, Rabi Eleazar ben Azariach, Rabi Akiba i Rabi Tarfon" którzy, wbrew zwyczajowi gromadnego, publicznego Sederu, zamknęli się na całą noc w odosobnieniu, nawet od uczniów. To niespodziane przerwanie tekstu wtrąceniem opowieści tak luźno związanej z resztą treści, objawia nam swoje tajemnice, gdy przypatrzymy się bliżej epoce w której to się działo i osobom biorącym udział w tym zebraniu. Pierwszy z wymienionych uczestników zebrania, Rabi Eliezer, z Modain, był blizkim krewnym bohatera narodowego Bar-Kochby i prorokiem jego powstania. Następni trzej uczeni stanowili filary opozycji przeciwko ówczesnemu Nassi, księciurektorowi, którym był despotyczny Raban Gamliel II. Rabi Jehoszua pierwszy wpadł w otwarty konflikt z Nassi'm. Gdy konflikt przybrał na sile, doszło do otwartego buntu. Opozycja wzięła na krótki czas górę. Stary książę, bogaty i arystokratyczny potomek rodu królewskiego, Gamliel II został złożony z urzędu, a nowym Nassi'm został obrany, trzeci z zebranych w Bnei-Brak, Rabi Eleazar Ben Azariach, wówczas ośmnastoletni młodzieniec. Za nim stali jednak, rzecz charakterystyczna, dla podkreślenia, tła społecznego, Rabi Jehoszua, z zawodu wyrobnik, i czwarty z zebranych w Bnei-Brak, pochodący z nizin społecznych, Rabi Akiba. Ten wielki mędrzec, w młodości pastuch, cieszył się tak niezwykłym autorytetem w świecie żydowskim, że Talmud porównuje go odważnie do Mojżesza. Porównanie to nabiera życia, gdy uprzytomnić sobie, że wielki Rabi Akiba był głównym duchownym i czynnym współpracownikiem bohatera żydowskiego Bar-Kochby, którego rabi Akiba publicznie obwołał wodzem narodu. Charakter zebrania zaczyna zarysowywać się wyraźniej, jako posiedzenie konspiracyjne w okresie przygotowywania powstania Bar-Kochby, jako zjazd który miał odegrać pewną rolę w szykowaniu duchowego zrywu narodu do wolności. To były prawdobodobnie motywy dla których krótka i zakapturzona opowieść o zjeździe w Bnei-Brak zasłużyła na umieszczenie na czołowym miejscu tekstu Hagady, poświęconej Świętu Wolności.

W dalszym ciągu Hagady ujawniają się w niej akcenty, które w znamienny sposób uwydatniają zagubiony sens historyczny, jaki miało święto Wyzwolenia w różnych epokach. „W każdym pokoleniu powstają prześladowcy, którzy chcą nas zniszczyć" — brzmi już prawie jak fragment z burzliwych obrad pięciu mędrców w noc pesachową. A nad wszystkim góruje motyw walki, ukryty pod formą aluzji do przelewanej krwi. „Przeszedłem" — cytują mędrcy Hagady słowa proroka Jechezkiela, — „i ujrzałem cię, jak broczysz krwią. I zawołałem: Bedamaich chaji, bedamaich chai! — będziesz żyć broczące we krwi, krwią zdobędziesz życie!". Opowieść zmienia rytm, zatrąca o dawne dzieje żydowskie, ale główny motyw, na którym prawdopodobnie zależało tym którzy stworzyli Hagadę jako głos otuchy i nawoływań do walki, powtarza się ciągle w różnych odmianach.

„A z Egiptu zostaliśmy wyzwoleni mocarną dłonią, zbrojnym ramieniem, w grozie i cudownymi czynami" — rabini nie chcą pozostawić wątpliwości co do charakteru cudów. „Cudowne czyny" — dodaje autor Hagady, — „to krew". Czyżby to była aluzja do trwającej jeszcze wówczas dalekiej tradycji, że za legendą o dziesięciu plagach egipskich kryje się podanie o walce zbrojnej? Jak naród sponiewierany wyzwolił się z niewoli mocarstwa, które ścigało go aż do morza? — Plagami, które rozpoczynają się od plagi „krew", a kończą się na pladze „zagłada pierworodnych", a więc elity egipskiej, i w reszcie kompletnym zniszczeniem ścigającej armii egipskiej w odmętach morskich. Najstarsza pieśń hebrajska, która upamiętniła zryw wyzwolenia z Egiptu opiewa: „Śpiewam Bogu który okazał potęgę, rzucając do morza konnicę faraonów". Charakterystyczne: od tego starego słowa hebrajskiego „potęga" - „gaoch", poszło potem słowo „gaon" — duma, godność.

Zryw wyzwolenia z pierwszej niewoli uratował godność narodową Izraela. Nie dziw, że motyw zrywu powtarza się wielokrotnie w tekście Hagady, aby nagle streścić się w zakończeniu wyodrębnionym przez Hagadę z tekstu: „Krew, płomienie i kłęby dymu". Poprzez skorupę naleciałości wieków galutu, przybija się naraz żywa treść tego pradawnego święta bohaterstwa i swobody. Krew, ogień i słupy dymu — to był sztandar który powiewał wielokrotnie w dziejach żydowskich nad momentami walki o godność narodową. Pierwszy raz gdy naród niewolników zamieniał się w naród ludzi wolnych. A był to czternasty dzień miesiąca wiosny. W tym że dniu po wiekach, w trzy lata po zburzeniu Jerozolimy przez rzymską przemoc, padła ostatnia twierdza wolnego Izraela, Masada. Właściwie nie padła. Ale gdy mury twierdzy stanęły w ogniu, i z pierwszych domów Masady wzniosły się słupy dymów, na wezwanie komendanta twierdzy, bohaterskiego Eleazara ben Jaira, wszyscy mężczyźni pozabijali własne żony i dzieci, poczym odebrali sobie życie, przenosząc śmierć z własnych rąk nad niewolę.

Co przez to zyskali? — To samo, co potym bohaterowie ghetta warszawskiego, którzy w ten sam dzień wzniecili powstanie przeciwko niemcom. Nikt przytomny nie marzył o pokonaniu, rozlanej po całej Europie, czerni niemieckiej. Ale w ghetcie było nas tysiące, którzy z tchem zapartym z osłupiałego przerażenia, patrzyli miesiącami jak przez puste drogi dawnych ożywionych ulic żydowskich ciągnęły w głuchym milczeniu szeregi tysięcy z naszego ludu, idącego w milczeniu na śmierć. Dziki strach i wielowiekowy, pozbawiony złudzeń, nadmierny realizm żydowski, paraliżował każdy zryw oporu, który nie miał widoków sukcesu. Ale jednocześnie bolesne upokorzenie przygniatało do ziemi zbolałe czoła Żydów którzy, patrząc na bezbronny, zrezygnowany marsz ku śmierci swoich najbliższych, przeżywali palącą hańbę, poniżenia. Ileż razy wyciągały się w przestrzeń ręce, załamane od bólu, i z zaciśniętych rozpacznie ust wyrwały się grozą wiejące słowa starodawnego westchnienia modlitewnego: „stajemy się pośmiewiskiem wśród narodów, jak trzoda prowadzona na rzeź, zgubę, wyniszczenie i... hańbę!" — Gdzież jest mściciel naszej krzywdy, gdzie ktoś, ktoby przynajmniej uratował naszą godność?!

Aż przyszedł nowy Pesach roku 5702 i naród żydowski zerwał się, w osobach małej garstki młodzieńców-bohaterów, do nierównej walki. Ale walki nawiązującej do najwspanialszych tradycyj starodawnego i wielokrotnego święta Wyzwolenia Izraela, święta zrywu celem odzyskania godności narodowej. Buchnęły płomienie, w których zginęły ofiarnie tysiące Żydów, przenoszących śmierć w ogniu, nad oddanie się we wraże ręce europejskich „Kulturtraegerów"; wznosiły się kłęby dymów z palonych domostw żydowskich i polała się krew... Ale tym razem żydowska niewinna krew lejąca się dotychczas bezkarnie strugami, nabrała ceny. Kosztowała wiele sobaczej krwi niemieckich zbrodniarzy i — uratowała godność narodu żydowskiego wznoszącego z powrotem dumnie swoje oblicze wobec narodów świata. I nie upłynęło wiele czasu, gdy naród żydowski pokazał, że godność narodowa którą uratował za czasów Mojżesza, której bronił za Bar-Kochby, i która trwała dumnie za czasów Bohaterów Ghetta , jest siłą która potrafi mu zdobyć miejsce na świecie. W Pesach roku 5708 wykuwały się ostatnie plany obrony narodowego schronienia żydowskiego przed napuszczonymi przez zachłanny imperializm, półdzikimi hordami zaślepionych, ciemnych mas Wschodu idących ręka w rękę ze szczątkami hitlerowskich armii zbrodniarzy. Tym razem święto zrywu dumy narodowej szykowało rzeczywiste Wyzwolenie.

Pierwszy Pesach który potem nastąpił, tegoroczny „Zman Cheirutenu" — Święto Wolności, jest pierwszym w dziejach, w którym tracą aktualność słowa ze wstępu do Hagady: „W przyszłym roku bądźmy ludźmi wolnymi w Państwie Izraela". Nie w przyszłym, ale już w obecnym roku Pesach jest z powrotem świętem wolnego narodu. Albowiem spełniły się słowa proroka Jechezkiela: „Bedamaich chaji" — we krwi zdobędziesz życie.!

Żydóweczka znad Driny

(Dokończenie ze str. 16-ej)

kuchni z koszem pomarańcz, twarz jej i oczy promieniały wielką radością.

Upoił ja zapach owoców południowych, który przynosi nam pozdrowienie z dalekich, przedziwnych krajów. Ale nie tylko to podniecało Rikę. Przypomniała sobie jeszcze spojrzenie jakiegoś chorego, któremu krewniacy podczas odwiedzin dali kilka pomarańcz. Było to w jej ukochanym miasteczku, tam nad Driną. Dawno to było temu. Ona miała wtedy sześć, może siedem lat. Teraz stanęły przed nią jak żywe te oczy. Ileż było radości w oczach chorego na widok pomarańczy. Wyciągnął do nich obie ręce, wąchał je zapamiętale, wbijał paznokcie w ich skórkę, nie mogąc doczekać się, kiedy dotknie zębami ich czerwonego miąższu. Wtedy zakręciły się łzy w jej oczach.

Jak to też będzie teraz, najpóźniej za pół godziny, gdy jedną taką pomarańczę zaniesie swym towarzyszom niedoli. Ileż szczęścia zabłyśnie w ich oczach na widok tego wspaniałego owocu. Każdemu da po cząstce, a skórka niech sobie krąży z rąk do rąk, by każdy mógł się jej nawąchać do woli.

„Dziękuję, dobre dziecko, dziękuję — będą mówić ci ludzie, raczej te wychudzone szkielety. — Dzięki ci za odrobinę radości, za uśmiech, coś go zapaliła w naszych smutnych źrenicach, za jedno radosne drgnienie serca, dzięki ci, dobre dziewczę!" — Tak będą mówić ze wzruszeniem, serdecznie.

Rika miała oczy pełne smutku, pełne zachwytu i pełne radości.

Właśnie w tej chwili podeszła do stołu.

— Rika jest dziś milutka jak baranek.

— Ona jest zawsze taka — odparł zbir sucho i obojętnie.

— Ale dzisiaj szczególnie.

— Dalibóg! Przyjrzyjcie się jej tylko!

— Po cóż mam jej się przyglądać? — rzekł zbir obojętnie, zabierając się do przerwanego na chwilę obgryzania kości.

— Zaręczam ci, Jure, warto! Eh, gdyby dziś z rana była w tej grupie, nie mógłbym podnieść na nią ręki, gdyby nawet i sto razy była Żydówką. Poniechałbym jej.

— Poniechałbyś, powiadasz? — przedrzeźniał zbir.

— I ja też. — odezwał się inny.

— Hahaha! — rozległ się chichot. Zbój rzucił obgryzioną kość daleko w sad, poczem zawołał ostro, krótko:

— Riko!

Rika, Żydówka znad Driny, zwróciła się w stronę głosu. Oczy miała jeszcze pełne swej radości.

— Chodź tu!

Cóż potem się stało?

Dwie łapy gotowe do ruchu. Każdy ruch silny. Jedna ręka zakrzywionymi palcami zanurzyła się w bujne włosy dziewczynki, odciągnęła głowę do tyłu, a druga ze znawstwem trzymając sztylet zwinnie, spokojnie i na chłodno podrzynała jej gardło. Sztyletem przesunął z jednej strony w drugą, jak gdyby rozcinał melon.

Trysnęła krew.

— No, widzicie, że i ją można całkiem ładnie zarznąć! — rzekł spokojnie oprawca.

Przymknąłem oczy, rękoma je zacisnąłem, by nie patrzeć. Zdążyłem jednak zobaczyć, jak kilka kropli krwi Riki upadło na kromki białego chleba. I nic już więcej nie widziałem. Nie. Łżę, widziałem jeszcze, jak Rika, Żydóweczka znad Driny, upadła na ziemię i jak z koszyczka potoczyły się pomarańcze. I widziałem jeszcze, jak oprawca otarł sztylet o biały obrus i jak błysnęło ostrze niczem szczero-srebrne. Tym razem na obrusie pozostała duża plama.

Potem już nic więcej nie widziałem, choć wiele można było zobaczyć tego wieczoru i tej nocy w raju Jasenowca, gdyż był iluminowany jak nigdy dotąd. Każda żarówka w reflektorach jarzyła się niczem małe słońce. Moje motory pracowały z zawrotną szybkością, jak gdyby opanowane szaleństwem. Obawiałem się, by któreś z kółek nie porwało mnie albo żeby nie opasały mnie pasy transmisji niczem ogromne, złe żmije, syczące z wściekłości, oszalałe i rozjuszone.

Isak Samokovlija

IZRAEL W OBLICZU GIGANTYCZNYCH ZADAŃ

ZAGADNIENIE IMIGRACJI

„...I możliwe, że przechodzimy obecnie z epoki „wielkich czynów" — epoki heroizmu i zwycięstw armii, epoki tworzenia państwa, czynów, które zmieniły oblicze historii żydowskiej — do „małych czynów" — do epoki szarych codziennych usiłowań w budowaniu gospodarki kraju. W organizowaniu mechanizmu państwowego, budowie ekonomicznego gmachu naszego społeczeństwa nie będzie tak oszałamiającego blasku bohaterstwa, nie będzie bezpośrednio przemawiającego napięcia dramatycznej epopei. Będzie to wytrwała bezustanna praca: zakwaterowanie i przejęcie imigrantów, użyźnianie bezludnych dotychczas pustkowi, budowa fabryk i warsztatów, stworzenie komunikacji lądowej, morskiej i powietrznej, rozszerzenie sieci szkół, usprawnienie służby zdrowia, udoskonalenie systemu ubezpieczeń i zmobilizowanie kolosalnych środków na skalę dotychczas nieznaną przez nas, dla bezpieczeństwa, przyjęcia imigrantów i dla służenia państwu i narodowi.

Kto jednak myśli, że te „małe czyny" nie są równie ważne, jak „wielka epopea" — ten myli się. Stajemy obecnie przed wielką próbą organizatorską i gospodarczą ,której wyniki są dla nas tak samo ważne, jak wynik wojny. Lecz będzie to długa i uciążliwa wojna gospodarcza, której trudności pod wieloma względami może przewyższą zmagania orężne".

(Z przemówienia premiera Ben-Guriona w Zgromadzeniu Narodowym).

IMIGRACJA W ROKU 1950 WG POSZCZEGÓLNYCH KRAJÓW

Troska o imigrację nie odnosi się tylko do dnia dzisiejszego. Już obecnie musimy troszczyć się o przyszłe lata, a szczególnie o imigrację w roku 1950. Już teraz jasnym jest, że punkt ciężkości imigracji przerzuci się w roku 1950 na inne diaspory poza Europą. Pierwsze znamiona można dostrzec już dziś.

W Ameryce Północnej zorganizowano Urząd Izraelski. Daje się zauważyć znaczne ożywienie i zainteresowanie emigracją do Izraela, szczególnie wśród młodzieży i warstw średnich. Fala turystów, która wkrótce przybędzie do kraju, ma na celu zbadanie możliwości osiedlenia się tu na zawsze. Kilka tysięcy Żydów amerykańskich jeszcze w tym roku osiedli się w Izraelu i istnieje podstawa do przypuszczeń, że jeszcze w roku przyszłym będziemy świadkami amerykańskiej aliji nie w tysiącach, lecz w dziesiątkach tysięcy.

I żydostwo kanadyjskie i południowo-amerykańskie nurtuje pragnienie imigrowania do Izraela.

Wiadomości, nadchodzące z Południowej Afryki, również rokują wielkie nadzieje na imigrację tamtejszych Żydów.Znaczna imigracja spodziewana jest i z Australii.

W Anglii Urząd Palestyński rozszerzy swoją działalność. Do dnia dzisiejszego zapisało się już do aliji 4.300 Żydów. Nie są to tylko uchodźcy, lecz również Żydzi angielscy. W najbliższych trzech miesiącach przybędzie pierwszych 100 imigrantów z Anglii. Czyni się również starania, by położyć kres „spuściźnie angielskiej", która zakazywała imigracji ze wszystkich krajów, znajdujących się pod władzą brytyjską. Rozpoczęła się już imigracja z Bergen - Belzen. Przybyli już pierwsi imigranci. Wkrótce przybędzie z Bergen-Belzen jeszcze 3.000 Żydów i obozy zostaną całkowicie zlikwidowane.

W Trypolisie Urząd Izraelski już rozpoczął swoje urzędowanie. W Trypolisie i Bengazi znajduje się obecnie 32.000 Żydów. W pierwszym tygodniu rejestracji zapisało się 12.000 Żydów. Pojechał tam specjalny wysłannik Agencji Żydowskiej. Przyjęto go tam z entuzjazmem. 6.000 Żydów wkrótce przybędzie z Trypolisu. Wysłannik Agencji zwiedził również najbardziej zarzucone zakątki kraju. Zapał do aliji opanował wszystkich Żydów w tym kraju. Nawiązano również stosunki z tamtejszymi władzami angielskimi. Gdy tylko zdjęta została angielska blokada z portu adeńskiego, natychmiast zorganizowano imigrację z tamtejszych obozów. Obóz uchodźców w Adenie został zlikwidowany i rozpoczęła się imigracja samych mieszkańców Adenu. Z Dżibutty i Asmary wkrótce przybędzie 2.500 Żydów. Pozostanie tam wszystkiego około 500 Żydów. O niebywałym entuzjazmie tamtejszych Żydów dla aliji może świadczyć depesza, która nadeszła do Jerozolimy: „Serca nasze zadrżały, padano sobie w objęcia, łzy radości i oszołomienia spływały z oczu, gdy otrzymaliśmy wieść o naszym oswobodzeniu". Bardzo ciężkie jest położenie 40.000 Żydów jemenickich. Żyją oni w okropnych warunkach, zamknięci i bez wyjścia. Musi zostać podjęta wielka akcja polityczna dla uratowania tego drogiego nam szczepu.

DZIESIĄTKI TYSIĘCY IMIGRANTÓW ZNAJDUJĄ SWÓJ DOM W PAŃSTWIE IZRAEL

Masowa imigracja Żydów do Palestyny ciągle wzrasta. Wielka fala imigracji rozszerza z dnia na dzień swój zasięg. Każdego tygodnia przybywają nowi imigranci z różnych diaspor. Wielka wizja przygarnięcia i skupienia wszystkich diaspor w Palestynie zaczyna przyoblekać się w żywe kształty.

Jak ci ludzie się urządzają? Jak przyjmują ich i witają w kraju? Kto dba o nich i jak się oni zadomawiają? Pytania te interesują nie tylko dziesiątki i setki tysięcy Żydów, oczekujących już ze spakowanymi walizkami chwili, kiedy i oni będą mogli wysiąść na ziemi Izraela, gdzie znajdą po tylu męczeńskich wędrówkach swój dom. Interesują one każdego Żyda na świecie. Któż bowiem nie ma jakichś bliskich krewnych, którzy, po przebyciu gehenny wojennej, lata całe wałęsali się w ponurych obozach D.P. i dożyli wreszcie tej wzniosłej chwili, gdy mogą udać się do ostatecznego miejsca przeznaczenia, do państwa Izrael, gdzie przyjmowani są z otwartymi ramionami i otoczeni troską rządu i współobywateli.

Wielkie zasoby pieniężne ,które musiał łożyć rząd Izraela na wojnę z napastniczymi państwami arabskimi, nie pozwoliły przygotować potrzebnej ilości nowych domów mieszkalnych, w którychby po odbyciu tak męczącej wędrówki, imigranci natychmiast po zejściu z okrętu znaleźli gotowe mieszkanie. Imigranci przebywają po kilka tygodni, a czasami nawet po kilka miesięcy, w prowizorycznych obozach recepcyjnych, tzw. „Obozach imigranckich", dopóki nie przygotuje się dla nich odpowiednich miejsc zamieszkania.. W tych obozach znajdują dziesiątki tysięcy kobiet, mężczyzn, dzieci i starców tymczasowy dach nad głową do chwili, gdy przechodzą do swych stałych mieszkań.

Obozy te, rozsiane po całym kraju są wiecznie przepełnione nowymi imigrantami. Gdy tylko opuszcza je jedna grupa, natychmiast okręty przywożą nowych imigrantów, którzy zajmują ich miejsce.

Powiedzieliśmy „obozy" i u niektórych może się wytworzyć fałszywe wyobrażenie. Wszak słowo „obozy" stało się u naszych ocalałych braci z Europy synonimem cierpień, poniżenia, długoletniej wegetacji i zagłady. Gdy się wymawia to słowo, widzi się natychmiast przed sobą zamknięte, okolone drutem kolczastym obozy, dokoła których buszuje nienawiść do Żydów, kultywowana przez wczorajszych hitlerowców, padają ponure nienawistne spojrzenia otaczającej ludności.

Jak różnią się „obozy" w państwie Izraela od „obozów" w przeklętym kraju hitlerowskim?

Zamiast beznadziejności — mocny grunt pod nogami, gdzie można budować spokojne życie. Pierzchły strach przed otoczeniem, obawa o jutro i niepewność. Tak ciężko doświadczony Żyd — oddycha pełną piersią, zachłystuje się wolnością po koszmarnej nocy obozów D.P.

Tu, w obozach imigranckich stawia nowoprzybyły swoje pierwsze kroki, poznaje nowe życie i możliwości urządzenia się. Może swobodnie wybrać formę swojej nowej przyszłości. Czy ma on pójść na wieś, czy do miasta, czy otworzyć sklep, lub założyć sobie warsztat rzemieślniczy. Specjalny oddział przy Agencji Żydowskiej okazuje mu każdorazową pomoc radą i czynem, udziela mu pierwszego materialnego wsparcia, potrzebnego dla budowy swojej samodzielnej egzystencji.

Przez cały czas pobytu w obozie imigrant jest całkowicie utrzymywany przez Agencję Żydowską, otrzymuje żywność i inne przedmioty. Szczególną pieczą otaczane są dzieci. W każdym obozie jest również czynna Kasa Chorych, Histadrut Haowdim, która przeprowadza lustrację stanu zdrowotnego imigrantów. Praca kulturalna również nie jest zaniedbywana. W każdym obozie znajduje się czytelnia i biblioteka. W każdą sobotę odbywają się uroczyste przedstawienia z udziałem artystów teatrów telawiwskich.

Większość obozów recepcyjnych znajduje się w byłych angielskich barakach wojskowych. Wiele znajduje się w wielkich domach opuszczonych przez Arabów w miastach, jak Jerozolima, Ramalla i inne. Zrozumiałe, że nie wszędzie warunki są jednakowe. — W niektórych miejscach lepsze, w niektórych gorsze. Zależy od elementu imigranckiego, od personelu obozowego itp. Jest to jednak, jak już powiedziano, zjawisko przejściowe.

Celem tej całej akcji wszak nie jest trzymanie ludzi w obozach, choćby warunki w nich były nawet idealne. Celem ostatecznym jest położenie raz na zawsze kresu mrocznemu, nienormalnemu życiu.

Główną więc troską, naszym obecnym zadaniem bojowym, jest jak najszybsze wyzwolenie ludzi z bezczynności tych obozów, danie im własnego kąta, własnego mieszkania i normalnych warunków bytu.

Przeszło sto tysięcy Żydów osiedlono już na opuszczonych przez Arabów ziemiach i zakwaterowano w porzuconych przez nich domach. Większość tych domów była zdemolowana, o złamanych ścianach i wyrwanych oknach. Agencja Żydowska musiała łożyć olbrzymie sumy, by odrestaurować te domy i doprowadzić je do stanu używalności. Obecnie jednak kończy się już ten zapas domów. Agencja Żydowska i rząd Izraela stają przed olbrzymim zadaniem zbudowania w najbliższych miesiącach domów dla setek tysięcy nowych imigrantów, pukających do wrót kraju.

ZAKWATEROWANIE

Towarzystwo narodowe „Ami-Dar" dla zakwaterowania nowych imigrantów ma już na ukończeniu szereg układów, na mocy których będzie można natychmiast zbudować 9.000 jednostek mieszkaniowych (pokój, mała kuchenka i wygody) w 50 punktach kraju. Nie wchodzi w tę liczbę 6.000 domków drewnianych. W stosunkowo krótkim czasie znajdzie się do dyspozycji imigrantów 15.000 mieszkań, a natychmiast po nich dalsze pięć tysięcy. Wszystkiego 20.000 jednostek mieszkaniowych w pierwszym roku budowy.

Towarzystwo to podjęło się zbudowania 40.000 jednostek mieszkaniowych, które zostaną zakończone w końcu 1950 r. Mieszkania te będą wynajmowane za bardzo niskim czynszem.

Ilość jednostek mieszkaniowych, zapotrzebowanych do końca 1950 wynosi sto tysięcy. Na zbudowanie ich wszystkich brak na razie odpowiednich środków pieniężnych. Według cen dzisiejszych zbudowanie 40.000 jednostek mieszkaniowych ma kosztować około 35.000.000 fp. Większa część tej sumy zmobilizowana zostanie za granicą — tak doniosł dr Izrael Goldstein, skarbnik Agencji Żydowskiej i prezes towarzystwa „Ami-Dar". Rząd jest ściśle związany z „Ami-Dar" i udziela mu pełnego materialnego i moralnego poparcia.

Połowę kapitału zakładowego w wys. 5.000.000 fp. ma dać Agencja Żydowska wespół z Keren Hajesod. Drugą połowę dadzą Keren Kajemet, Rząd i społeczne instytucje zakwaterowania. Zjednoczona kampania w Ameryce wesprze tę akcję i Żydzi amerykańscy kupią większość akcji tego towarzystwa.

Zbudowanie 20.000 mieszkań w przeciągu jednego roku umożliwi zakwaterowanie 60.000 ludzi, czyli 7 procent całej ludności.

Mieszkania zostaną zbudowane we wsiach i miastach wszystkich części kraju. Szczególnie brane są pod uwagę miasta Jerozolima, Cfat i Tyberia. Czynsz będzie wyjątkowo niski: od 4 do 6,5 funta od jednostki mieszkaniowej.

Dotychczas Keren Kajemet dał grunt pod budowę 12.000 jednostek mieszkaniowych. Również rząd wydzieli część swoich rezerw gruntowych dla tego celu. W każdym bądź razie towarzystwo nie zamierza budować na prywatnym gruncie, aby zaoszczędzić koszty zakupu.

Towarzystwo „Ami-Dar" zakupiło ponadto w Szwecji 4.000 tzw. „fińskich domków" dla imigrantów.

NOWI IMIGRANCI OSIEDLAJĄ SIĘ W GÓRACH GALILEI

TARSZICHA: w centrum Galilei. — Jeszcze pół roku temu zamieszkiwało tu około 6.000 Arabów. Tylko 600 z nich pozostało na miejscu. 100 rodzin nowych imigrantów — liczące 265 osób, przybyło tu dwa miesiące temu.

Osiedleńcy zaczęli uprawiać opuszczone grunty. Na ogół są oni bardzo zadowoleni ze swoich pierwszych osiągnięć na roli. Koło domów urządzili sobie ogrody warzywne. Każda rodzina otrzymała na własność po jednej kozie dojnej i kurniku z pięćdziesięcioma kurami. Według planu każda z rodzin otrzyma również po 40 do 50 drzew oliwnych. Mężczyźni pracują przy robotach publicznych we wsi i zarabiają po półtora funta dziennie. W centrum wsi wiele domów zostało uszkodzonych od działań wojennych. Na ich miejscu zostanie zbudowana ulica. Największą troską kolonistów jest zaopatrzenie w wodę w miesiącach letnich. Tarszicha jest położona w okolicy górzystej, pozbawionej źródeł wodnych. Arabowie kopali jamy, w których zbierali wodę deszczową. Na razie zapasy wody wyczerpały się. Czynne już są szkoła i spółdzielnia spożywcza. Otwarta również zostanie restauracja dla turystów, przybywających tu bardzo często. W pobliżu Tarszichy znajduje się wieś Molia. Chrześcijańscy mieszkańcy tej wsi pozostali wszyscy przy życiu i utrzymują bardzo przyjazne stosunki ze swoimi nowymi żydowskimi sąsiadami.

Niedaleko Tarszichy znajduje się kibuc Sasa. Jest to młody kibuc chaluców kanadyjskich i amerykańskich, którzy swoje przeszkolenie otrzymali w przeciągu jednego miesiąca. Wielu z nich przybyło dopiero w tych dniach bezpośrednio z Ameryki.

MUFSACH — to również była wieś arabska, położona u stóp góry Acmon. Tutaj są już przygotowywane domy dla nowych europejskich imigrantów, którzy w najbliższych dniach przystąpią do pracy na roli. Na razie mieszkają tu tylko robotnicy, remontujący domy.

HAIFA PRZYJMIE W TYM ROKU PRZESZŁO STO TYSIĘCY IMIGRANTÓW

Na posiedzeniu nowo-wybranej rady robotniczej Haify zakomunikowano, że z siedmiu tysięcy mieszkań ,opuszczonych przez Arabów w Haifie, nie pozostał już ani jeden wolny pokój. Od chwili powstania państwa 55.000 Żydów otrzymało mieszkania w Haifie. Do końca 1949 Haifa przyjmie od 80.000 do 100.000 Żydgw. Gdyby nawet zamieszkali w największej ciasnocie ,nieodzowne jest przynajmniej jeszcze 33.000 pokojów. Na razie przewidziana jest budowa 3.600 mieszkań. Jeżeli narodowe instytucje spełnią swoje przyrzeczenia, Haifa będzie zdolna do przyjęcia w ciągu roku bieżącego ponad 100.000 imigrantów.

TEL - AWIW

Tel-Awiwska Rada Miejska opracowała plan budowy 300 do 400 mieszkań dla nowych imigrantów w ramach miejskiego programu zabudowania. Domy zostaną zbudowane na byłych niemieckich gruntach w dzielnicy Jad-Elijahu. Środki na tę budowę zostaną dostarczone przez towarzystwo Ami-Dar z funduszu demobilizacyjnego itp.

W ZICHRON-JAAKOW Agencja Żydowska buduje nowych 10 wielkich baraków mieszkalnych. Każdy barak będzie się składał z czterech mieszkań (razem — 40 mieszkań). Również towarzystwo Nwej-Owed przygotowuje budowę 40 mieszkań.

NETANIA

W miesiącu lutym Agencja Żydowska i instytucje Histadrutu urządziły tu 114 rodzin imigranckich, razem 222 ludzi. Imigranci otrzymali przeszło 3.000 funtów na pierwsze urządzenia poza normalnym wyposażeniem, które otrzymuje każdy imigrant. Kilku inwalidów uczy się zawodu szlifierskiego. Agencja Żydowska płaci za ich naukę.

W PETACH-TIKWIE postawionych zostanie 600 wielkich domów szwedzkich i 100 domów murowanych dla imigrantów. Początkowo przeznaczono dla Petach-Tikwy 400 domów szwedzkich i sto murowanych. Gdy jednak Rada Miejska wskazała na możliwość urządzenia w Petach-Tikwie wielkiej ilości imigrantów, Agencja zmieniła swoją decyzję i rozszerzyła plan budowy.

Rada kolonijna w RECHOWOT przystąpiła do zbudowania w północnej części 50 mieszkań dla imigrantów. Każde mieszkanie będzie się składało z pokoju, kuchni i wygód. W tej samej okolicy towarzystwo Nwej-Owed buduje 70 mieszkań.

Rząd postanowił udzielić Agencji Żydowskiej pożyczki w wysokości 70.000 funtów dla przeprowadzenia remontów w opuszczonych przez Arabów miastach i wsiach, w zwiazku z osiedlaniem w nich nowych imigrantów. Przy remoncie domów i oczyszczeniu gruzów zatrudnionych będzie wielu imigrantów.

UŁATWIENIA DLA IMIGRANTÓW

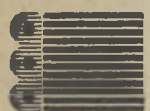
Po długich pertraktacjach, prowadzonych przez Agencję Żydowską, uzyskano wreszcie porozumienie, w myśl którego wszystkie dobra społeczne obozów będą przewiezione do Palestyny i przekazane do dyspozycji imigrantów. Majątek społeczny obozów jest oceniany na 100.000 fp. i składa się między innymi z: samochodów ambulatoriów, warsztatów itp.

Jest również w toku rozwiązywania problem przewiezienia bagażu imigrantów. W tych dniach Agencja, wespół z „Solel Bone" i „Bagdid" założyła wielkie towarzystwo, które zajmie się przewożeniem majątków imigrantów za bardzo niskimi opłatami. Agencja uruchomi takie towarzystwo również za granicą. Centrala tego towarzystwa znajduje się w Haifie i będzie miała swój oddział w Tel-Awiwie. Działalność swoją rozpoczyna towarzystwo skromnym kapitałem, który jednak będzie ciągle rósł. Nazwa tego towarzystwa brzmi „Magazyny Ubezpieczeniowe dla imigrantów". Agencja przekazała już do dyspozycji towarzystwa szereg wielkich magazynów.

Agencja Żydowska zamierza wespół z Ministerstwem Finansów założyć Bank Kredytowy dla imigrantów, który będzie udzielał imigrantom kredytów.

TOWARZYSTWO DLA SKUPU RZECZY IMIGRANTÓW

Uzyskane zostało zasadnicze porozumienie pomiędzy „Hamaszbir Haklali" i Towarzystwem „Importowo-Eksportowym" o utworzeniu towarzystwa dla skupu i zbytu rzeczy, które imigranci przywożą ze sobą dla sprzedania. W ten sposób imigranci unikną strat, które sami sobie wyrządzają, kiedy sprzedają swoje rzeczy zbyt tanio wskutek nieznajomości miejscowych cen. Towarzystwo będzie się znajdowało pod nadzorem rządu.



Z CAŁEJ POLSKI



Plan akcji na Teatr Żydowski przekroczony



Dnia 9 kwietnia odbyła się w W. K. Ż. w Łodzi konferencja prasowa, poświęcone akcji na rzecz budowy teatru żydowskiego. Z ramienia prezydium W. K. Ż. udział w konferencji wzięli ob. MIRSKI, przewodniczący ob. ROTENBERG, wiceprzewodniczący i ob. WERTHEIM, sekretarz generalny.

Po otwarciu konferencji przez ob. Mirskiego, sekretarz gen. W. K. Ż. ob. Wertheim przedstawił zebranym w obszernym zarysie przebieg akcji oraz poinformował o osiągniętych wynikach.

Akcja — stwierdza ob. Wertheim — miała na celu nie tylko osiągnięcie konkretnych wyników materialnych; miała ona być również pewnego rodzaju referendum społeczności żydowskiej w Polsce, miała być sprawdzianem jej postawy społecznej, ustosunkowania do spraw kultury żydowskiej, do Polski Ludowej i jej budownictwa socjalistycznego.

Mimo, że akcja trwa dopiero od 15 lutego b.r., zdołano już przeprowadzić ją w 95 proc. i w ramach tych, jak wykazuje pierwszy prowizoryczny bilans, udało się zebrać 30 milionów 612 tysięcy złotych, przekraczając w ten sposób zakreślony plan o sumę 612 tysięcy.

Wyniki te — jak stwierdza ob. Wertheim — będące wyjątkowym sukcesem, osiągnięte zostały dzięki energicznej i szeroko przeprowadzonej wśród wszystkich warstw społeczeństwa żydowskiego akcji polityczno-propagandowej.

Akcja objęła ogółem 4.690 deklarantów.

Jak wykazuje analiza bilansu, w akcji udział wzięły wszystkie sektory gospodarcze i warstwy społeczności żydowskiej.

W ogólnym bilansie partycypują: spółdzielczość — sumą 9.000.000 zł. z czego 4.500.OOO (po 5 dniówek) przypada na robotników, a 4,500,000 (10 proc. od zysku za rok 1948) na spółdzielnie jako takie; sektor prywatny — sumą 10.062.000 zł., rzemiosło — 5.100.000, pracownicy żydowskich instytucji społecznych — 1.200.000, robotnicy zatrudnieni w przemyśle prywatnym — 950.000, wolne zawody — 500.000, pracownicy instytucji państwowych — 200.000, młodzież akademicka i pracująca — 250.000, aktorzy Teatru Żydowskiego — 250.000, dochód z wielkiego balu purimowego — 1.400.000, akcja dodatkowa z okazji wydawania macy — 700.000 i wreszcie różne inne wpływy — 1.000.000.

Na pierwszy plan wysunęła się spółdzielczość, wywiązując się z zadania w stu procentach. Na dwudziestu kilku zebraniach pracownicy spółdzielni entuzjastycznie podjęli uchwałę o maksymalnym poparciu akcji teatralnej i 1.600 pracowników (w tym 400 polskich pracowników) zadeklarowało po 5-dniowym zarobku. Wyniki akcji w spółdzielniach, jak również wypowiedzi całego szeregu pracowników polskich na zebraniach, wykazały, że przyjaźń między robotnikiem polskim a żydowskim w spółdzielniach rośnie i pogłębia się z dnia na dzień i wzajemne stosunki ich zacieśniają się coraz bardziej.

Również i żydowski związek rzemieślników odniósł się do akcji z pełnym entuzjazmem. Rzemieślnicy pierwsi zakończyli akcję, zbierając wyznaczoną sumę 5.000.000 z nadwyżką 100.OOO zł.

W tym jednak sektorze już zauważyć się dała pewna linia podziału między uboższymi a bogatszymi rzemieślnikami. Podczas gdy pierwsi odnosili się do akcji z całą powagą i entuzjazmem, pewne elementy z pośród bogatszych, jak niektórzy krawcy i jubilerzy — wykazali mało zrozumienia, a nawet opór, który dopiero przełamany zostać musiał przez kolegów aktywistów.

Najwięcej energii i zachodu wymagało przeprowadzenie akcji w sektorze prywatnym. Dziesiątki kupców i przemysłowców ustosunkowało się do akcji pozytywnie i ze zrozumieniem. Natrafiono jednak również na obojętność i na zupełny brak zrozumienia dla potrzeb kulturalnych żydowskich mas ludowych, a nawet na jawną niechęć do jakichkolwiek poczynań w tym kierunku. Zdecydowana jednak postawa uświadomionej części społeczeństwa żydowskiego, wyraźne stanowisko żydowskich sfer robotniczych, a w szczególności wypowiedzi szeregu robotników z fabryk i spółdzielni na wielkim zebraniu w kinie „Włókniarz" — wyjaśniły tym elementom, że muszą zmienić swoje ustosunkowanie do potrzeb kulturalnych żydowskich mas ludowych.

Z zupełnym powodzeniem przeszła akcja wśród robotników przemysłu prywatnego.

Inteligencja partyjna ustosunkowała się do akcji w pełni pozytywnie. Były jednak i jednostki, które wykazały nastroje przedwojennej burżuazyjnomieszczańskiej asymilacji, świadczące o zupełnym oderwaniu od mas żydowskich i jej potrzeb. Trudności te dzięki pozytywnej postawie większości, udało się w końcu przezwyciężyć.

Dzisiaj — kończy ob. Wertheim — gdy reasumujemy wyniki, stwierdzić musimy, że osiągnięcia te uzyskane zostały dzięki temu, że kierownictwo akcją objęła P Z. P. R., przy współudziale wszystkich partii syjonistycznych, które zmobilizowały swoich aktywistów do pracy propagandowej.

Doroczne zebrania w spółdzielniach żydowskich

ŁÓDŹ (ŻAP).— W spółdzielni „Gwiazda" odbyło się ostatnio doroczne zebranie sprawozdawcze połączone z objęciem nowego gmachu przy ulicy Zawadzkiej 16.

W zebraniu wzięło udział 225 pracowników spółdzielni, zatrudnioych w działach: krawieckim, szewckim, walizkarskim i torebkarskim.

Zebranie powitali w imieniu Komitetu Żydowskiego w Łodzi ob. Rogoziński i przedstawiciel Związku Zawodowego Prac. Konfekcyjnych ob. Wawrzecki.

Sprawozdanie z działalności spółdzielni w r. 1948 złożył przewodniczący Zarządu ob. Mineter. Referent zilustrował swoje sprawozdanie konkretnymi faktami i cyframi.

W 1947 roku spółdzielnia zatrudniała 102, a w 1948 — 194 pracowników. Kapitał udziałowy spółdzielni wzrósł sześciokrotnie. Obrót wynosił w 47 roku — 41 milj. zł., zaś w 1948 — 135 milionów. złotych.

Zysk spółdzielni w 1948 roku osiągnął — 8,7 milionów złotych.

W 1948 roku zmechanizowano wszystkie warsztaty. W ramach realizacji procesów produkcji spółdzielnia zastosowała — zamiast przestarzałego systemu brygad — nowoczesny system taśmowy.

Produkcja za rok ubiegły przedstawia się następująco: ubrań i palt — 18,750 sztuk, obuwia — 4000 par, teczek i torebek — 80.400 sztuk.

Zebrani postanowili przeznaczyć 10 proc. dochodu z 1948 roku na budowę żydowskiego Domu Kultury w Łodzi.

Odbyły się również wybory nowych władz spółdzielni i rozdanie premii przodownikom pracy.

Zebranie sprawozdawcze odbyło się również w spółdzielni „Osnowa".

Obszerne sprawozdanie odzwierciadlające działalność spółdzielni w 1948 roku wygłosił ob. Teper.

Podkreślając stały rozwój, mówca stwierdził, że „Osnowa" zamieniła się z małej spółdzielni w nowoczesną fabrykę tekstylną.

W 1947 roku spółdzielnia wyprodukowała 35 tysięcy metrów tkanin, zaś w 1948 roku — ponad 88 tysięcy metrów.

Obrót wzrósł z 14.683.935 złotych w 1947 roku do 49.583.169 złotych w roku 1948.

Omawiając plany spółdzielni, mówca rzucił hasło, by tegoroczny plan produkcji wykonać w przeciągu 10 miesięcy.

W dyskusji — jaka się wywiązała po referacie — wzięli udział robotnicy spółdzielni i przedstawiciele CSW „Solidarność".

Zjazd Komitetów Żydowskich w Wrocławiu

WROCŁAW (ŻAP). — Zakończył we Wrocławiu obrady wojewódzki zjazd żydowskich komitetów i instytucji społecznych Dolnego Śląska. Po referacie sprawozdawczym gen. sekretarza Wojewódzkiego Komitetu żydowskiego ob. Intratora rozwinęła się ożywiona dyskusja, w toku której delegaci z różnych miejscowości i instytucji, przodownicy pracy omawiali konkretne problemy społecznej i kulturalno - oświatowej działalności Komitetów. Wyrażając zadowolenie z powodu rozszerzenia podstawy społecznej Komitetów delegaci domagali się ażeby Komitety te były ściślej aniżeli dotychczas związane z masą robotniczą oraz by skoordynowana była należycie działalność poszczególnych instytucji.

W dyskusji wystąpił też członek Prezydium Centralnego Komitetu Żydów w Polsce — ob. Sz. Zachariasz, który omówił wielkie zadania stojące przed ludnością żydowską w związku z realizacją 6-letniego planu gospodarczego oraz ofensywą kulturalną i pokojową prowadzoną przez polską klasę robotniczą i ludy całego świata.Ob. Zachariasz wskazał też na konieczność usprawienia pracy Komitetów i dostosowania jej do nowych potrzeb i warunków.

Po dyskusji dokonano wyboru nowego Komitetu Wojewódzkiego w składzie 38 osób. Do Komitetu weszli przedstawiciele wszystkich instytucji gospodarczych, społecznych i kulturalno - oświatowych oraz w znacznej liczbie przodownicy pracy.

Na swym pierwszym posiedzeniu Komitet Wojewódzki wyłonił Prezydium w składzie 9 osób oraz Biuro Wykonawcze, do którego weszli obywatele: J. Egit— przewodniczący, mgr. Słucka - Kestin — zast. przewodniczącego oraz S. Intrator — odpowiedzialny sekretarz.

Na zakończenie Zjazd przyjął rezolucję wzywającą ludność żydowską oraz wszystkie spółdzielnie pracy, instytucje społeczne i kulturalno - oświatowe do wzmożenia wysiłków w kierunku przyspieszenia odbudowy kraju, do aktywnego i efektownego udziału we współzawodnictwie pracy, akcji oszczędzania, akcji likwidacji analfabetyzmu itd.

Swietlica imienia Niuty Tajtelbaum

Na wniosek kierownika Wydziału Oświaty, A. Kagana, Prezydium Wojewódzkiego Komitetu żydowskiego w Łodzi postanowiło nazwać świetlicę da młodzieży szkolnej imieniem NIUTY TAJTELBAUM, bohaterki walki z okupantem hitlerowskim.

Niuta Tajtelbaum urodziła się w roku 1918 w Łodzi. Jako uczennica należała do Komunistycznego Związku Młodzieży — KZM.

W czasie studiów na Uniwersytecie w Warszawie — do studenckiej organizacji lewicowej ŻYCIE.

W warszawskim getcie była członkiem Związku Walki Wyzwoleńczej. Gdy powstała Polska Partia Robotnicza — została jej czynnym członkiem i pełniła funkcje instruktora wojskowego „piątek bojowych". Podczas pierwszej „akcji wysiedleńczej" w sierpniu 1942 roku, została wysłana przez kierownictwo PPR. w getcie na t. zw. „aryjską" stronę dla utrzymania kontaktu z towarzyszami polskimi i organizowania pomocy dla bojowników getta.

Po „aryjskiej stronie" pracowała pod nazwiskiem Wandy Witwickiej, pseudo „Wanda".

Była w ciągłym kontakcie z podziemnym ruchem w getcie i z partyzantami w lesie.

Niuta Tajtelbaum odznaczała się odwagą i bohaterstwem. Ona — „mała Wanda z warkoczami" — jak ją pieszczotliwie nazywało podziemie, wykonała szereg wyroków śmierci na oficerach SS i Gestapo. W początku lipca 1943 roku aresztowano ją podczas wykonywania bojowego zadania i została zamęczona w lochach Gestapo na Alei Szucha.

W niedzielę, dnia 8 maja 1949 roku odbędzie się w Teatrze Wojska Polskiego uroczyste nadanie imienia Niuty Tajtelbaum świetlicy młodzieży szkolnej dla WKŻ w Łodzi.

W uroczystej akademii wezmą udział przedstawiciele żydowskich i polskich organizacji robotniczych i młodzieżowych. Akademia zakończy się bogatą częścią artystyczną.

Obrady Komitetów Żydowskich na Górnym Śląsku

W ubiegłym tygodniu odbył się w Katowicach w sali Domu Kultury I-szy Wojewódzki Zjazd Komitetów Żydowskich i Organizacji Społecznych Woj. Śląsko-Dąbrowskiego.

Wobec licznie zebranych delegatów i gości Zjazd zagaił przew. WKŻ ob. mgr Rostal E. podkreślając łączność społeczeństwa żydowskiego ze Światowym Kongresem Pokoju i wyraził pewność, że Naród żydowski po przebytych cierpieniach w okresie ostatniej niszczycielskiej wojny znajdzie się wśród narodów miłujących pokój i walczących o trwały pokój. Daje wyraz wdzięczności Żydów polskich dla Związku Radzieckiego i Polski Ludowej za pomoc udzieloną Żydom w najtragiczniejszym momencie historycznym, za umożliwienie resztkom pozostałych przy życiu Żydów polskich odbudowy ich życia i pracy w nowej demokratycznej rzeczywistości i za szczerą pomoc w ONZ w sprawie utworzenia samodzielnego państwa Izrael.

Mówca podniósł wielkie osiągnięcia Komitetów Żydowskich i wyłonionych z nich instytucji gospodarczych, kulturalnych i oświatowych. Po omówieniu zasady rozszerzenia społecznej bazy Komitetów Żydowskich Mgr Rostal wita przybyłych przedstawicieli władz państwowych, partii politycznych, związków zawodowych i innych.

Zjazd powitali: wicewojewoda Śląsko-Dąbrowski ob. Arka-Bożek, sekretarz PZPR ob. Machno, przedstawiciel Woj. Rady Narodowej ob. Mgr Garwiński, Okręgowej Komisji Związków Zawodowych przew. ob. Beczała, przedstawiciel Związku Zaw. Górników ob. Bugdoł, Rady Zakładowej huty Baildon ob. Mutwil i inni. Jako przedstawiciel CKŻwP powitał Zjazd przewodn. Dr A. Berman. Z referatem sprawozdawczym wystąpił sekretarz odpow. WKŻ ob. Haber E., który w dłuższym wywodzie przedstawił poważne osiągnięcia WKŻ Komitetów terenowych i instytucji społecznych Górnego Śląska w ciągu kilku lat jakie dzielą nas od chwili wyzwolenia spod okupacji hitlerowskiej. Poważne sukcesy Centrali Gospodarczej Solidarność i żydowskich spółdzielnij uwydatniają się w imponującej produkcji i wypełnieniu, a także przekroczeniu planu. TOZ może się poszczycić pozytywnymi rezultatami. ORT na naszym terenie ma szereg placówek pracy, szkół i kursów. W dziedzinie opieki społecznej, utrzymywania zakładów zamkniętych, Domów Dziecka, Domu Starców, Burs — WKŻ zajął jedno z czołowych miejsc w Polsce. Żydowskie Towarzystwo Kultury wykazuje ożywioną działalność.

Po referacie wywiązała się żywa dyskusja w której uczestniczyło 25 dyskutantów. Wśród nich ob. Lederman (R.N. Spółdzielnij) podkreślił wielkie rezultaty pracy 17 spółdzielnij wytwórczych, które wypełniły plan. Ob. Rozenkranc (Solidarność) wykazuje osiągnięcia Centrali Gospodarczej Solidarność. Mgr Rozner (Przew. Kom. Żyd. Bielsko) „Ichud" — podkreśla poważny wkład Komitetu Bielskiego w ogólne osiągnięcia Komitetów Żyd. w Województwie, zaznaczając, że osiągnięcia te stały się możliwe dzięki współpracy partii żydowskich w ramach Komitetu. Ob. Figa (PZPR) omówił poważne zadania jakie stoją przed Komitetami i spółdzielniami w świetle zadań 6-letniego planu. Ob. Gurtman (Poale Syjon) mówi o łączności naszej z problemami walczącego Izrael. Ob. Szternfinkiel („Ichud") wraca do pierwszych momentów utworzenia WKŻ w Katowicach wykazując, że towarzysze z jego partii byli współtwórcami wszystkich instytucji naszego terenu i dziś w nich pracują aktywnie. Ob. Mgr Ulreich („Ichud") jako Kier. Domu Opieki w Chorzowie omawia zagadnienia walki o pokój i wzywa kobiety żydowskie do aktywnej pracy dla dobra Polski Ludowej i do utrzymania łączności z państwem Izrael. Jako ostatni po szeregu mówców głos zabrał gen. sekr. CKŻwP ob. Łazebnik, który wezwał zebranych do aktywnej pracy w ramach wielkich zadań Polski Ludowej.

Konferencja Komitetów Żydowskich w Warszawie

WARSZAWA (ŻAP). — Dnia 10 kwietnia br. odbyła się w Warszawie konferencja Wojewódzkiego Komitetu żydowskiego z udziałem 42 delegatów.

Z ramienia Centralnego Komitetu Żydów w Polsce obecny był sekretarz generalny ob. Łazebnik.

Słowo wstępne wygłosił sekretarz odpowiedzialny WKŻ — ob. Einos.

Sprawozdanie z działalności Komitetu złożył przewodniczący WKŻ — ob. Lew, który omówił trudności z jakimi borykał się Komitet Warszawski w początkach swego istnienia —w 1945 roku.

Był to jeszcze okres wojenny, Żydzi powracali z lasów, bunkrów, obozów, byli złamani i zdezorientowani — dlatego opieka nad tymi ludźmi była podstawowym zadaniem Komitetu.

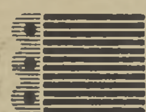
W 1946 roku głównym zadaniem Komitetu była produktywizacja ludności żydowskiej realizowana w drodze zakładania spółdzielni.

Ob. Lew podkreślił wkład Komitetu Warszawskiego w organizowaniu placówek: TOŻ-u, ORT-u Tow. Kultury i Bursy dla młodzieży.

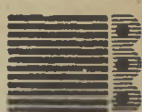
W dyskusji nad referatem wzięło udział 18 osób.

Na konferencji wybrano nowy skład Komitetu z pośród przedstawicieli organizacji społecznych i placówek gospodarczych.

Uczestnicy konferencji uchwalili rezolucję potępiającą politykę imperialistów i solidaryzującą się z akcesem CKŻwP do Światowego Kongresu Pokoju.



Z CAŁEJ POLSKI



Organizacja katowicka przy pracy

Staraniem zarządu snifu w Katowicach została utworzona komisja kulturalno-oświatowa, na czele której stanął tow. Inż. FOGELGARN. Komisja zorganizowała świetlicę. Otwarcie świetlicy odbyło się we wtorek dnia 7 lutego. Uroczystość zagaił tow. Inż. Fogelgarn, przedstawiając znaczenie świetlicy, jako ważnego ośrodka pracy organizacyjnej. W imieniu Prezydium CK Ichudu przemawiał tow. Mgr. ROSTAL, nakreślając zadania i cele pracy kulturalno-oświatowej i ideowej w ramach nowo zorganizowanej świetlicy. Wszyscy zebrani chętnie wyrazili zgodę, aby wieczory wtorkowe były po święcone, w ramach czynnej świetlicy, referatom i występom artystyczno - literackim. Po referatach odbył się koncert z udziałem wybitnych muzyków, naszych towarzyszy LEWAKA i SŁOBODNIKA. Konferansjerkę prowadził tow. ZYGIELMAN. Szczególnie silne wrażenie wywarła na obecnych „Rapsodia hebrajska“, z temperamentem i wielkim kunsztem odegrana przez jej kompozytora tow. LEWAKA (fortepian). Z nie mniejszą uwagą wysłuchali słuchacze mistrzowskiej gry na wiolonczeli w wykonaniu tow. SŁOBODNIKA.

Wieczór 15 lutego br. był poświęcony uroczystości z okazji jubileuszu „Opinii“. Referat okolicznościowy wygłosił przewodniczący snifu tow. CYGIELSTREJCH, który omówił znaczenie prasy w życiu społeczeństwa i partii. Po referacie odbył się koncert muzyki kameralnej w wykonaniu orkiestry.

Dnia 26 br. Komisja nasza wykorzystała pobyt tow. redaktora TAUCHNERA w Katowicach, organizując spotkanie z nim w ramach tradycyjnego „wtorku świetlicowego“. W miłej atmosferze tow. Mgr. Tauchner przeprowadził pogadankę na temat „Sytuacja w Izraelu“. Tow. mgr. ROSTAL referował o zadaniach naszej partii w chwili obecnej. Po referatach z okazji jubileuszu naszego organu partyjnego spędzono wieczór przy lampce wina.

Dnia 1 marca tow. DON GRYNSPAN wygłosił referat o „Histadrut Haowdim“. Referent omówił istotę „Histadrutu“, jako związku zawodowego w Izraelu jego wielkie znaczenie w budownictwie konstruktywnych państwowych wartości oraz znaczenie, jako jednego z najsilniejszych środków walki o prawdziwą demokrację i postęp w młodym naszym Państwie.

Jednolitość Histadrutu, jako związku zawodowego, jest dla nas zasadą, której nikomu nie pozwolimy naruszać — kończy mówca.

8 marca powięcono Dniu Kobiet. Referat o znaczeniu Dnia Kobiet i o zadaniach kobiety w ogólnej walce sił postępu o pokój i o szczególnej roli kobiety żydowskiej w tej akcji omówiła tow. BECHEROWA. Referentka nakreśliła także sylwetki bohaterskich kobiet Izraela.

Na zakończenie swojego referatu, tow. Becherowa odczytuje odezwę Ogólnej Ligi Kobiet, nawołującej wszystkie kobiety świata do walki o pokój, do walki przeciwko podżegaczom wojennym.

Z okazji święta Purim, w przepełnionym lokalu, odbył się zorganizowany wraz z kołem kobiet „Wizo“ tradycyjny wieczór purimowy. Wszystkich zebranych obdarzono tradycyjnymi podarunkami „miszloach - manoth“. Treściwy referat o święcie Purim, o ideowym znaczeniu tego święta, o jego współczesnej symbolice, wygłosił członek kierownictwa „Hanoar Hacijoni“ w Katowicach, tow. IZIEK TEITELBAUM.

Miejscowa komisja Keren - Kajemetu pod kierownictwem naszego tow. SZYMONA GRAFA, osiąga doskonałe wyniki w pracy we wszystkich akcjach. Towarzysze nasi wykazali się dobrą i ofiarną pracą w akcji na rzecz lasu Bohaterów Hagany. Z okazji Chamisza—Asar — Biszwat w salach kawiarni „Monopol“, staraniem komisji KKL odbyła się zabawa, której dochód przeznaczono na rzecz szczepienia Lasu Bohaterów Hagany. Także z okazji święta Purim KKL zorganizował Ludową Zabawę Purimową w tymże lokalu. Imprezę tę o bardzo bogatym programie, można zaliczyć do najbardziej udanych imprez tego rodzaju. Rozsyłane podczas zabawy podarunki i licytacja pięknych kwiatów zaofiarowanych przez tow. dyr. KAMIŃSKIEGO przyczyniły się do znacznego powiększenia dochodu z zabawy.

Jelenia Góra

K. K. L. przy współudziale Organizacji Syjonistycznych: „Ichud“, „Poalej Syjon“, „Wizo“ urządziła w Jeleniej Górze dnia 19 III br. tradycyjny bal „Purimowy“.

Zabawę otworzył słowem wstępnym przewodniczący tutejszej komisji K.K.L. tow Nesselroth. W krótkich a treściwych słowach nawiązał on do radosnego dnia „Purim“, wiążąc go dziś z drugim radosnym dniem — dniem otwarcia pierwszego od tysiącleci Sejmu Ustawodawczego Rzeczypospolitej Izraelskiej, oraz wyborem pierwszego Prezydenta Izraela prof. Ch. Weizmana. Słowa tow Nesselrotha przyjęli zebrani burzą oklasków i w podniosłym nastroju odśpiewali hymn narodowy „Hatikwa“.

Dalej podejmowano obecnych wspólną kolacją.

Z kolei wygłosił referat tow. Elsner, kreśląc historię święta „Purim“ i nawiązując do różnych okresów historii Żydów.

Zabawa połączona z tańcami przeciągnęła się do późnych godzin wieczornych i przyniosła w rezultacie poważną sumę, którą, za zgodą zebranych, postanowiono przeznaczyć na zapisanie pierwszego Prezydenta prof Ch. Weizmana i pierwszego Parlamentu Izraela do złotej księgi K.K.L.

Z życia „Ichudu“ w Wrocławiu

Dnia 12 marca br. odwiedził nasz Snif z ramienia CK Ichudu członek prezydium CK Ichudu mgr. Rostal i wobec zgromadzonego aktywu wygłosił dwugodzinny referat o wynikach wyborów w Izraelu i sytuacji stronnictwa progresywnego w kraju i sejmie. Siłę stronnictwa nie należy jednak oceniać wedle ilości osiągniętych mandatów gdyż spowodowane to zostało rozbiciem partii na kilka grup, atoli znaczenie partii przez to nie zostało zmniejszone. Następnie omówił sprawy organizacyjne.

Dnia 19 marca tut. Ichud łącznie z „Wizo“ w salach hotelu Polonia urządziły zabawę taneczną Purimową, która zgromadziła kilkaset osób. Zabawa ta trwała do rana i dała poważny dochód, przeznaczony na cele kulturalno-oświatowe i fundusz prasowy Opinii. Do powodzenia zabawy przyczyniły się głównie towarzyszki: D-rowa Chillowa, D-rowa Halpernowa, Lipschutzowa, Faberowa, Reissowa, Reichowa, Hajowa, Eisensteinowa, oraz tow. Schönfeld, Reiss, Sprung, Haj, Reich i inni.

W dniach 2 i 3 kwietnia odbył się we Wrocławiu zjazd przedstawicieli komitetów i instytucji żydowskich, połączony z otwarciem gmachu teatru żydowskiego, wybudowanego dzięki ofiarom całego społeczeństwa żydowskiego oraz subwencjom Jointu i C.K.Ż. w P. W zjeździe wzięło udział około 260 delegatów z całego województwa. Otwarcia gmachu dokonał Wojewoda Słapczyński, który przeciął wstęgę, po czym złożył życzenia rozwoju tej nowej placówce kulturalnej. Gmach ma estetyczny wygląd, wielki i ze smakiem urządzony holl wita przybywających, scena urządzona wedle najnowszych wymogów techniki i bezpieczeństwa. Sama sala niewielka, ale pięknie się przedstawiająca. W otwarciu wzięli udział prócz Wojewody przewodniczący Woj. Rady Narodowej ob. Grocholski, sekretarz Woj. Komitetu PZPR ob. Gelo i przedstawiciel DOW. pułkownik Tracz. W toku zebrania przybył przedstawiciel Ministerstwa Kultury i Sztuki dyrektor dep. ob. Rybarski. Na wniosek kierownika Dolnośląskiego teatru żydowskiego ob. Turkowa gmach nazwano imieniem sławnej artystki i twórczyni nowoczesnego teatru żydowskiego Ester Rachel Kamińskiej.

W następnym dniu tj. 3 kwietnia odbyły się całodzienne obrady zjazdu, które zakończyły się wyborem nowego komitetu wojewódzkiego składającego się z 38 członków, który wyłonił ze swego grona prezydium z 9 członków.

Wieczorem tegoż dnia odbyło się w nowej sali przedstawienie sztuki Szalem-Alejchema „Błądzące gwiazdy“ z udziałem i wedle inscenizacji znakomitego aktora Zygmunta Turkowa. Udział i reżyseria tego artysty i mistrza sceny żydowskiej — natchnęły innych członków zespołu, tak że całe przedstawienie stało na wysokim poziomie artystycznym.

Wstrząśnieci bolesną stratą z powodu śmierci naszego tow

błp. Dra. Leona Kahlenberga

tą drogą wyrażamy Jego Małżonce i Córce wyrazy najgłębszego współczucia

SNIF „ICHUD“ w LEGNICY

„Ichud“ w Bielsku

Staraniem Org. „Wizo“ odbył się w niedzielę, dnia 6 lutego b. r. odczyt **d-ra Rosenmana** n. t. „Zaburzenia przewodu pokarmowego u dzieci w klimacie subtropikalnym“. Pouczenie naszych towarzyszek, jak należy odżywiać na sze najmłodsze pokolenie w Erec wywołało oczywiście żywe zainteresowanie.

Z okazji Chamisza Asar Biszwat „Wizo“ urządziło herbatkę towarzyską dla swych członkiń. Okolicznościowe przemówienie o na rodowym harakterze tego święta wygłosiła przew. **Markowicz Zofia**, zaś o historycznej dacie otwarcia pierwszego parlamentu izraelskiego mówił **mgr Rosner.**

Podczas Oneg Sabat, dnia 18. II. br. wygłosił **tow. dr Ebersohn** referat na temat „Prawo małżeńskie u Żydów od najwcześniejszych lat do dnia dzisiejszego“.

Staraniem „Ichudu“ i „Wizo“ w Bielsku odbył się dnia 5. III. br. w sali koncertowej Miejskiej Szkoły Muzycznej w Bielsku „Wieczór muzyki kameralnej“. Tłumnie zebrana publiczność świadczy o sympatii dla bezinteresownych wykonawców, których występy cieszą się zawsze wielkim powodzeniem. Obok stałego zespołu w osobach prof. **Ilony Schechterówny**, inż. **Ernesta Offnera**, prof. **Michała Ptaszkowskiego, Feliksa Riesenfelda**, udział wziął **Zenon Feliński**, prof. Wyższej Szkoły Muzycznej w Krakowie.

Dnia 6. III. br. odwiedził nasz Snif tow. red. **Tauchner.** Tłumnie zebrani członkowie naszego Snifu zgotowali gościowi serdeczne przyjęcie. Podczas herbatki we własnym odnowionym lokalu Snifu wygłosił tow. Tauchner przemówienie o problemach ideowych na szej partii. Następnie w sali świetlicy Komitetu Żydowskiego odbyło się publiczne zebranie, na którym red. Tauchner wygłosił referat p. t. „Na nowym etapie“. Treść wygłoszonego referatu spotkała się z ogólnym uznaniem licznie zebranej publiczności.

Odśpiewaniem Hatikwy w podniosłym nastroju zakończono wieczór.

Podziękowanie

Panu Drowi Ehrenreichowi, lekarzowi we Wrocławiu składam niniejszym serdeczne podziękowanie za troskliwą opiekę w czasie mojej choroby.

ZYGMUNT HEBENSTREIT
Wrocław.

Dzierżoniów

Snif nasz w ostatnich czasach okazał dużo aktywności. Dzięki aktualnym problemom, członkowie nasi okazują obecnie znacznie więcej zainteresowania dla naszej organizacji. Na posiedzenia Zarządu, które odbywają się regularnie dwa razy w tygodniu, przychodzą też chętnie członkowie z poza zarządu, aby zadokumentować swoją aktywność. Na dwóch posiedzeniach Zarządu brał udział delegat KC tow. FRYDMAN z Wrocławia.

Korzystając z tej atmosfery, wprowadziliśmy kurs nauki języka hebrajskiego dla początkujących i zaawansowanych pod kierownictwem fachowej siły.

Dnia 13 marca br. urządziliśmy dla członków Snifu „Wieczorynkę Purimową“, na której obecny był delegat KC tow. Frydman z Wrocławia. Po oficjalnej części, w której brali udział tow. tow. Dr HORN, FRYDMAN, AGMAN, SZCZYGIEŁ i inni oraz członkowie Kenu i Garinu, bawiono się wesoło i tańczono do późnej nocy, nie zapominając, że czysty dochód z tej imprezy przeznaczony jest na zasilenie funduszów „Opinii“.

Pozatem Snif nasz brał udział w ogólnej zbiórce purimowej na rzecz KKL, przewyższając ilością zebranych pieniędzy inne organizacje syjonistyczne.

Dnia 20 marca br. odbył się zjazd delegatów Komitetów żydowskich, organizacji gospodarczych i społecznych, oraz instytucji kulturalnych naszego powiatu. Na konferencję przybyło 108 delegatów, oraz zaproszeni goście. Z ramienia W.K.Ż. we Wrocławiu, brali udział ob. ob. WASSERSTRUM i SŁUCKA. Po referatach i dyskusji — wybrano nowe plenum P.K.Ż. w Dzierżoniowie, składające się z 23 członków. Z naszych towarzyszy weszli do plenum Dr HORN, do prezydium tow. ZALCBERG, dotychczasowy sekretarz PKŻ.

Dr. H.

Głuszyce

Zarząd Snifu Ichud w Głuszycy, na odbytym posiedzeniu w dniu 6 marca b. r. postanowił uczcić fakt zalecenia przez Radę Bezpieczeństwa przyjęcia Państwa Izrael do ONZ — wydatną zbiórką na rzecz K. K. L.

Wśród szczupłego liczebnie skupiska Żydów w Głuszycy, Zarząd postanowił zebrać kwotę zł 100.000.

Wzywamy inne snify do naśladownictwa.

SĄD OKRĘGOWY, HAIFA *)
Sprawa spadkowa nr. 28/49.

W sprawie: Spadku **Henryka Breitmana** ze Lwowa,
Petent: **Janina Breitman** z Buenos-Aires, za pośrednictwem d-ra A. Robinsona adwokata w Haifie, ul. Herzla 44.

Niechaj wszystkie osoby mają wiadomość o tym, że **Janina Breitman** zwróciła się do Sądu Okręgowego w Haifie z prośbą o wydanie decyzji w sprawie dziedzictwa spadku zmarłego Henryka Breitmana ze Lwowa i że Sąd Okręgowy w Haifie rozpatrzy powyższą prośbę w dniu 24 maja 1949 roku o godz. 10-tej rano.

Każdy, który rości pretensje powinien zgłosić się w oznaczonym miejscu i czasie, w przeciwnym wypadku Sąd wyda zarządzenie, jakie będzie uważał za stosowne. (—) I. Razi

REGISTRAR SĄDU OKRĘGOWEGO W HAIFIE

SĄD OKRĘGOWY, HAIFA
Sprawa Spadkowa, 32/49

W sprawie: Spadku zmarłego **Mariana Szpilfogla.**
Petent: **Stefan Szpilfogel** z Holandii za pośrednictwem **B. Goldmana**, adwokata w Tel-Awiwie, ul. Lilienbluma 30.

Niechaj wszystkie osoby mają wiadomość o tym, że **Stefan Szpilfogel** zwrócił się do Sądu Okręgowego w Haifie, z prośbą o wydanie decyzji w sprawie dziedzictwa spadku zmarłego Mariana Szpilfogla i że Sąd Okręgowy rozpatrzy powyższą prośbę w dniu 29 maja 1949 r. o godzinie 9-tej rano.

Każdy, który rości pretensje powinien zgłosić się w oznaczonym miejscu i czasie, w przeciwnym razie Sąd wyda zarządzenie, jakie będzie uważał za stosowne. (—) I. Razi

REGISTRAR SĄDU OKRĘGOWEGO W HAIFIE

SĄD OKRĘGOWY, HAIFA
Sprawa Spadkowa nr. 33/49

W sprawie: Spadku zmarłego **Adama Szpilfogla.**
Petent: **Stefan Szpilfogel** z Holandii z pośrednictwem **B. Goldmana** adwokata w Tel-Awiwie, ul. Lilienbluma 30.

Niechaj wszystkie osoby mają wiadomość, o tym, że **Stefan Szpilfogel** zwrócił się do Sądu Okręgowego w Haifie z prośbą o wydanie decyzji w sprawie spadku zmarłego Adama Szpilfogla i że Sąd Okręgowy w Haifie rozpatrzy prośbę w dniu **29 maja 1949** r. o godzinie 9-tej rano.

Każdy, który rości pretensje powinien zgłosić się w oznaczonym miejscu i czasie, w przeciwnym razie Sąd wyda zarządzenie, jakie będzie uważał za stosowne. (—) I. Razi

REGISTRAR SĄDU OKRĘGOWEGO W HAIFIE

SĄD OKRĘGOWY, HAIFA
Sprawa Spadkowa nr. 44/49.

W sprawie: zmarłego Mosze Zalmana Wimerszporka z Opoczna, Polska.
Petenci: **Emanuel i Majer Wimerszpork** z Haify.

Ogłasza się, że Emanuel i Majer Wimerszpork zwrócili się do Sądu Okręgowego w Haifie z prośbą o wydanie zarządzenia w sprawie dziedzictwa spadku zmarłego Mosze Zalmana Wimerszporka z Opoczna, Polska, i że Sąd rozpatrzy powyższą prośbę w dniu 16 czerwca 1949 r. o godz. 9-tej rano.

Każdy, który rości pretensje powinien zgłosić się w oznaczonym miejscu i czasie, w przeciwnym razie Sąd wyda zarządzenie, jakie będzie uważał za stosowne. (—) I. Razi

REGISTRAR SĄDU OKRĘGOWEGO W HAIFIE

*) Tekst powyższy obwieszczeń podajemy bez zmian wg. otrzymanych przez Redakcję dokumentów.

Poszukiwanie rodzin

SZTEINMAN JOSEF z rodziną, zam. przed wojną w Łodzi, ul. Gdańska 24, oraz

WOLLMAN GERSZON z rodziną, zam. przed wojną w Łodzi, ul. 11-go Listopada 30 — poszukiwani są przez krewnego. Wiadomości kierować na adres: Cwa Hagana Leisrael, 29090 Pindak Ichchak, Dor Cwa 299, Izrael.

Ogłoszenia drobne

SPRZEDAM zmechanizowaną wytwórnię lodów i pingwinów. Zgłoszenia: Wrocław, Świerczewskiego 65.

SIOSTRA bł. p. dra SCHRAGERA, adwokata ze Stanisławowa, względnie ktoś z jego bliższej rodziny, poszukiwani. Wiadomość: H. SEIBALD, Wrocław, pl. Boh. Getta 5.

KTO ma jakąkolwiek wiadomość o LOLI WOLFANG z domu Lipner ur. w Grobowicach pow. Radymno, proszony jest donieść na adres: JOZEF POLAŃSKI, Łódź, ul. Narutowicza 36 m. 3.

Od redakcji

Opowiadanie „Apokryf“ Aleksandra Charima, umieszczone p. t. „Saga gór Efraimskich“ w N-rze 5?-ym pisma naszego, uzupełnione zostało przez Redakcję ustępem końcowym, poczynając od słów: „i tylko wiatr gorący szeleścił w górzystym pustkowiu“.

Okładkę do numeru wykonał
Izak Rejzman
Winiety w numerze:
Henryk Hechtkopf

REDAGUJE KOLEGIUM

Wydawca: C K Zjednoczenia Syjon. Demokratów „ICHUD“ w Polsce

Redaktor: Mgr MAKSYMILIAN TAUCHNER

Adres Red. i Adm.: Łódź, Al. 1-go Maja 13, tel. 189-24. Konto w P. K. O. VII-866

R. S. W. „Prasa“, Łódź, Żwirki 17. D — 036443